



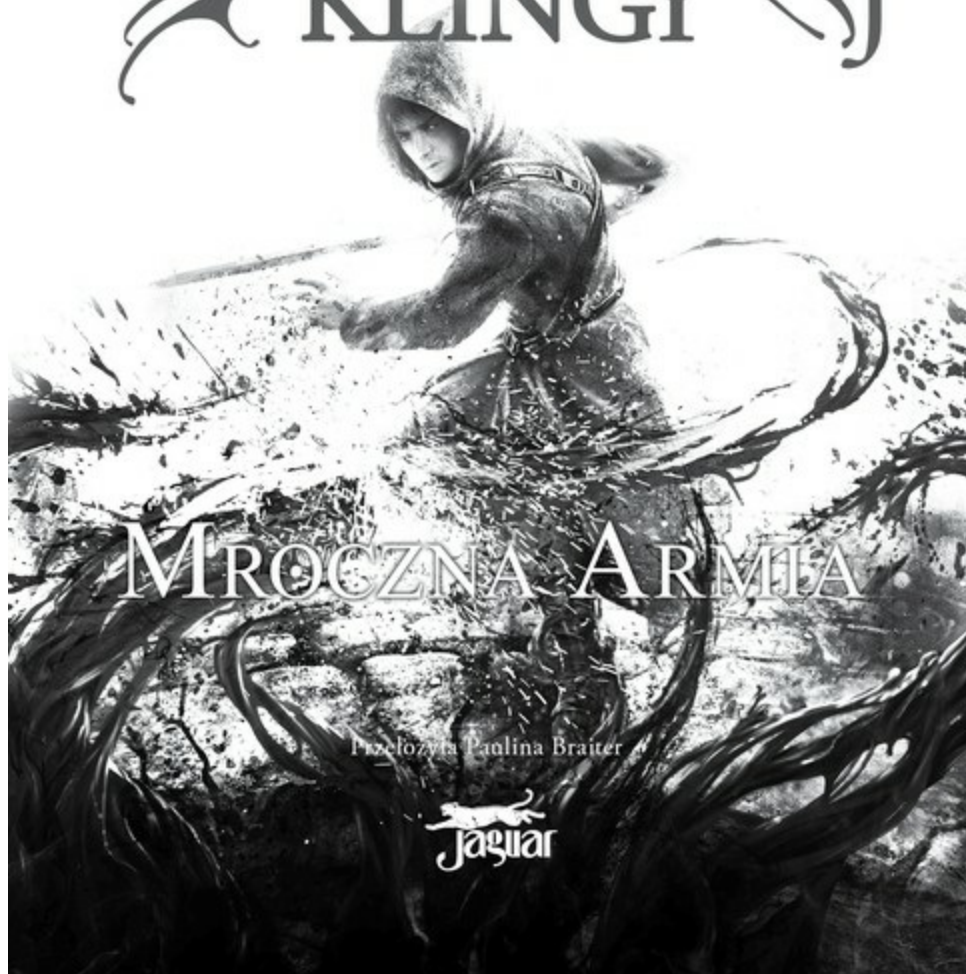
KRONIKI
GWIEZDNEJ
KLINGI

JOSEPH DELANEY

MROCZNA ARMIA

KONTYNUACJA KULTOWEJ SERII
KRONIKI WARDSTONE

JOSEPH DELANEY
KRONIKI
GWIEZDNEJ
KLINGI



MROCZNA ARMIA

Przełożyła Paulina Braiter



Tytuł oryginału: *The Dark Army* Redakcja: Paweł Gabryś-Kurowski Korekta: Karolina Wąsowska

Skład i łamanie: Ekart

Typografia na okładce i stronie tytułowej w wydaniu polskim: Magdalena Zawadzka/Aureusart Copyright © Joseph Delaney, 2016

Cover illustration copyright © Two Dots, 2016

Interior illustrations copyright © David Wyatt, 2014

Published by arrangement with Random House Children's Publishers UK, a division of The Random House Group Limited.

Copyright for the Polish edition © 2017 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

ISBN 978-83-7686-570-6

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2017

Adres do korespondencji:

Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

ul. Kazimierzowska 52 lok. 104

02-546 Warszawa

www.wydawnictwo-jaguar.pl

youtube.com/wydawnictwojaguar

instagram.com/wydawnictwojaguar

facebook.com/wydawnictwojaguar

snapchat: jaguar_ksiazki

Wydanie pierwsze w wersji e-book Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2015

Skład wersji elektronicznej:

virtualo

konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Dedykacja

Mapa

Motto

Prolog

Rozdział 1. Jak marionetka

Rozdział 2. Lukrasta

Rozdział 3. Chłopak z farmy

Rozdział 4. Narada wojenna

Rozdział 5. Nawiedzone strychy

Rozdział 6. Niewielka zmiana trasy

Rozdział 7. Ojciec boga

Rozdział 8. Martwi więźniowie

Rozdział 9. Kowadło bólu

Rozdział 10. Pokonany i sterowany

Rozdział 11. Koszmar bez końca

Rozdział 12. Zmiennokształtny

Rozdział 13. Krew i ślina

Rozdział 14. Więzień Kobalosów

Rozdział 15. Haniebna śmierć

Rozdział 16. Możliwości są dwie

Rozdział 17. Ziemna wiedźma

Rozdział 18. Plany Grimalkin

Rozdział 19. Ostatnia zima

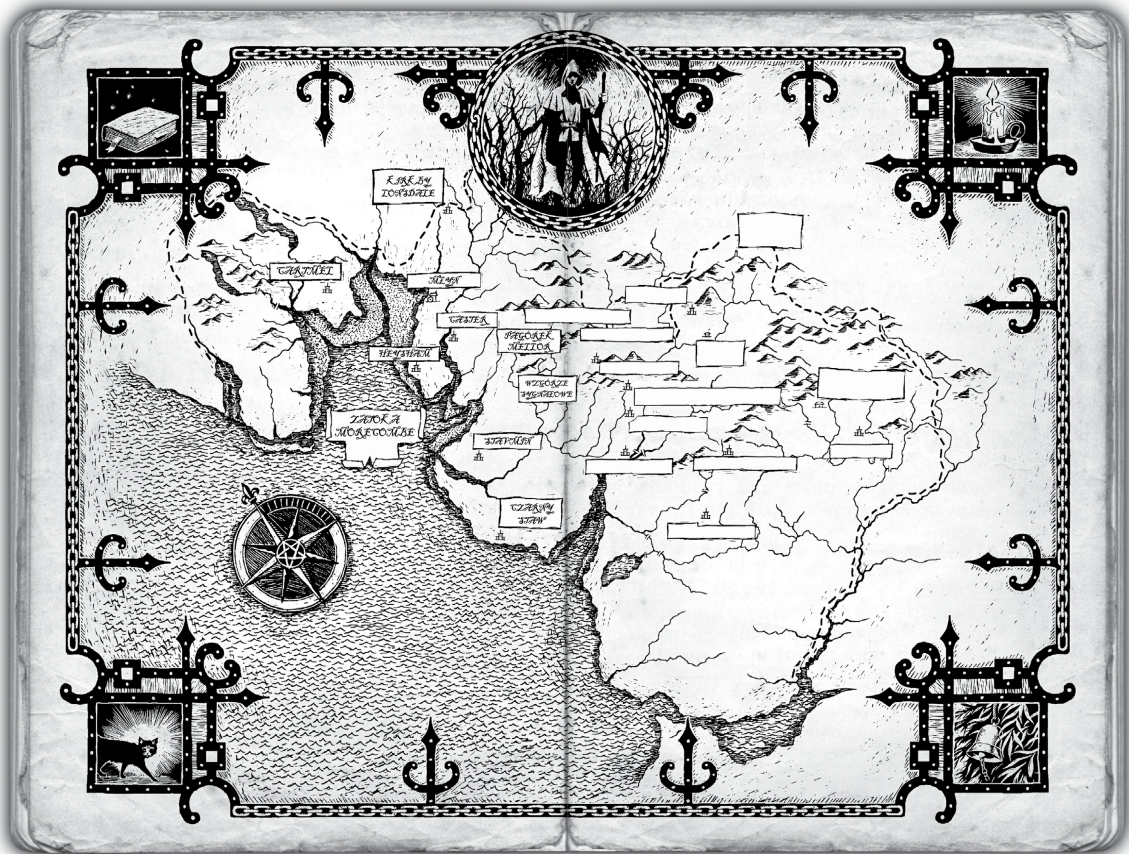
Rozdział 20. Miejsce pomiędzy światami

Rozdział 21. Kropla kwasu

Rozdział 22. Trucizna
Rozdział 23. Ziemia krzyknęła
Rozdział 24. Biały sznurek
Rozdział 25. Wilcze mięso
Rozdział 24. Nigdzie nie jest bezpiecznie
Rozdział 27. Trup w worku
Rozdział 28. Obietnica
Rozdział 29. Bóg Rzeźnik
Rozdział 30. Nocny atak
Rozdział 31. Lustra
Rozdział 32. Zimowy dom
Rozdział 33. Krągły Bochen
Rozdział 34. Runęła jak drzewo
Rozdział 35. Zapłakany chłopiec
Glosariusz świata Kobalosów

Dla Marie





Naprzeciw nas staje mroczna armia, większa niżli sama kobaloska machina wojenna, i znacznie potężniejsza niż straszliwe stwory bitewne, które stworzyli Kobalosi.

W jej skład wchodzi bowiem także wspierający ją bogowie – bóstwa takie jak Golgoth, Władca Zimy, który z radością zniszczy wszelką zieleń tego świata, tworząc lodowe szlaki, wiodące ich wojowników do zwycięstwa.

– Grimalkin

PROLOG

Godzinę po zmroku Jenny rozpoczęła wspinaczkę po długich kręconych schodach, wiodących na najwyższą z wschodnich wieżyczek. Była trochę zdyszana, lecz nie sprawił tego wyłącznie wysiłek towarzyszący wdrapywaniu się na strome stopnie.

Denerwowała się. Pociły jej się dłonie, kolana miała miękkie. Strych, na który zmierzała, nawiedzał duch.

Ona sama zaledwie rozpoczęła naukę – trzeba jeszcze wielu lat, by została prawdziwym stracharzem. Dziwiła się sama sobie, czemu właściwie przyjęła na siebie tak wielkie brzemię.

Było zimno, z nozdrzy ulatywały jej obłoczki pary. Krok za krokiem zmuszała się do dalszej wspinaczki.

W dłoni ścisnęła lampę; jedną kieszeń napełniła solą, drugą żelazem. Dodatkowo obwiązała się w pasie srebrnym łańcuchem, a wspierała na jarzębinowej lasce. Była gotowa na każdy atak ze strony Mroku.

Aby rozprawić się z duchami, należy z nimi porozmawiać – spróbować przekonać je, by odeszły w Światło – ale Jenny wołała nie ryzykować. Kto wie, z czym może się zetknąć w tej mroźnej, północnej krainie, tak daleko od Hrabstwa? Może okazać się, że tutejsze duchy są zupełnie inne. Z pełnymi kieszeniami i bronią w dłoni czuła się pewniej.

W końcu dotarła do solidnych drewnianych drzwi i spróbowała je otworzyć jednym z ośmiu wielkich kluczy z ciężkiego pęku. Poszcęściło jej się: choć zamek chodził opornie, drugi klucz zadziałał.

Drzwi zaskrzypiały na zardzewiałych zawiasach, a gdy Jenny przyciągnęła je do siebie, dolna krawędź ze zgrzytem przesunęła się po kamiennej posadzce. Drewno napuchło od wilgoci – wyraźnie od wielu lat ich nie otwierano.

Odetchnęła głęboko, by się uspokoić, i przekroczyła próg. Była siódmą córką siódmej córki, wrażliwą na Mrok; natychmiast wy-

czuła w pobliżu coś niebezpiecznego. Uniosła wysoko lampę, przyglądając się otoczeniu: niewielkie pomieszczenie, drewniana boazeria pokryta plamami grzyba, stół i dwa krzesła pod grubą warstwą kurzu. Tuż przed sobą widziała kolejne drzwi, bez wątpienia wiodące do głównej izby.

Zadrżała. Było tak zimno, że ucieszyła się, iż ma na sobie kożuch. Ale najgorszy okazał się smród. Nigdy chyba nie zetknęła się z podobnym. Kiedyś, jeszcze w Hrabstwie, spacerowała po plaży zatoki Morecombe i postanowiła sprawdzić, na co gapi się tłum ludzi. Fale wyrzuciły na brzeg ławicę ryb; martwe od kilku dni, cuchnęły pod niebiosą. Teraz czuła coś podobnego, ale połączonego z odorem żywego stworzenia, trochę jak w stajni pełnej spoconych koni i zasikanych trocin. Wkrótce wyczuła też trzeci składnik: nutę spalonego mięsa, smak siarki na języku.

W żółtym świetle lampy ujrzała wielkiego pająka, siedzącego wysoko na ścianie nad wewnętrznymi drzwiami. Kiedy podeszła bliżej, umknął szybko, chroniąc się w gęstej sieci w kącie.

Drzwi nie miały zamka – jedynie metalową klamkę. Nacisnęła ją i spróbowała otworzyć pchnięciem. Nie ustąpiły. Spróbowała zatem pociągnąć je ku sobie. Tym razem poszło gładko.

Zmysły ostrzegały ją przed zbliżającym się zagrożeniem ze strony Mroku.

Lampa oświetliła pomieszczenie, które niegdyś było bogato zdobioną komnatą, teraz zaniedbaną i zniszczoną przez wilgoć. Trzy wielkie kominki w ścianach przypominały potworne paszce, za przerdzewiałymi metalowymi kratami piętrzyły się sterty popiołu. Z sufitu kapąła woda wprost na zardzewiały kandelabr. Na posadzce Jenny dostrzegła szczątki wspaniałych dawniej kobierców, które obecnie zamieniły się w szmaty – mokre, brudne i spleśniałe.

Nagle jej uwagę przyciągnęło coś nieoczekiwanego: cztery sofy pośrodku pokoju ustawione w kwadrat, zwrócone do wewnątrz ku ciemnej, okrągłej dziurze, mającej około dziesięciu stóp średnicy. Obramowano ją kamieniami, na których ktoś zostawił kieliszek z winem – wyglądał, jakby najlżejsze muśnięcie miało go strącić w dół, w ciemność.

Jenny podeszła do kamiennego kręgu i unosząc nad nim lampę, spojrzęła w głąb czarnej dziury. Przypominała studnię. Czyż-

by czerpano z niej wodę?

Nagle uświadomiła sobie, że to, co widzi, jest nieprawdopodobne: to przecież nie mogła być studnia.

Stała na strychu, na szczycie wieży, pod stopami miała wiele pomieszczeń. Bezpośrednio pod nimi mieściły się pałacowe kuchnie, a dalej, na najniższym poziomie, druga co do wielkości sala tronowa, w której ksiązę Stanisław, władca tej krainy, udzielał audiencji, zwoływał narady i wydawał wyroki.

Dzień czy dwa wcześniej oprowadzano ją po tej części zamku, gdyby zatem ów mroczy szyb przebiegał przez pomieszczenia w dole aż do ziemi, w każdej z sal musiałaby dostrzec kolistą, kamienną konstrukcję przypominającą komin. Z pewnością by to zauważyła...

W pomieszczeniu panowała cisza, zakłócana jedynie stłumionym odgłosem kroków Jenny po mokrym dywanie i kapaniem wody na kandelabr. Teraz jednak dziewczyna usłyszała coś nowego, ciurkanie, jak gdyby wlewano wodę do niewielkiego naczynia.

Wbiła wzrok w kieliszek. Powoli wypełniał się czerwonym winem, cienki strumyk uderzał o szkło, ale nie dostrzegła żadnego widocznego źródła. Czyżby nalewała je niewidzialna ręka?

W sekundę później charakterystyczny metaliczny zapach wypełnił jej nozdrza; pojęła, że myliła się co do płynu w kieliszku. To nie było wino, tylko krew.

Z zaleknioną fascynacją Jenny patrzyła, jak naczynie wypełnia się powoli. Krew sięgnęła krawędzi, po czym połała się na kamień. Kropelki zaczęły parować, od gwałtownego smrodu dziewczynę ogarnęły mdłości, aż zgięła się w pół. Na jej oczach krew w kieliszku zaczęła bulgotać.

A potem naczynie przewróciło się i spadło w ciemność.

Jenny doliczyła do dziesięciu, ale nie usłyszała plusku ani w ogóle niczego. Szyb zdawał się nie mieć dna.

W pokoju panowały wilgoć i ziąb, teraz jednak zdawało się, że robi się cieplej. Z kręgu mokrych kamieni wypływała para.

Jenny czuła, że niebezpieczeństwo jest blisko, włoski na karku zjeżyły jej się, palce mrowiły. Te reakcje świadczyły o tym, że na strychu kryje się coś znacznie gorszego niż zwykła nieszczęsna dusza, którą trzeba odesłać w Światło. Jenny miała nadzieję, że

dowiedzie odwagi i talentu niezbędnych u stracharza. Musiała nauczyć się radzić sobie sama.

Ogarnęła ją groza. Czuła, że zbliża się coś bardzo złego, coś wielkiego i niebezpiecznego; coś, co chce ją zabić.

Cofnęła się, byle dalej od kręgu kamieni, od sof, aż przycisnęła plecy do ściany.

Głęboko w dole coś olbrzymiego odetchnęło głośno. Było tak wielkie, że wessane przez nie powietrze świsnęło obok Jenny z siłą huraganu, zatrzaskując gwałtownie wewnętrzne drzwi. Podmuch powalił ją na kolana, mknąc w głąb mrocznego szybu ku niewidocznej paszczy i potężnym płucom.

Jenny upuściła lampę; spowiła ją ciemność.

Potworny, lśniący kształt wynurzył się z niezwykłej otchłani i zawisł nad nią w powietrzu. Patrzyło na nią sześcioro lśniących, rubinowoczerwonych oczu, osadzonych głęboko w rozdętej głowie.

Kiedy ów stwór – czymkolwiek był – wypuścił powietrze, poczuła, jak omiatają ją gorąco i smród, odór rozkładu martwych istot, które wciąż pełzają bądź czają się w mrocznych podziemiach.

A potem ujrzała macki, które splatały się i rozwijały, sięgając ku niej, by otoczyć ją i ściągnąć w głąb absurdalnej czarnej dziury.

Teraz nigdy już nie zostanie stracharzem.

Zginie tu sama w ciemności.

ROZDZIAŁ

1



JAK MARJONETKA

JENNY CALDER

Wczoraj był najgorszy dzień mojego życia. Tego dnia umarł mój mistrz, Thomas Ward, stracharz z Chipenden.

Tom powinien być zostać w Hrabstwie i walczyć z Mrokiem, rozprawiając się z duchami, widmami, wiedźmami i boginami. Powinniśmy odwiedzać miejsca takie jak Priestown, Caster, Poulton, Bournley i Blackbourn. Ja – spędzać czas w bibliotece w Chipenden i w ogrodzie, przechodząc szkolenie, trenować kopanie jam na boginy i szlifować umiejętność rzucania srebrnym łańcuchem.

Zamiast tego podążyliśmy za wiedźmą zabójczynią Grimalkin w długą, przeklętą podróż na północ, ku krainom Kobalosów. To barbarzyńscy nieludzie, wojownicy o gęstym futrze i wilczych obliczach, którzy zamierzają wypowiedzieć wojnę całej ludzkiej rasie, wymordować wszystkich mężczyzn i chłopców i zniewolić kobiety.

Jeden z ich wojów, morderczo skuteczny zabójca Shaiksa, odwiedzał brzeg rzeki, wyznaczającej granicę między ziemią ludzi i Kobalosów. Rzucił wyzwanie ludzkim przeciwnikom i walczył z nimi w pojedynkach, z łatwością zabijając kolejnych. Lecz święci mężowie tego kraju, magovia, głosili, iż nawiedziła ich skrzydlata postać – postać podobna do anioła, niosąca im proroctwo:

Wkrótce przybędzie tu człowiek, który pokona kobaloskiego wo-

jownika. Po pojedynku powiedzie połączone armie wszystkich księząt do zwycięstwa!

Usłyszawszy o nim, Grimalkin stworzyła w głowie plan i właśnie ów plan kosztował Toma życie.

Grimalkin chciała, by Tom Ward stanął do walki i zwyciężył, a potem poprowadził armię ludzi na ziemie Kobalosów, by wiedźma mogła dowiedzieć się czegoś więcej o ich zdolnościach magicznych i wojskowych.

Tom istotnie pokonał Shaikse, ale umierając, Kobalos zdołał przebić go na wylot szablą.

I Tom Ward także zginął.

To było wczoraj.

Dziś go pogrzebiemy.

Trumna Toma spoczywała na trawie. Księżę Stanisław, władca Polyzni, największego z królestw sąsiadujących z ziemiami Kobalosów, stał obok niej w asyście dwóch gwardzistów. Skinieniem głowy pozdrowił Grimalkin i mnie, po czym wezwał czterech swoich ludzi, którzy razem dźwignęli trumnę.

Obecność jego, a także zbrojnej eskorty miała uczyć Toma. Osobiście wolałabym, żeby ich tu nie było; chciałam zabrać Toma do Hrabstwa, tam gdzie spoczywał jego stary mistrz i gdzie na farmie wciąż mieszkała jego rodzina.

Zerknęłam z ukosa na księcia – potężnego mężczyznę o krótkich, siwych włosach, wydatnym nosie i wąsko osadzonych oczach. Na moje wyczucie przekroczył już pięćdziesiątkę, ale wciąż nie miał na sobie ani odrobiny tłuszczu. W jego bystrych oczach dostrzegłam smutek.

Tom zaimponował wszystkim swoimi umiejętnościami walki. Mimo że odniósł śmiertelną ranę, zabił Kobalosa; to wyczyn, którego nie zdołał dokonać żaden z wojowników księcia.

Kiedy tak wlekliśmy się w miejsce, gdzie miał zostać pogrzebany, niebo nad nami rozdarła błyskawica i wkrótce z chmur lunął deszcz, mocząc nas do suchej nitki. Grimalkin zacisnęła mi dłoń na ramieniu. W jej zamierzeniu gest ten miał mi zapewne dodać otuchy – o ile ktoś tak dziki i okrutny jak wiedźma zabój-

czyni mógłby w ogóle kogokolwiek pocieszyć. Jednak to jej machinacje doprowadziły do śmierci Toma i czułam, jak narasta we mnie gniew. Ucisk jej palców był tak mocny, że niemal zadawał mi ból, ale ja strząsnęłam jej dłoń i podeszłam krok bliżej do otwartego grobu.

Zerknęłam na nagrobek i odczytałam wyryte w kamieniu słowa:

TU SPOCZYWA KSIĄŻĘ THOMAS Z CASTER,
ŚMIAŁY WOJOWNIK,
KTÓRY PADŁ W BOJU,
LECZ ZATRYUMFOWAŁ TAM, GDZIE INNI ZAWIEDLI.

Wymyślone przez nas kłamstwo, że Tom to książę, stanowczo zbyt się utrwaliło – teraz widniało nawet na jego nagrobku. Żołądek ścisnął mi się gwałtownie. Tom był młodym stracharzem walczącym z Mrokiem. Nie powinno było do tego dojść, pomyślałam z goryczą. To niesprawiedliwe. Świat powinien o tym usłyszeć. Zasłużył na prawdę.

A wszystko to było wyłącznie winą Grimalkin. Tom musiał udawać księcia, bo tutejsze armie nie posłuchałyby rozkazów zwykłego człowieka.

Patrzyłam, jak zakapturzony magovia, jeden z ich kapłanów, modli się za Toma. Krople deszczu ściekały mu z czubka nosa. Wokół unosił się mocny zapach mokrej ziemi, która wkrótce pokryje szczątki mojego nauczyciela.

Wreszcie modlitwy dobiegły końca i grabarze zaczęli zasypywać trumnę mokrym błotem. Obejrzałam się na Grimalkin i odkryłam, że zaciska zęby. Sprawiała wrażenie bardziej wściekłej niż zasmuconej. We mnie także kipiały tłumione emocje.

Nagle mężczyźni przerwali pracę i zadarli głowy. W powietrzu wysoko nad nami rozbłysło światło i coś się poruszyło. Zachłysnęłam się na widok skrzydlatej postaci wiszącej wysoko na grobem: jaśniała srebrzystym blaskiem, szeroko rozpościerając trzepoczące skrzydła.

Był to ten sam podobny do anioła stwór, który zawisł nad wzgórzem, gdy trzech magovia wygłosili prorocstwo zapowiadające przybycie wojownika, mającego pokonać zabójcę Shaikse i popro-

wadzić ludzi przez rzekę do zwycięstwa.

Nagle istota złożyła białe skrzydła i runęła ku nam niczym kamień. Zatrzymała się niecałe trzydzieści stóp nad naszymi głowami. Teraz dojrzałam piękną twarz jaśniejącą bladym światłem. Wszyscy gapili się na nią zadziwieni.

Z grobu dobiegł nas jakiś dźwięk, ale zafascynowana skrzydlatą postacią, wciąż patrzyłam w górę. Dopiero gdy zabrzmiał ponownie, zerknęłam ku jego źródłu.

Z początku sądziłam, że oczy mnie oszukują, ale nie tylko ja wbijałam wzrok w grób. Przekonałam się, że trumna nieco się przekrzywiła, a pokrywająca ją mokra ziemia zsuwa się, odsłaniając wilgotne drewniane wieko.

Grimalkin syknęła gniewnie, patrząc na skrzydlatą istotę. Nie mogłam zrozumieć jej rozdrażnienia. Czy nie możemy przynajmniej pochować Toma w spokoju? Potem jednak dostrzegłam, że trumna się rusza. Co mogło to sprawić?

Ogarnęła mnie nowa nadzieja... Czy to możliwe, by Tom wciąż żył?

Z nagłym szarpnięciem trumna uniosła się w powietrze i zaczęła wirować nad grobem, rozpryskując na wszystkie strony krople wody i błoto. Jednym kantem trafiła grabarza, odrzucając go na przyzmę ziemi.

Gapiałam się z otwartymi ustami, patrząc, jak trumna wznosi się powoli. Grimalkin skoczyła naprzód, wyciągając ręce, jakby chciała ją złapać. Ale drewniana skrzynia, wirując coraz szybciej i szybciej, wymknęła jej się z rąk i wzleciała ku czekającej skrzydlatej istocie. Z ust wiedźmy zabójczyni znów wyrwał się gniewny syk, natychmiast jednak zagłuszył go rozdzierający huk grzmotu, od którego zabołały mnie zęby.

Nagle niebiosa rozdarło oślepiające światło – nie błyskawica podobna wcześniejszym, lecz rozwidlony, błękitny zygzakowaty promień, zdający się wylatywać ze skrzydlatej postaci. Trafił w trumnę Toma z rozbłyskiem, od którego zabołały mnie oczy.

To musiało być coś nadnaturalnego – potężna mroczna magia. Po reakcji Grimalkin poznałam, że nie ona to spowodowała. Zatem kto?

Trumna rozpadła się natychmiast, zasypując nas ostrymi drzazgami. Cofnęłam się szybko, osłaniając ręką głowę i w po-

śpiechu wpadając na ludzi.

Część kawałków z pluskiem wylądowała w wodzie na dnie pustego grobu, inne spadały dookoła.

Kiedy znów uniosłam wzrok, nad nami wirował trup Toma, wymachując i trzepocząc bezwładnie rękami i nogami. Ciało opadało spiralą w stronę grobu. Patrzyłam na niego zadziwiona – oczy miał zamknięte; wyglądał jak marionetka dyndająca na niewidzialnych sznurkach. Nie mogłam znieść tego widoku: kto mógł tak niegodnie potraktować go po śmierci?

Nagle skrzydlaty stwór wysoko w górze zniknął niczym płomyk świecy zduszony dwoma olbrzymimi palcami. Rozbłysła błyskawica, trup Toma runął z wysokości dwudziestu stóp na stertę ziemi obok grobu. Przez chwilę wokół panowała absolutna cisza. Wstrzymałam oddech, oszołomiona tym, co zaszło. Czułam przebiegające mnie fale emocji.

A potem usłyszałam znajomy dźwięk. Trup jęknął.

ROZDZIAŁ

2



LUKRASTA

JENNY CALDER

Grimalkin pierwsza dobiegła do Toma. Podniosła go z błota i dźwigając w objęciach niczym dziecko, przepchnęła się przez tłum; nie zważała nawet na księcia. Wyraźnie śpieszyła z powrotem do obozu. Popędziłam za nią, wołałam ją, ale nawet się nie obejrzała.

Wkrótce znalazłyśmy się w namiocie, w którym wcześniej obmyśliśmy ciało. Grimalkin złożyła Toma na stole i przykryła kocem. Oddychał, od czasu do czasu pojękując, ale nie otwierał oczu.

– Tom! Tom! – krzyknęłam, klękając obok, czarownica jednak odepchnęła mnie.

– Zostaw go, dziecko! Potrzebuje mocnego snu – rozkazała, błyskając lekko zaostrzonymi zębami.

Wyglądała na przejętą, ale też rozgniewaną. Jako siódma córka siódmej córki otrzymałam między innymi dar empatii, ale na wiedźmę zabójczynię nie działał. Być może chroniły ją magiczne bariery.

Wkrótce w namiocie zjawił się książę Stanisław pod eskortą czterech gwardzistów. Odbył krótką, ożywioną rozmowę z Grimalkin w miejscowym języku, loście; czarownica nie raczyła przetłumaczyć, więc nie wiem, co konkretnie mówili. Na szczęście jednak czasem udaje mi się odczytać myśli innych, a umysł księcia stał przede mną otworem. Władca był podniecony, zdumiony i pełen przejmującej radości; wierzył, że na własne oczy

ogładał cud. Cieszył się też ze względu na Toma: szczerze uradowało go, że ożył, i z całego serca życzył mu powrotu do pełni sił. Jednak za tym wszystkim kryły się kalkulacje: już teraz przewidywał, jak wykorzysta go niczym figuranta, by wezwać pod swój sztandar więcej wojsk i przypuścić atak na Kobalosów.

Po odejściu księcia zostałyśmy same. Grimalkin siedziała obok Toma, wpatrując się w jego twarz, ja zaś, poruszona, krążyłam tam i z powrotem. W głowie kipiało mi od nadmiaru myśli. Bardzo chciałam spytać wiedźmę, co z nim, ale jej mina mnie odstraszała. W końcu nie wytrzymałam.

– Czy on wydobrzeje? – zapytałam. – Czy to możliwe?

– Podejź tu, dziecko – rzuciła Grimalkin. – Spójrz...

Zbliżyłam się do niskiego, prostego stołu, na którym spoczywał Tom. Czarownica uniosła koc, wskazując miejsce, w którym kobaloszka szabla przeszła ciało. Już wcześniej widziałam łuski wokół rany Toma, teraz jednak odkryłam, że zamknęły się nad nią i całkiem ją zarosły.

– To cud! – wykrzyknęłam. – Anioł przywrócił mu życie!

Grimalkin pokręciła głową. Wyraźnie straciła zwykłą pewność siebie.

– To nie był cud, a ten stwór to nie anioł. Po części Tom zawdzięcza uzdrowienie krążącej w jego żyłach, odziedziczonej po matce krwi lamii. Z całą pewnością nie żył, a przywrócenie mu życia wymagało mrocznej magii, tak potężnej, że wszyscy, którzy byli tego świadkami, winni się lękać.

Lamie to zmiennokształtne czarownice. W postaci „udomowionej” przypominają ludzkie kobiety, różni je tylko rząd zielonożółtych łusek, biegnących wzdłuż kręgosłupa. W „dzikiej” postaci poruszają się na czworakach, mają ostre szpony i zębiska, mogące miażdżyć kości. Piją krew swych ofiar.

Wiedziałam, że mama Toma była położną i uzdrowicielką, zdumiałam się jednak, słysząc od Grimalkin, że to także lamia. Przekazała Tomowi moc samouzdrawiania, ale by przeżyć śmierć, trzeba było czegoś dalece potężniejszego.

– Kto posłużył się tą magią? – spytałam.

Grimalkin nie odpowiedziała – czy w ogóle mnie słuchała? Zupełnie jakby wycofała się do własnego, prywatnego świata. Nagle usłyszałam dobiegające z zewnątrz szmery, zamiast zatem po-

wtórzyć pytanie podeszłam do wejścia i uniosłam klapę. Na dworze stały dziesiątki wojowników, wszyscy wbijali wzrok w namiot.

Wróciłam do prowizorycznego łoża Toma. Oddychał powoli, pogrążony w głębokim śnie, ale wyglądał, jakby lada moment miał otworzyć oczy. Zastanawiałam się z przerażeniem, czy po takim wstrząsie pozostanie sobą? Może pchnęło go to w otchłań szaleństwa albo całkiem zapomni swe poprzednie życie?

– Na zewnątrz roi się od żołnierzy. Czego oni chcą? – spytałam wiedźmę.

Ta westchnęła, uniosła koc i znów obejrzała ranę Toma. Potem przemówiła tak cicho, że musiałam się nachylić, by dosłyszeć jej słowa:

– Chcą, by ten śpiący „książę” poprowadził ich za rzekę i zniszczył Kobalosów. Widzieli, jak Tom pokonał Shaikse, teraz na własne oczy oglądali jego powrót z martwych, jeszcze większy wyczyn. Pragną tego, czego i ja chciałam; znaleźliśmy się w punkcie, do którego od początku zmierzałam. Ale to ktoś inny doprowadził nas do niego, ktoś, kto zasiał nasiona wiele miesięcy przed naszym przybyciem, kto ujrzał szerszy obraz rzeczy, po czym knuł i spiskował, by doprowadzić do tej chwili.

– Miesiące? – powtórzyłam. Skąd mogła to wiedzieć?

– Skrzydlata istota od pewnego czasu objawiała się kapłanom. Kieruje nią ktoś, kto ukrywa się wśród cieni, więc nie mogę go dostrzec.

– Wiesz kto? – spytałam z nagłą obawą.

Sądziłam, że to Grimalkin knuje i spiskuje, teraz jednak pojawił się ktoś zbyt potężny, by nawet ona mogła się z nim równać.

– Wiadomo mi tylko o jednej osobie władającej tak potężną mroczną magią – odparła. – To ludzki mag, spotkałam go już wcześniej. Nazywa się Lukrasta. Kiedyś służył Złemu. Teraz chce uchronić ludzkość przed zniszczeniem i wytępić Kobalosów.

– Tom opowiadał mi trochę o Lukraście. Czy to nie z nim współpracuje teraz jego przyjaciółka Alice?

– Ten sam – przyznała wiedźma zabójczynie z posępną miną, a jej wargi drgnęły. Zastanawiałam się, czy to możliwe, by się bała...

– Ale czyż nie pragniemy wszyscy tego samego? – naciskałam.

Z pewnością mag Lukrasta okazałby się cennym sojusznikiem.

– Lukrasta istotnie walczy po naszej stronie, przeciw Kobalosom: ale czasami metody, które stosuje, są zbyt straszne. Cel nie jest tego wart. – Grimalkin pokręciła głową. – Bardzo uważnie oglądałam ostatni etap pojedynku Toma z zabójcą. Walczył doskonale, dokładnie tak, jak go wyszkoliłam – kiedy jednak zadał zabójczy cios, popełnił podstawowy błąd. Jego pozycja pozwoliła Shaiksie wykonać mordercze pchnięcie.

– Ale przecież Kobalos świetnie władał bronią. Jesteś pewna, że Tom się pomylił? W ogniu bitwy każdemu przecież może zdarzyć się błąd.

– Jestem pewna, dziecko – odparowała gniewnie Grimalkin, szczerząc ostre zęby. – Tom Ward nigdy sam z siebie nie popełniłby tak podstawowego błędu. Sądzę, że ktoś wpłynął na niego magicznie. Musiał zginąć, by wojownicy mogli oglądać jego zmartwychwstanie. Teraz najpewniej pójdą za nim w bój bez słowa zwątpienia czy protestu. Skrzydlaty stwór i prorocтва magovia... wszystko to aż nadto dobrze do siebie pasuje. Zostaliśmy wykorzystani jako trybik sprytnego planu, pionki w znacznie większej rozgrywce. Pomyśl, co się wydarzyło i jak wyglądało – warknęła. – Tom cierpiał z powodu kłowań owego maga. Ma za sobą bolesną śmierć i może jeszcze boleśniejsze zmartwychwstanie. Każde z nas można zastąpić. Tom Ward i Lukrasta to wrogowie. W zeszłym roku walczyli i Tom wygrał. We wszystkim, co tu zaszło, widać mściwość i okrucieństwo. Raniąc Toma, mag wywarł bolesną zemstę na swym rywalu.

– W jaki sposób Lukrasta miałby być rywalem Toma? Czy to z powodu Alice? Czyżby Tomowi wciąż na niej zależało? – Miałam nadzieję, że nie. Niedobrze, gdy stracharz zanadto zbliża się do czarownicy.

Grimalkin uśmiechnęła się gorzko.

– Alice i Tom byli ze sobą bardzo blisko, jej nieobecność go rani. Teraz zbliżyła się do Lukrasty bardziej niż kiedykolwiek do Toma. O tak, zostali prawdziwymi rywalami o jej przyjaźń.

Dłuższą chwilę nie odpowiadałam. Nigdy dotąd nie widziałam tak poruszonej wiedźmy zabójczyni. Czułam, jak sama wędnę w ognistym blasku jej furii. W końcu zebrałam się na odwagę i zadałam pytanie, które mnie dręczyło.

– W jaki sposób ktokolwiek mógł manipulować magicznie Tomem podczas walki z Shaikszą? Dzierżył przecież Gwiazdną Klingę, którą dla niego wykułaś! Oboje sądziliście, iż czyni go ona odpornym na magię.

– Bo tak być powinno. Wierzyłam, że uchroni go przed każdą mroczną magią, mającą go skrzywdzić, zarówno ludzką, jak i kobalorską. To właśnie nie daje mi spokoju. Magia skierowana przeciw Tomowi okazała się potężniejsza od miecza. Podejrzewam, że aby to osiągnąć, Lukrasta i Alice złączyli swe siły. – Dłonie Grimalkin lekko drżały, ale ze strachu czy z wściekłości?

Po jakimś czasie znów się odezwała, tym razem przyjaźnie i łagodnie.

– Wyglądasz na zmęczoną, dziewczyno. Wiele przeszłaś. Ja będę czuwać przy Tomie. Wracaj do naszego namiotu i prześpij się. Poproszę księcia, by zapewnił ci eskortę podczas wędrówki przez obóz.

Zawahałam się. Nie chciałam zostawiać Toma, bardzo pragnęłam być tu, gdy się ocknie, ale Grimalkin wpatrywała się we mnie i musiałam odwrócić wzrok.

Po godzinie znalazłam się już w naszym własnym obozie, pilnowanym przez paru gwardzistów władcy. Mimo zmęczenia najpierw nakarmiłam i napoiłam konie, dopiero potem wśliznęłam się pod koc. Niemal natychmiast zapadłam w głęboki, pozbawiony marzeń sen.

Obudziłam się późnym rankiem i gdy wyszłam na dwór, odkryłam, że strażnicy zniknęli, podobnie jak większość okolicznych namiotów. Nigdzie nie dostrzegłam śladu ludzi.

Zdziwiło mnie to i miałam ochotę zbadać sprawę, ale konie mocno się zastały, toteż na razie odłożyłam na bok ciekawość i zajęłam się nimi, urządzając przejażdżkę wzdłuż rzeki. Pogoda była piękna, więc mogłam rozkoszować się galopem. Ogromnie cieszyło mnie, że Tom ma szansę dojechać do siebie, ale radość tę przyćmiewały słowa Grimalkin na temat Lukrasty i Alice. Jak Alice, przyjaciółka Toma, mogła spiskować, by zadać mu tak wielki ból? Kiedy wróciłam do obozu, ujrzałam wiedźmę zabój-

czynię maszerującą ku mnie między pozostałymi, nielicznymi namiotami.

– Gdzie są wszyscy? – spytałam.

– Wyruszyli do zamku księcia Stanisława. Mamy tam zostać jakiś czas, póki nie zgromadzimy większych sił i nie przygotujemy się do wyprawy za rzekę, na ziemię Kobalosów.

Słyszając to, poczułam, jak ogarnia mnie rozpacz. Nie mogłam uwierzyć, że nadal planują inwazję! Liczyłam, że Tom będzie mógł teraz wrócić do Hrabstwa.

– A co z Tomem? Odzyskał przytomność?

– Nie, wciąż bardzo mocno śpi. Zabrali go tam wozem, pod opieką gwardii księcia. Musimy zwinąć obóz i ruszać za nimi.

Droga do zamku wiodła przez wielką puszczyść wysokich sosen i jodeł. O, jakże tęskniłam za dębami i jaworami Hrabstwa! Kiedy Tom wydobrzeje, z pewnością będzie jeszcze potrzebował długiego okresu rekonwalescencji – inaczej nie starczy mu sił, by stanąć na czele armii. Grimalkin wspominała o wyprawie za rzekę i ataku na Kobalosów, ale może zdołam jednak przekonać go do powrotu? Postanowiłam, że dołożę wszelkich starań.

Kiedy w końcu ujrzałyśmy przed sobą zamek, Grimalkin się nie ucieszyła.

– To miejsce nie nadaje się na obóz zbrojnych! Nie da się go obronić! – wykrzyknęła.

Zamek, wzniesiony na wzgórzu i wyrastający z mgielki i kłębow dymów setek ognisk, wyglądał pięknie i imponująco w wieńcu sosen i dzikich łąk. Brakowało mu jednak fosy i wysokich murów obronnych, typowych dla Hrabstwa.

– Bez wątpienia księżę Stanisław korzysta z niego, gdy wybiera się na łowy na dziki i jelenie – podjęła wiedźma zabójczyni. – Zamek nadaje się tylko do podejmowania szlachty i innych książątek. Powinniśmy natychmiast zawrócić dalej na południe, bliżej stolicy. Nasi kobaloscyc wrogowie mogą przejąć inicjatywę i sami zaatakować.

Dotąd widziałam tylko jednego Kobalosa – zabójcę, którego Tom pokonał w pojedynku. Wiedziałam jednak, że wielu ich wo-

jowników mieszka za rzeką, a jeszcze więcej w wielkim mieście Valkarky. Kobalosi zamierzali wybić wszystkich ludzkich mężczyzn i chłopców oraz zniewolić kobiety. Stanowili przerażające zagrożenie.

Mieli potężnego nowego boga, Talkusa, którego narodziny stanowiły dla nich hasło do napaści na ludzkie ziemie. Talkus przeciągnął też na swą stronę innych Starych Bogów. Najpotężniejszym z owych sprzymierzeńców był Golgoth, Władca Zimy, podobnie jak Kobalosi miłujący lodowe pustkowia; bóg ów nade wszystko pragnął zesłać lód i śnieg na cały świat i doprowadzić do nowej epoki lodowcowej. Bogowie ci, Kobalosi i ich bitewne stwory tworzyli mroczną armię, której mieliśmy stawić czoło.

Gdy dotarliśmy do zamku, przyjęto nas wielce uprzejmie, nakarmiono też i napojono nasze konie. W jakiś sposób służba znalazła dla nich miejsce w zatłoczonych stajniach. Sam zamek także był przepelniony, władcy innych królestw sprowadzili bowiem swych wojowników, by przyłączyli się do sprawy i odparli oczekiwaną inwazję Kobalosów. Każdemu z nich przydzielono kwatere. W efekcie dostałam w południowej wieży ledwie małą izbę, którą dzieliłam z Grimalkin.

W naszym pokoju stały dwa wąskie łóżka – ucieszyłam się z tego, bo we śnie Grimalkin bywa przerażająca. Czasami krzyczy, jakby z bólu, albo wymawia ostre, gniewne słowa w obcym języku; najgorsze jest jednak to, że czasami zgrzyta zębami i warczy – głęboko, gardłowo.

Czas płynął powoli, a ja siedziałam zamknięta w pokoju, opisując wszystko, co zaszło, i pracując nad tą relacją w notesie Toma. Od czasu do czasu wrywałam się na szybki spacer na mrozie, krążąc tam i z powrotem po dziedzińcu. Bardzo chciałam zwiedzić okolicę, ale obozowali tam nieokrzesani żołnierze, a ich wolałam unikać.

Grimalkin cały czas spędzała przy łożu Toma, kiedy jednak ja próbowałam go odwiedzić, nie wpuszczała mnie.

W końcu, trzeciego ranka, zjawiła się i oznajmiła, że Tom odzyskał przytomność i chce ze mną mówić.

Jest to więc ostatni mój wpis w jego notatniku.

Z radością mu go oddam, zastanawiam się jednak, co będzie teraz. Czy wrócimy do domu? Taką mam nadzieję. Niedługo się dowiem.

ROZDZIAŁ

3



CHŁOPAK Z FARMY

THOMAS WARD

Alice odwróciła się i uśmiechnęła do mnie. Właśnie upiekliśmy dwa króliki w żarze naszego ogniska. Teraz jedliśmy je, a pyszne mięso rozpływało się w ustach.

Odpowiedziałem uśmiechem. Była bardzo ładna, miała miłe piwne oczy, ciemne włosy i wydatne kości policzkowe. Jakże łatwo zapomnieć, że czarownica, Koścista Lizzie, wyszkoliła ją w czarach. Właśnie pokonaliśmy straszliwe zagrożenie ze strony Mroku, a Alice mi pomogła – zamiast więc uwięzić ją w jamie, stracharz dał jej jeszcze jedną szansę. Prowadziłem ją na zachód Hrabstwa, do Staumin, gdzie miała zamieszkać z ciotką.

Dokończyliśmy króliki i siedzieliśmy w milczeniu. To była chwila przyjaznej ciszy, żadne z nas nie czuło potrzeby, by cokolwiek mówić. Byłem szczęśliwy, odprężony, cieszyłem się, że po prostu mogę siedzieć obok niej, zapatrzony w ciepły żar ogniska.

Nagle jednak Alice zrobiła coś dziwnego. Sięgnęła ku mnie i wzięła mnie za rękę.

Wciąż milczeliśmy i siedzieliśmy tak bardzo długo. Spojrzałem w gwiazdy. Nie chciałem przerywać tej chwili, ale czułem się bardzo zmieszany. Moja lewa dłoń ścisnęła jej prawą i miałem wyrzuty sumienia, zupełnie jakbym trzymał się za rękę z Mrokiem. Wiedziałem, że stracharzowi by się to nie spodobało.

W żaden sposób nie mogłem uciec od prawdy: to bardzo prawdopodobne, że pewnego dnia Alice zostanie czarownicą. I wtedy przypomniałem sobie, co mówiła o niej mama: że na zawsze po-

zostanie gdzieś pomiędzy – ani całkiem dobra, ani całkiem zła.

Ale czyż to samo nie dotyczy nas wszystkich? Nikt nie jest doskonały.

Nie zabrałem więc ręki, po prostu siedziałem tam. Jakaś część mnie cieszyła się bliskością dodającą otuchy po wszystkim, co zaszło. Druga walczyła z poczuciem winy.

Nagle odkryłem, że leżę w łóżku. Serce zaciążyło mi jak kamień.

To był tylko sen o wydarzeniach sprzed lat, w pierwszych miesiącach mojego terminu.

Radowały mnie owe chwile spędzone z Alice, teraz jednak przypominałem sobie niedawne wydarzenia. Nasza bliska przyjaźń przetrwała lata. Szczerze kochałem Alice i to ona wszystko zakończyła. Zdradziła mnie i odeszła z magiem Lukrastą. Ból, jaki wówczas czułem, pozostał ze mną, wciąż świeży.

Alice została czarownicą. Przeszła na stronę Mroku. Straciłem ją na zawsze.

Zerknąłem na słabe promienie słońca wpadające do pokoju i zadrżałem. Nadal nie oddali mi ubrania, toteż opatulając się ciśnień grubym wełnianym szlafrokiem, po raz pierwszy, odkąd odzyskałem świadomość wstałem z łóżka. Raz jeszcze przypominałem sobie nagły ból, gdy szabla wbiła się w moje ciało. I to, jak zapadam się w ciemność śmierci.

Bolał mnie brzuch, deski pod stopami były zimne. Czułem drżenie kolan, gdy chwiejnie podszedłem do szerokiego parapetu i spojrzałem w dół.

Zamek ten był najdalej na północ wysuniętą siedzibą księcia Stanisława z Polyzni. Grimalkin wyjaśniła mi już, że nie da się go bronić. Umiała dostrzec wady we wszystkim. W jej obecności starałem się zachować spokój, ale czułem narastającą gorycz, świadom, jak mną manipulowała, jak sprowadziła na te północne ziemie, nie mówiąc, że chce, bym walczył z zabójcą Shaikszą. Jej knowania doprowadziły do mej śmierci.

Patrzyłem przez okno na armię złożoną z książęcych oddziałów w niebieskich kurtach i przybyszów z innych północnych

państwerek, sąsiadujących z terenami Kobalosów. Z góry widziałem część ich obozu, brązowy dym ognisk zasnuł łąki ciągnące się od zamku aż do lasu.

Dołączyły do nas także posiłki z większych germańskich królestw na południu. Wiedziałem, że będziemy potrzebowali każdego człowieka i że nigdy ich nie wystarczy.

Gdzieś za rzeką Shanną, dwie godziny w kierunku północnym, czaił się wróg – armia kobaloska, wielokroć większa od naszej. Mogła zaatakować w każdej chwili.

Kobalosi to rasa groźnych i zawziętych bestii, a nowy bóg, Talkus, wzmocnił jeszcze potęgę ich magów i podburzył do wojny. Możliwe, że był teraz najpotężniejszą istotą w Mroku. To dlatego dałem się przekonać Grimalkin do wyprawy tutaj – chciałem zebrać informacje, które mogłyby mi pozwolić pokonać ich, nim dotrą do morza i zagrożą Hrabstwu.

Zniszczyliśmy Złego tylko po to, by coś gorszego zajęło jego miejsce.

Posłuszni prorocत्वu magovia – mędrców i kapłanów służących władcom tutejszych królestw – zbrojni tysiącami przybywali do zamku, a teraz, ponieważ zwyciężyłem w pojedynku z zabójcą, ja miałem ich poprowadzić. Byłem jednak stracharzem, nie księciem. Nie chciałem powieść ich na śmierć.

Siedziałem tak, unosząc twarz do słońca; przenikające przez szkło promienie ogrzewały skórę. Wiedziałem jednak, że za murami powietrze jest mroźne – wkrótce nastanie zima. Chciałem wrócić do domu, nim pogoda się pogorszy i uniemożliwi powrót.

Dni robiły się coraz krótsze, za kilka godzin zajdzie słońce. Niechętnie witałem noc. W ciemności czułem się niepewnie, skrobanie myszy pod podłogą sprawiało, że serce biło mi jak szalone, a całe ciało przepełniało nerwowe podniecenie. Podczas terminu stopniowo nauczyłem się panować nad takimi lękami, teraz jednak czułem się, jakby lata nauki spęły na niczym.

Jak mogłem w takim stanie pozostać stracharzem? Ile czasu trzeba, bym odzyskał pełnię sił fizycznych i umysłowych? Czy naprawdę umarłem? Chwilami wszystko wydawało mi się nierealne, musiałem wówczas dotknąć kamiennych ścian, przycisnąć palce do drewnianych drzwi, by się przekonać, że istnieje naprawdę. Czy rzeczywiście powróciłem do świata, czy

może wciąż pozostawałem martwy i cierpiałem w Mroku? Ogromnym wysiłkiem woli zmusiłem się, by nie myśleć o tym wszystkim. Grimalkin twierdzi, że z całą pewnością zginąłem, ale jeśli tak, nie pamiętałem niczego.

W chwili, gdy zadałem cios, który dał mi zwycięstwo, dostrzegłem szablę Shaiksy zmierzającą wprost ku mnie. Próbowałem się odsunąć. Mogłem to zrobić – powinienem był uniknąć śmiertelnego ciosu – ale dolną część mego ciała ogarnął nagły paraliż.

Pamiętam, że poczułem straszny ból, a potem spojrzałem w dół i widząc klingę, pojąłem, że nie przeżyję takiej rany. Cały byłem zimny, odrętwiały i straszliwie się bałem. Nie chciałem umierać.

Grimalkin wierzy, że ktoś zaatakował mnie mroczną magią. Podejrzewa, że to Lukrasta; przypuszcza też, że to on zaaranżował mój powrót z martwych – że skrzydlata istota, która wyrwała mnie z trumny, to jego sługa. Z wściekłością przypomniałem sobie, jak pokonałem go w boju, ale pozostawiając przy życiu. Jakimż byłem głupcem! Walczyłem z Lukrastą w jego wieży i zwyciężyłem, jego magia na nic mu się zdała, póki dzierżyłem w dłoni miecz Grimalkin.

Co zatem się zmieniło?

Nigdy nie widziałem wiedźmy zabójczynie tak poruszonej. Z pewnością sprawił to fakt, że Gwiezdna Klinga nie uchroniła mnie przed mroczną magią. Czarownica uznała to za osobistą klęskę; nie przywykła, by coś jej się nie udawało, więc potężnie to nią wstrząsnęło.

Kiedy teraz myślałem o tym wszystkim, w mojej głowie pojawiła się nowa, bolesna niepewność.

Alice była kiedyś moją bliską przyjaciółką. Jak mogła narazić mnie na coś takiego...?

Z mrocznego zamyślenia wyrwało mnie dwukrotne stukanie do drzwi. Otworzyły się szeroko, strażnik na moment wystąpił naprzód i uklonił się, a potem cofnął, wpuszczając kogoś.

To była Jenny, moja uczennica. W rękach trzymała mój notes.

Uśmiechnąłem się do niej ciepło, próbując ukryć dręczące mnie uczucia. Miała piętnaście lat, zaledwie o dwa mniej niż ja sam – co do dnia. Wyglądała jak zdrowa córka rolnika: pogodna, jasna twarz, brązowoszare włosy, piegi. Lewe oko miała niebieskie, a

prawie piwne; już to było dość niezwykle, ale to wyraz owych oczu wyróżniał ją spośród innych dziewcząt. Wciąż nie potrafiłem określić, na czym właściwie to polega.

Poddałem ją już próbie, zabierając na Wzgórzu Wisielców obok farmy, na której się urodziłem i wychowałem. Stawiła tam czoło widmom, cieniom dusz żołnierzy, których powieszono w tym miejscu wiele pokoleń wcześniej, pod koniec wojny domowej. Jenny wykazała się odwagą i wrażliwością; to wystarczyło, bym przyjął ją do terminu.

Była zapewne pierwszą dziewczyną uczącą się na stracharza. Według mojego mistrza podstawowy warunek, który trzeba spełnić, to przyjście na świat jako siódmy syn siódmego syna. Pozwalało mi to widzieć i słyszeć umarłych i rozmawiać z nimi, dysponowałem też pewną odpornością na czary. Na razie nie znalazłem żadnych dowodów potwierdzających prawdziwość słów Jenny, że jest siódmą córką siódmej córki, wychowali ją bowiem przybrani rodzice, nieznający jej prawdziwej rodziny. Oglądałem jednak w praktyce działanie jej darów: umiała wnikać w emocje ludzi, wiedziała, co czują, zaledwie patrząc na nich. Może nie czytała im w myślach, ale prawie. Potrafiła też sprawić, że bardzo ciężko ją było dostrzec – nie stawała się całkiem niewidzialna, ale prawie.

– Usiądź – poprosiłem, wskazując parapet obok siebie.

Posłuchała i uśmiechnęła się do mnie.

– Jak się czujesz? Blando wyglądasz.

– Jakby muł kopnął mnie w brzuch, ale poza tym całkiem nieźle. – Zmusiłem się do uśmiechu i nagle dostrzegłem, że trzęsą się jej ręce. – A ty?

Widziałem, że jest zdenerwowana, choć próbowała to ukryć.

– Cieszę się, że już ci lepiej. – Po policzku spłynęła jej łza. – Mam nadzieję, że nie będziesz zły? Zrobiłam kilka wpisów w twoim notesie, obejmujących trzy dni, kiedy byłeś...

Zamiast dokończyć podała mi go, a ja przewróciłem stronicę i zacząłem czytać. Po kilku minutach zamknąłem notatnik i popatrzyłem na nią.

– To bardzo dokładna relacja. Jak wiesz, ja sam robię tylko krótkie notatki, a dopiero potem pełny opis w innym notesie, czasami wiele tygodni później.

Powiedziałem to bez zastanowienia i natychmiast przekląłem własną głupotę. Dziewczyna już i tak była roztrzęsiona, nie musiałem dodatkowo pogarszać jej stanu swoją krytyką.

– Przepraszam – szepnęła. – Nie jesteś wściekły, prawda? Pisanie co wieczór pozwoliło mi złagodzić wspomnienia tego, co zaszło. A pisałam w twoim notesie, bo sądziłam, że odszedłeś na zawsze. Próbowałam dokończyć historię twojego życia. – Nagle zaszlochała i z oczu polały jej się łzy.

Pochyliłem się naprzód, na moment kładąc rękę na jej dłoni.

– Nic nie szkodzi, że pisałaś w moim notesie. Nie martw się, później przejrzę wszystko. Dobrze będzie przeczytać twoją relację z wydarzeń po mojej walce z zabójcą. Grimalkin trochę mi opowiedziała, ale nie wdawała się w szczegóły.

Jenny przytaknęła.

– Niesamowity widok, prawda? – Wskazała ręką tysiące mężów w dole. – Mówią, że co dzień przybywają nowi.

– Grimalkin nie jest zachwycona – odparłem. – Twierdzi, że Kobalosi mają armię wielokroć większą od naszej, mają też po swej stronie złowrogie istoty, „stwory bitewne”, znacznie silniejsze, większe i groźniejsze od ludzi. Pamiętasz te potwory, varteki, które zabiliśmy pod Chipenden?

W Hrabstwie walczyliśmy z młodymi vartekami. Były to wielkie stwory o wielu nogach, kopiące tunele pod ziemią i plujące kwasem, który w parę sekund przepalał ciało i kości.

– Być może przyjdzie nam zmierzyć się z dorosłymi okazami. W parę minut przełamałyby naszą obronę. A kiedy uciekniemy, zaczną się rzeź.

Grimalkin spędziła trochę czasu w kryjówce maga, którego zabiłem. Z próbek znalezionych w drzewie wyhodowała kilka istot w nadziei, że odkryje ich mocne i słabe strony. Ale dwa varteki uciekły z pentagramu, w którym je zamknęła. Ponieważ poruszały się pod ziemią, trudno je było złapać – ledwie zdążyliśmy zabić drugiego i nie dopuścić, by zniszczył wioskę Topley, niedaleko farmy, na której się wychowywałem.

– Myślałam, że ona chce przeprowić się przez rzekę i walczyć... Czyż nie taki miała plan?

– Chciała zapuścić się tam znacznie mniejszym oddziałem – wyjaśniłem. – Liczyła, że dotrze szybko na tereny wroga, dowie

się wszystkiego, czego zdoła, a potem wróci. To, co teraz planujemy, bardziej przypomina prawdziwą inwazję. Grimalkin uważa, że nie może nam się udać. – Zadrżałem i jęknąłem, czując nagły ostry ból w brzuchu.

Jenny zerwała się z miejsca, zatroskana.

– Zostawię cię już. Powinieneś odpocząć. Jesteś głodny? – spytała. – Bardzo dobrze nas tu traktują, dostajemy wszystko, o co poprosimy. Zamówić coś dla ciebie? Możemy im rozkazywać jak prawdziwi książęta!

– Tylko niech ci to nie uderzy do głowy! – odparłem z uśmiechem. – Ja tu jestem księciem, ty tylko bezczelną służką. Ale po prawdzie nie mam apetytu.

Było znacznie gorzej: dręczyły mnie mdłości, ostatnią rzeczą, na jaką miałem ochotę, było jedzenie. Może jednak, kiedy coś przełknę, poczuję się lepiej?

– Poproś, by przynieśli mi trochę chleba i sera – dodałem.

Jenny z uśmiechem poklepała mnie po ramieniu, a potem zostawiła mnie samego z myślami.

Po pięciu minutach służący przyniósł mi koszyk z chlebem, masłem, solidnym kawałkiem sera i szklanką jasnego piwa. Skubnąłem trochę sera, wpatrując się w armię otaczającą zamek. Był twardy i mdły, w niczym nie przypominał ostrego, kruchego sera z Hrabstwa, który uwielbiałem. Jednak po jedzeniu poczułem się lepiej i ogarnęła mnie senność.

W chwili, gdy zastanawiałem się, czy się nie położyć, drzwi otwały się nagle i do pokoju wmaszerował książę Stanisław. Spróbowałem wstać na powitanie, gestem jednak pokazał, bym pozostał na miejscu. Przyciągnął sobie spod ściany ciężkie, ozdobne krzesło i usiadł naprzeciwko.

Książę nie był człowiekiem przystojnym, miał jednak w sobie wiele godności. A teraz, gdy się uśmiechnął, promieniował ciepłem. Lubiłem go i szanowałem, dostrzegłem jednak w jego zachowaniu jakąś zmianę – choć nie potrafiłem określić, w czym rzecz.

Otworzył usta, by coś powiedzieć, i zdziwiłem się, że nie ma z nim Grimalkin, tłumaczącej jego słowa. Szybko zrozumiałem dlaczego.

– Ty czujesz się lepiej, tak? – spytał.

Ze zdumienia opadła mi szczęka.

– Sądziłem, że nie znasz naszego języka... – zacząłem.

Wzruszył ramionami.

– Ja nie mówię zbyt dobrze, ale dostatecznie. Ja rozumiem więcej, niż umiem odpowiedzieć. Żeby rządzić, trzeba się uczyć. Ja uczę się wiele języki. Kiedy ja słucham, poznaję więcej, niż kiedy mówię, tak? Ja tak właśnie robię. Ja nauczył się już wiele, słuchając twoje rozmowy z czarodziejką. Ja wiem, że ty oszust. Chłopak z farmy, nie książę.

ROZDZIAŁ

4



NARADA WOJENNA

THOMAS WARD

„Co, nie jest tak? – spytał ostro, unosząc brwi. – Taki ty książę, jak ja wilk!”

Jeden z wielu tytułów księcia Stanisława brzmiał Wilk z Polyzni.

Grimalkin udawała, że pochodzi z książęcej rodziny. Nie podobało mi się to, ale uparła się, że tylko w ten sposób przekonam księcia Stanisława, by pozwolił mi walczyć z wojownikiem Kobalosów.

– Dlaczego zatem zgodziłeś się, żebym walczył? – spytałem, w duchu przeklinając własną głupotę i zgodę na plan czarownicy.

– Mój magovia twierdził, że ty musiał walczyć. On mówił, że Angelus tak powiedział.

– Angelus?

– Stwór, który latał. Ten skrzydlaty, dał tobie nowe życie.

Przytaknąłem.

– Bardzo mi przykro, że cię oszukaliśmy, ale sądziliśmy, że to konieczne. Nigdy nie wysłuchałbyś zwykłego chłopca. Co teraz?

Książę wzruszył ramionami.

– To prawda, ty jesteś zwykły syn farmera? Jak to możliwe? Jak ty nauczyłeś się tak dobrze walczyć? Czemu ty tu przybyłeś?

– Wychowano mnie na farmie, więc owszem, jestem synem farmera. Ale także siódmym synem siódmego syna. Umiem rozmawiać ze zmarłymi, dysponuję też pewną ochroną przed mroczną magią. Ze względu na to wyszkoliłem się na „stracharza”, jak

to nazywamy. Moim zadaniem jest walka z Mrokiem, rozprawianie się z duchami i groźnymi istotami. Kobaloski bóg, Talkus, także pochodzi z Mroku, a jego wyznawcy zagrażają całej ludzkości, nie tylko waszym północnym królestwom. Jeśli zwyciężą tutaj, ruszą dalej na południe i w końcu najadą także mój kraj. Co do umiejętności walki, wyszkoliła mnie Grimalkin, największa z wojowników. Przybyliśmy pokonać naszych wspólnych wrogów. Mimo oszustwa zamiary mieliśmy dobre.

Stanisław przytaknął i westchnął ciężko.

– W takim razie my wcielimy w życie plan czarodziejki. My zaatakujemy Valkarky. Ty jedz, nabieraj sił. Ty się szykuj. Za dwa tygodnie my ruszamy.

Wkrótce potem odwiedził mnie trzeci gość. Grimalkin zjawiała się, ściskając w dłoni długi zwój pergaminu. Powtórzyłem jej szybko swoją rozmowę z księciem.

– Nie mogę uwierzyć, że tego nie zauważyłam! – wykrzyknęła, kręcąc głową. – Powinnam się była zorientować, że tylko udawał, że nie rozumie. Jak mogłam być taka ślepa?

Widziałem, jak bardzo jest poruszona – zwykle potrafiła natychmiast przejrzeć każdego i dostrzec skrywaną prawdę. Tymczasem teraz już drugi raz się pomyliła. Najpierw Gwiezdna Klinga nie uchroniła mnie przed mroczną magią, a teraz to. Wiedźma zabójczyni nie przywykła do popełniania błędów.

– W ostatecznym rozrachunku wyszło na to samo – pocieszyłem ją. – Jak mówi książę, za dwa tygodnie wyruszymy za rzekę. Muszę odzyskać sprawność. W tej chwili ledwo chodzę. Nie wyobrażam sobie, jak miałbym w tak krótkim czasie dojść do siebie na tyle, by móc poprowadzić konno armię. Lepiej, żebym wrócił do domu, do Hrabstwa, i odzyskał zdrowie.

– Nie ma na to czasu. – Grimalkin z dezaprobatą wyszczerzyła zaostrzone zęby. – Wkrótce odzyskasz siły, ale najpierw musimy przygotować plan i nagiąć to książątko do naszej woli.

Przeszła do niewielkiego stołu, rozwinęła pergamin i przytrzymała płasko na drewnianym blacie, przypinając czterema szpilkami. Była to stara mapa, wyblakła i pożółkła, ktoś jednak po-

czynił na niej nowsze dopiski czarnym inkaustem.

– To jest Shanna. – Grimalkin przesunęła palcem wskazującym. – Tu na północy Uskok Fittzanda, rejon niestabilny wulkanicznie. Kiedyś stanowił granicę między ziemiami Kobalosów i ludzi. A tam, na północy, wielkie miasto Valkarky, serce potęgi Kolabosów. Nie wyruszamy tam. Na tym etapie to byłoby samobójstwo.

Valkarky była stolicą Kobalosów; wierzyli oni, że będzie się rozrastać, póki nie pokryje całego świata.

– Dokąd zatem się skierujemy? – spytałem ze znużeniem.

Wiedźma wskazała palcem niewielki krzyżyk na mapie, zrobiony czarnym atramentem, daleko na południowy zachód od Valkarky, odrobinę na północ od uskoku.

– Przystudiowałeś *Glosariusz Kobalowski* Browne'a? – spytała.

Chodziło o coś, na co Grimalkin natrafiła podczas swych podróży. Browne był pradawnym stracharzem, który studiował charakter i losy Kobalosów. Sporządził spis najważniejszych terminów tego ludu, a ja przepisałem go, licząc, że uzupełnię nową wiedzą zdobytą podczas tej wyprawy.

Przytaknąłem.

– W takim razie wiesz, co to jest kulad?

– Umocniona wieża – odparłem. – Nicholas Browne twierdzi, że mieści też w sobie targ niewolników.

– To prawda – przyznała Grimalkin. – Odwiedziłam jeden podczas swoich zeszłorocznych wypraw, handlowano w nim głównie niewolnikami. Ale istnieją też inne kulady, o których Browne nie miał pojęcia. Każdym z nich włada mag – to prywatne rezydencje, symbole władzy i skarbnice kobaloskiej magii. Ten zaś jest wyjątkowy! – wykrzyknęła, pukając palcem w krzyżyk na mapie. – Nazywa się Kartuna, to osobisty kulad maga zwanego Lenklewthem. Lenklewth należy do triumwiratu magów rządzących Valkarky, drugim co do potęgi. Jeśli nam się poszczęści, będzie akurat w mieście i nie zajdzie potrzeba stawiania czoła jego magii. Gdy przeprawimy się przez rzekę, przez jakiś czas będziemy maszerować na Valkarky, by oszukać kobaloskich zwiadowców, obserwujących i zapisujących każdy nasz ruch. Potem jednak skręcimy szybko na zachód, by zaatakować i, miejmy nadzieję, zdobyć Kartunę. Daj mi trochę czasu w tej wieży, a na-

uczę się wielu rzeczy, które być może doprowadzą do klęski naszych nieprzyjaciół. Zabierzemy wszystko, co zdołamy, a potem wycofamy się za rzekę. Później, tak jak przyrzekłam, wrócimy do Hrabstwa. Ale nie powiemy księciu Stanisławowi o zaplanowanym odwrócie: to by zagroziło jego ambicjom i dumie. Musi wierzyć, że zaledwie na chwilę zboczymy z drogi, a potem ruszymy dalej na Valkarky. Kiedy przekona się, z czym mamy do czynienia, z radością zarządzi odwrót, wierz mi.

Nie byłem przekonany, czy Grimalkin ma rację.

– Jesteś pewna? To dzielny człowiek, sprawia wrażenie bardzo zdeterminowanego.

– Pamiętasz varteki?

Skinąłem głową.

– Dwa, z którymi mieliśmy do czynienia, były jeszcze młode i małe w porównaniu z dorosłymi. Kobalosi mogą wysłać przeciw nam setki podobnych stworzeń. W obliczu podobnego zagrożenia nawet dzielny książę się wycofa!

– Mówiłaś mu o kuladzie?

– Jeszcze nie. Zostawię to tobie. Zbieraj siły. Pod koniec tygodnia zorganizujemy spotkanie z książątkami, naradę wojenną. Tam musisz przejąć dowodzenie. Wróciłeś z martwych, przepeliłeś ich nadzieją i pewnością zwycięstwa. Będą oczekiwać, że zadziałasz zdecydowanie i poprowadzisz ich bez wahania. Chciałbyś przeciwżyć to, co wówczas im powiesz?

Przytaknąłem i pozwoliłem Grimalkin trenować ze mną przemowę, zwłaszcza te jej fragmenty, w których miałem wyjaśnić nasze zamiary. Wiedziałem, że będzie trudno – swoją mową i zachowaniem musiałem przekonać prawdziwych książąt, by posłuchali moich rozkazów. A przecież nie ja zaplanowałem tę strategię, wszystko wymyśliła Grimalkin.

Bardzo nie podobała mi się moja rola w tej rozgrywce. Usilnie starałem się ukryć przed nią uczucia, ale ogarniał mnie coraz większy gniew.

Znowu mną manipulowała.

ROZDZIAŁ

5



NAWJEDZONE STRYCHY

THOMAS WARD

Spałem długo, ale wciąż brakowało mi energii. Mimo to najlepiej, jak mogłem, zająłem się dalszym szkoleniem Jenny. Miałem coraz większe wyrzuty sumienia, że ją tu sprowadziłem; nie chciałem przecież, by uznała, że zaniedbuję swoje obowiązki mistrza. Musiałem wyuczyć ją tak, by była możliwie najlepszym stracharzem.

Co dzień późnym popołudniem udzielałem jej w swoim pokoju lekcji. Ja mówiłem, ona notowała. Pod koniec trzeciej lekcji nagle zadała mi pytanie:

– Nie sądzisz, że to dziwne mieć za sojuszniczkę wiedźmę taką jak Grimalkin?

Uczyłem ją o Mroku, wyjaśniając zagrożenia ze strony wodnych wiedźm. Aby ubarwić zajęcia i zainteresować Jenny tematem, opisałem jej wyprawę na północ Hrabstwa z Johnem Gregorym i nasze spotkania z Morweną, najpotężniejszą z wodnych czarownic.

– Istotnie, sprzeciwia się to naszej tradycji. Mój mistrz z początku stawiał opór, ale po jakimś czasie nawet on pojął, że potrzebujemy podobnych sojuszy. Wiedźma zabójczyni kilka razy ocaliła mi życie. Morwena polowała na mnie w ciemności, byłem sam na bagnach, nie liczyłem już na nic prócz śmierci. Wtedy Grimalkin przyszła mi z pomocą i wspólnie pokonaliśmy wodną wiedźmę.

Jenny nie sprawiała wrażenia przekonanej.

– Dość już teorii na dzisiaj – oznajmiłem nagle.

– Mam jej dość na całe życie! – odparowała.

Uśmiechała się, ale mówiła szczerze.

– Dlatego nieco zmienimy plany i jutro przejdziemy do zajęć praktycznych – podjąłem. – Książę mówił, że we wschodnim skrzydle pałacu mieści się kilka zamkniętych, nawiedzonych strychów, z których nikt nie korzysta. Czas rozprawić się z owymi duchami. Przekonamy się zatem, czy zdołasz odesłać zbłąkaną duszę do Światła.

Zbłąkane dusze to zmarli uwięzieni na ziemi – często duchy, które nie zdawały sobie sprawy, że umarły.

Poprzedniego wieczoru, mając na względzie naukę Jenny, spytałem księcia Stanisława, czy w tym starym zamku są jakieś zjawy.

Uśmiechnął się ustami, ale nie oczami.

– Tak, my mamy duchy. Dużo duchy. Są miejsca, gdzie my nie mogą chodzić. To duża groźba. Wiele mrocznych komnat. Gdy zapalić świece, cienie ruszają się dziwnie, a powietrze lodowate. My zamknęli je dawno temu. Uwięzili groźbę wewnątrz. Stary problem.

– Muszę szkolić moją uczennicę – wyjaśniłem. – Mógłbym uwolnić duchy z tych pomieszczeń, wówczas znów dałoby się z nich korzystać.

Popatrzył na mnie jak na wariata.

– Ty myślisz, że możesz to zrobić? Wielu próbowało. Magovia też, dużo lat. Próbowali i ginęli.

Uśmiechnąłem się do niego.

– Jestem pewien, że zdołam pomóc. Pozwolisz mi spróbować?

Duchy zazwyczaj nie zabijają ludzi, czasami jednak doprowadzają ich do obłądu. Istniały wszakże wyjątki: na przykład w Hrabstwie pojawiały się czasem duchy-dusiciiele. Stracharze dzielili je na trzy rzędy. Najsilniejsze, te pierwszego rzędu, były niezwykle rzadkie, ale mogły udusić ofiarę: obejmowały dłońmi szyje nieszczęśników i ścisnęły, a jeśli natrafiły na kogoś słabszego, mogły pozbawić go tchu.

W *Bestiariuszu* mojego mistrza, jego osobistym kompendium wiedzy na temat istot z Mroku, znalazłem także relację o czymś jeszcze niebezpieczniejszym: opis spotkania z niezwykle silnym

ducicielem, który zabił kilka osób.

Nie zdołał jednak uczynić tego samego z Johnem Gregorem, stracharzem. Ale wieści o śmierci magovia dały mi do myślenia. Znaleźliśmy się z dala od Hrabstwa – może tu wszystko wyglądało inaczej?

– Jestem siódmym synem siódmego syna – poinformowałem Stanisława z pewnym siebie uśmiechem. – Nawet najsilniejszy duch nie zdoła mnie zabić.

Księżę wzruszył ramionami.

– Zatem ja dam ci klucze. Żeby ty mógł spróbować. Ale jeśli groźba zbyt wielka, ty uciekaj. Magovia, którzy zginęli, byli uparci. Oni wracali tam raz po raz. Lepiej wiedzieć, kiedy nie móc wygrać.

Teraz, patrząc na Jenny, wyjąłem z kieszeni owe klucze i zadzwoniłem jej przed oczami.

– Oto klucze do nawiedzonych strychów – oznajmiłem. – Od czego według ciebie powinniśmy zacząć rozprawę z duchami?

– Musimy odwiedzić te strychy i sprawdzić, co zawierają – odparła i jej twarz pojaśniała z entuzjazmu. – Przekonać się, jak wielki stanowią problem i co należy uczynić.

– A po ocenie sytuacji z jakim największym problemem przyjdzie nam się zmierzyć?

– Z językiem – rzekła z namysłem. – Uczyłeś mnie, że trzeba rozmawiać z duchem i przekonać go, by odszedł w Światło. Ale polyzańskie duchy mówią tylko w łoscie. Nie rozumieją naszej mowy.

– Czyli? – naciskałem.

– Będziemy musieli nauczyć się losty!

Przytaknąłem.

Jenny rozpromieniła się.

– Znam już całkiem sporo zwrotów, które mogłyby się przydać w rozprawie z duchami. Grimalkin mnie uczyła.

Wyraźnie spodobała jej się perspektywa pójścia do nawiedzonych pomieszczeń. Gdyby udało jej się odesłać choć jedną duszę w Światło, udowodniłaby, że poczyniła prawdziwe postępy; to ważne dla jej dalszego rozwoju i pewności siebie. Toteż mimo znużenia musiałem się wysilić.

– Przypilnuj kluczy – powiedziałem. – Jutro darujemy sobie

teorię. Popołudnie masz wolne, ale po zmroku zbadamy pierwszy strych, by zorientować się, z czym mamy do czynienia.

Następnego wieczoru znów siedziałem na parapecie, wpatrując się w migoczące w dole ogniska. Z północy wiał silny wiatr, słyszałem, jak skowycze wokół wieży. Wkrótce spadną pierwsze śniegi.

Było już całkiem ciemno, a Jenny wciąż się nie zjawiała. Zaczynałem się martwić: to do niej niepodobne, nigdy się nie spóźniała.

W końcu usłyszałem szybkie kroki w korytarzu, drzwi otworzyły się i Jenny wbiegła do środka, mijając strażnika. Coś było wyraźnie nie tak. Skinąłem jednak głową gwardziście na znak, że nic się nie dzieje, a on wycofał się, zamykając za sobą drzwi.

Dopiero wtedy spojrzałem na swoją uczennicę: obwiązała się wokół pasa moim srebrnym łańcuchem, w dłoni trzymała jarzębinową laskę, ale oczy miała rozbiegane i dyszała głośno.

– Przepraszam! Bardzo przepraszam! – zawołała i usiadła ciężko obok mnie.

– Co zrobiłaś? – spytałem, nie podnosząc głosu.

Wyrecytowała swoją opowieść tak szybko, że z trudem rozumiałem poszczególne zdania. Wzięła klucze i sama zajrzała na jeden ze strychów. Spodziewała się zastać tam duchy, ale natknęła się na coś znacznie gorszego. W pomieszczeniu zobaczyła coś wyglądającego na okrągłą kamienną studnię. Kieliszek stojący na jej cembrowinie wypełnił się krwią i runął w jej głąb, następnie kamienie zaczęły parować i z otchłani wynurzyła się straszliwa istota. Światła zgasły, a Jenny ujrzała przed sobą potwornego stwora o sześciorgu płonących oczach, który sięgnął ku niej mackami.

– Byłam przerażona, zareagowałam bez namysłu – terkotała, ledwie chwytając powietrze. – Upuściłam laskę, sięgnęłam do kieszeni i nabrałam pełne dłonie soli i opiłków żelaza. A potem rzuciłam nimi wprost w te straszne czerwone oczy. Nigdy w życiu tak bardzo się nie bałam. Wiedziałam, że jeśli to jakiś duch, sól i żelazo nie zadziałają. Podobnie, jeżeli zjawił się tam demon

albo istota z Mroku. Stwór ryknął ogłuszająco, cała komnata zaczęła dygotać, jego głowa opadła w głąb studni, macki nagle wydały się krótsze, mniejsze. Nie zniszczyłam stwora, ale sól i żelazo dały mi dość czasu, bym mogła uciec. Chwyciłam laskę i pobiegłam ile sił w nogach. Zatrzasnęłam za sobą pierwsze drzwi, drugie zamknęłam na klucz – choć wiedziałam, że to może nie wystarczyć, by go powstrzymać. Bałam się, że stwór mógłby dostać się do zamku i zaatakować innych ludzi. Odpowiadałabym za ich śmierć. Przepraszam, Tomie, przykro mi, byłam taka głupia.

– Ale czemu? Dlaczego, do licha, to zrobiłaś?

– Chciałam dowieść samej sobie, że jestem dość dobra, by zostać stracharzem. Myślałam, że to będzie łatwe. Od Grimalkin nauczyłam się paru użytecznych zwrotów. Znam dość losty, by powiedzieć: „Myśl o szczęśliwych chwilach w swoim życiu i odejdź w Światło!”. Liczyłam, że wrócę i powiem, że mi się udało, że odesłałam duszę w Światło, ale nie spodziewałam się tego czegoś... To nie był duch. Książę mówił, że strych nawiedzają duchy! Pomyślałam, że może zdołam bardziej ci pomóc, zdjęć z ciebie część brzemienia. Tak daleko ci jeszcze do odzyskania pełni sił!

Serce zabiło mi gwałtownie na myśl o podjętym przez nią ryzyku. Mogła zginąć. I miała rację: ta istota mogła też wydostać się ze strychu do zamku i zabić wiele osób. Choć Jenny zachowała się nieodpowiedzialnie, starałam się zachować spokój.

– Jesteśmy w obcym kraju – rzekłem powoli – nie w Hrabstwie, gdzie dysponujemy doświadczeniem wielu pokoleń dotyczącym sposobów, w jaki objawia się Mrok. Tu rzeczy mają się inaczej. Nie powinniśmy ryzykować z nieznanym. To najgłupsza rzecz, jaką zrobiłaś w swoim życiu! – upomniałem. – Istnieją gorsze nieszczęścia niż śmierć. Niektóre istoty z Mroku mogą nie tylko zniszczyć ci ciało, ale też unicestwić duszę.

– Nigdy już nie będę taka głupia! Dostałam nauczkę! – wykrzyknęła Jenny. – Ucieszę się, kiedy zostawimy praktykę i wrócimy do teorii!

Starła się przybrać dzielną minę, ale wciąż dygotała ze strachu. Dla jej dobra musiałem potraktować ją bezwzględnie, aby uświadomiła sobie, jak poważne skutki mógł mieć jej wybryk.

– To nie temat do żartów, Jenny! – warknąłem. – Owszem, dostałaś nauczkę i obyś nigdy jej nie zapomniała! Mamy obowiązki wobec innych. W pewnych sytuacjach musimy poświęcić własne życie. Twoja głupota naraziła ludzi!

– Przepraszam! Przepraszam! – Rozpłakała się, łzy popłynęły jej po policzkach.

– Ale co do jednego nie pomyliłaś się: musimy wrócić do teorii. Właśnie to trzeba zrobić – dodałem stanowczo. – Niezbędne będzie zebranie o wiele bardziej szczegółowych informacji na temat tego strychu, nim powrócimy tam razem.

– Czyli wrócimy, by stawić temu czoło?

– Oczywiście, że tak. Uprzedzałem, że praca stracharza to niebezpieczne zajęcie. A kiedy raz coś zaczynamy, to zawsze kończymy. Być może przebudziłaś coś bardzo niebezpiecznego: coś, co zdoła wyrwać się ze strychu. Trzeba uchronić przed tym ludzi.

– Skąd możemy dowiedzieć się czegoś więcej? – Jenny otarła ręką łzy.

– Jutro pomówię z księciem Stanisławem. Podczas poprzedniej rozmowy powinienem był zadać więcej pytań. To nie był duch, choć ksiązę tak właśnie go nazwał. Zna nasz język znacznie lepiej niż ja lostę, ale...

– Dla niego to nie takie trudne – przerwała złośliwie Jenny.

Ugryzłem się w język, by nie odpowiedzieć z gniewem. W jednej chwili zalewała się łzami, w następnej znów zachowywała beczelnie. Ja sam nigdy nie odezwałbym się tak do mojego mistrza, Johna Gregory’ego, pomyślałem cierpko. Ale Jenny była z natury buntownicza, ja sam zresztą także.

– Owszem – rzekłem – ale ksiązę dysponuje dość ograniczonym słownictwem i powinienem był pojąć, że nie mówimy o tym samym. Ty przynajmniej możesz uczyć się na moich błędach. Gdy mamy do czynienia z czymś nieznanym, zanim się zbliżysz, zbierz tyle faktów, ile tylko zdołasz.

Oslabienie sprawiało, że sam niechętnie myślałem o wyprawie na strych, oczekiwałem jednak, że będzie to rutynowe ćwiczenie. Teraz pojąłem, że nawet gdybyśmy udali się tam razem z Jenny, spotkanie z istotą ze studni wciąż pozostałoby niebezpieczne. Zakładałem, że natkniemy się na ducha jakiegoś szlachcica z Polyni, czy może strażnika, co wiązałoby się najwyżej z poważnym

problemem z porozumieniem. Nie miałem pewności, czym jest stwór ze strychu, ale z pewnością dysponował ogromną mocą.

– Czy to był jakiś demon? – spytała Jenny.

Wzruszyłem ramionami.

– Z opisu nie przypomina niczego, z czym się dotąd zetknąłem. Możliwe, że to demon czy wręcz coś zupełnie nieznanego, coś, z czym nie zetknął się żaden stracharz z Hrabstwa.

Nie ujawniłem jej prawdziwych obaw dotyczących tego, z czym się zetknęła. W istocie relacja dziewczyny wstrząsnęła mną do głębi. Znalazłem się daleko od domu, wszystko tu wykaczało poza moje doświadczenie. I bez tego miałem dość spraw na głowie. Możliwe, że Jenny przebudziła coś, co mogło zagrozić całemu zamkowi i dalszym ziemiom.

Musieliśmy się z tym rozprawić.

Następnego ranka sprawdziłem pomieszczenie pod wieżą, nie znalazłem jednak ani śladu żadnego komina wiodącego w dół. Szyb opisany przez Jenny nie przechodził przez kuchnię ani salę tronową. Dziewczyna nazwała go studnią, byłem jednak pewien, że w istocie to portal wiodący do Mroku.

Księżę Stanisław, zajęty sprawami państwowymi, znalazł dla mnie czas dopiero późnym popołudniem. Podczas przechadzki po murach, gdy oddech parował nam z ust, opisałem mu przeżycia Jenny.

– Spodziewałem się zastać na tych strychach duchy ludzi – wyjaśniłem. – Uważam, że Jenny natrafiła na rodzaj demona.

– A demon to nie to samo co duch? Nie?

– Demony są znacznie potężniejsze i groźniejsze.

Księżę przytaknął z namysłem.

– Wiele lat temu, przed moim życiem, przed życiem mego ojca i jego ojca, zamek ten zajęli Kobalosi. Tu mieszkał okrutny wróg, bardzo długo, nim my go odparli. Wiele lat on robił z tym zamkiem, co tylko chciał. Ich magowie rozmawiali na tym strychu z mrocznymi duchami. Oni szeptali do mrocznych istot w mrocznej jamie wiodącej do piekła. Kilku magovia, którzy odwiedzili tę komnatę, nigdy już nie widziani. Innych poraziło gorąco.

Zostały tylko kawałki spalonych ciał.

Pokiwałem głową. Czyli mieliśmy do czynienia z niebezpiecznymi, mrocznymi stworami Kobalosów.

– Twoja uczennica wybrała najbardziej groźny strych. Inne nie takie złe. Jeden ma ducha Kobalosa. My myślimy, że kiedyś on był mag, ale teraz stracił moc. On mamrocze do siebie. Straszy ludzi, ale on nie rani.

– Zatem pójdę i porozmawiam z nim – oznajmiłem.

Może ten duch będzie coś wiedział na temat stwora, z którym zetknęła się Jenny? Grimalkin wspominała, że wielu kobaloskich magów zna nie tylko lostę, ale i nasz język.

– Gdzie mogę go znaleźć? – zapytałem. – Na którym strychu?

– W najwyższej wieży na północny wschód. Ale dziś ty odpoczywaj, oszczędź siły. My niemal gotowi przepłynąć się przez rzekę i zaatakować – ciągnął księżę, wskazując gestem armię w dole. – Ty mówisz do nas jutro? O planie?

– Tak, przemówię jutro – odparłem.

Grimalkin skończyła już ćwiczyć ze mną przemowę i uprzedziła o jutrze. Wiedziałem, że bardziej gotów nie będę.

– Jeszcze jedno – rzekł Stanisław. – Pamiętaj, my nie mówić im, że ty tylko chłopak z farmy. Tak najlepiej. Ty trzymaj się planu czarodziejki, tak? Zgoda? Jak tak zrobisz, posłuchają lepiej.

Uśmiechnąłem się na znak zgody i poszedłem poinformować Jenny, że nie będziemy musieli zajmować się niebezpiecznym stworami, póki nie porozmawiamy z duchem maga.

ROZDZIAŁ

6



NIEWIELKA ZMIANA TRASY

THOMAS WARD

Denerwowałem się perspektywą przemowy do władców pobliskich królestw, choć świetnie wiedziałem, co mam mówić i jak się zachowywać.

Kiedy przybyłem do sali tronowej księcia Stanisława, oni zbrali się już wokół dużego, kwadratowego, drewnianego stołu. Wielodzielne okna ukazywały lasy, łąki i jeziora.

Grimalkin postępowała tuż za mną, dźwigając mapę. Jenny wciąż udawała osobistą służkę, jej obecność zatem uznaliśmy za zbędną. Nie ucieszyła się z tego, bo zżerała ją wrodzona ciekawość.

Rozejrzałem się dookoła. Mimo tak wielu prób, obawiałem się czy podołam zadaniu. Wzdłuż ścian czuwali strażnicy w uroczystych mundurach, każdy uzbrojony w ostrą włócznię i solidną pałkę.

Choć na palenisku za tronem płonął ogień, w długiej sali panował chłód. Pomyślałem, że w zimie musi tu być okropnie. Nad naszymi głowami wznosił się wysoki, sklepiiony sufit. Pochodnie, migoczące w uchwytych, rozpraszały większość mroku, ale w najdalszych kątach obszernej sali zalegały wyspy cienia, a gdzieś w górze, na strychu, mieścił się portal wiodący w Mrok.

Uniosłem głowę, przypominając sobie relację Jenny ze spotkania z mroczną istotą, i zadrżałem.

Miałem na sobie strój przywieziony z domu przez Grimalkin – ubranie stosowne dla księcia. Na każdym z ramion widniała

czerwona róża z Hrabstwa; wiedźma zabójczyni sama je wyhaftowała. Ludzie, z którymi miałem się spotkać, przywdziali własne eleganckie szaty i nie mogłem się wśród nich wyróżniać. Jak wyjaśnił książę Stanisław, w naszym najlepszym interesie leżało nieujawnianie prawdy o moim pochodzeniu.

Grimalkin natomiast wyglądała jak zawsze. Podpięła spódnicę, by nie krępowała jej ruchów; jej ciało wciąż okalały rzemienie, ale pozostały na nich jedynie puste pochwy – podczas oficjalnej narady tylko straż nosiła broń. Nie zabrałem zatem Gwiazdnej Klingi. Zawiodła mnie co prawda w walce z Shaikszą, lecz przy innych okazjach obroniła przed mroczną magią. Nie miałem powodów, by podejrzewać jakiegokolwiek zagrożenie, ale czułem się bez niej nagi.

Zgromadzeni wokół stołu powitali nas uśmiechami. Zachowywali się z szacunkiem, patrząc na mnie z nabożnym podziwem. Grimalkin przygotowała mnie na to, więc się nie speszyłem: ostatecznie powstałem z martwych, trudno oczekiwać innej reakcji. Służący podał nam kielichy wina w tym samym odcieniu czerwieni co róża z Hrabstwa. Natychmiast skojarzyło mi się to z kieliszkiem widzianym przez Jenny, który napełnił się krwią przy portalu; z trudem opanowałem dreszcze.

Oboje z Grimalkin odmówiliśmy uprzejmie; po prostu podszedłem do stołu i przyglądziwszy mapę, przypiąłem ją do blatu.

Książę Stanisław przedstawił kolejno wszystkich zebranych, a ja uprzejmie kiwałem głową, starając się usilnie zapamiętać ich imiona, z których większości nie potrafiłbym wymówić. Dowiedziałem się już wcześniej, że obecni będą przedstawiciele sześciu królestw, Polyznia księcia Stanisława była z nich zdecydowanie największa; drugie najważniejsze to górzysty Wajaland, a po nim Shallotte niedaleko wybrzeża.

Najłatwiejszy do zapamiętania był książę Kajlar z Wajalandu, ponieważ prócz olbrzymiego wzrostu – musiał mieć co najmniej siedem stóp – i muskularnego ciała miał też długą czarną brodę, niemal sięgającą pasa, zakończoną trzema warkoczykami, które podwijały się w górę, celując w nas niczym trójzab.

Sojusz książąt zgromadził armię, która według wiedźmy zabójczyni liczyła ponad siedem tysięcy zbrojnych, w tym cztery tysiące konnych, a wśród piechoty dwa tysiące łuczników. Mogli-

śmy też zabrać ze sobą trzy osiemnastofuntowe działa, każde ciągnięte przez zaprzęg mułów. Mieliśmy również saperów: żołnierzy kopiących tunele i wysadzających fortyfikacje.

Prócz wojska miało nam towarzyszyć dwa tysiące pomocników, w tym kucharzy, kowali, nadzorców taborów i najróżniejszej służby, obsługującej władców. Mnóstwo, mnóstwo ludzi. A ja ledwie dawałem radę pokierować jedną uczennicą!

Mimo wcześniejszych obaw teraz Grimalkin sprawiała wrażenie zadowolonej z tego, co zdołały zmobilizować względnie niewielkie księstwo. Wierzyła, że gdyby większe królestwa południa, zwłaszcza te germańskie, miały dostarczyć proporcjonalnie tyle samo sił, zyskalibyśmy prawdziwą szansę w starciu z Kobalosami.

Znajdowaliśmy się daleko na północny wschód od Hrabstwa, które od pola bitwy oddzielał cały kontynent i wzburzone północne morze. Jeśli jednak nie pokonamy najeźdźców, z czasem mroczna armia zagrozi także jemu.

Znów zwróciłem się ku książętom i na moment poczułem na sobie wzrok księcia Stanisława, który uśmiechnął się lekko i niemal niedostrzegalnie skinął głową. Potem, próbując przemawiać stanowczo i spokojnie, zgodnie z zaleceniem wiedźmy zabójczyni, wygłosiłem pierwsze kłamstwo.

Wskazałem palcem Valkarky na mapie.

– Oto nasz cel. Powinniśmy tam dotrzeć w niecałe dwa tygodnie. Trzeba dalszego tygodnia, by z powodzeniem przebić się przez mur miasta.

Grimalkin tłumaczyła moje słowa zebrany, wiedziałem jednak, że książę Stanisław zrozumiał już ich ogólny sens.

– Jednakże – ciągnąłem – najpierw trochę zboczmy z drogi. Po dwóch dniach marszu na Valkarky odbijemy w lewo i wyprawimy atak z zaskoczenia na ten kulad!

Znów pokazałem mapę i mocno stuknąłem w nią czubkiem palca wskazującego.

– Nazywa się Kartuna. Wieża ta ma ogromne znaczenie strategiczne.

Gdy już Grimalkin przetłumaczyła moje słowa, zauważyłem kilka zmarszczonych czoł. Książę Stanisław uniósł brwi, a książę Kajlar z Wajalandu przemówił niskim, grzmącym głosem, ner-

wowo pociągając brodę:

– Książę Kajlar nie uważa, by było to rozsądne posunięcie – przełożyła Grimalkin. – Sądzi, że przystając, aby zaatakować wieżę, damy nieprzyjacielowi czas, by zebrał siły i wyszedł nam na spotkanie na równinie Erestaba. Twierdzi, że powinniśmy jak najszybciej wyminąć podobne fortyfikacje, niczym pięść zmierzająca ku szczęce, i skupić się na celu głównym.

Uśmiechnąłem się i skinąłem głową księciu.

– Pod względem czysto militarnym masz rację – przyznałem, patrząc mu prosto w oczy. – Ale Valkarky strzegą nie tylko grube mury i stalowa broń. Kobalosi mają wielu magów, władających potężną mocą; może ona odwrócić nasze działa i zasiać w szeregach tak wielką grozę, że nawet najdzielniejsi umkną z placu boju. Jednakże ten kulad – znów popukałem w niego palcem – to siedziba maga, który gromadzi w nim swoje czary i magiczne przedmioty. Jeśli go przechwycimy, Grimalkin, doskonale znająca się na mrocznej magii, może dowiedzieć się wielu rzeczy, które nam pomogą, odkryć sposób na odparcie czarnoksięskich sił, których użyje nieprzyjaciel.

Książę Stanisław, słysząc to, pokiwał głową, pozostali musieli zaczekać na tłumaczenie Grimalkin.

Podczas gdy czarownica mówiła szybko, ja po kolei patrzyłem im w oczy, tak jak mnie nauczyła. W końcu powróciłem do księcia Kajlara, obdarzając go najdłuższym spojrzeniem, a potem wygłosiłem drugie kłamstwo. Czułem się niezbyt zręcznie, ale jeśli plan Grimalkin miał się powieść, musiałem to zrobić.

– Kiedy zdobędziemy wiedzę, która ochroni nas przed ich magią, pomaszerujemy wprost na Valkarky. Po paru tygodniach zdobędziemy ją i raz na zawsze zniweczymy zagrożenie ze strony Kobalosów.

Kiedy Grimalkin przetłumaczyła moje słowa, zebrani zaczęli kiwać głowami – nawet książę Kajlar niechętnie przyznał, że to najlepsze wyjście.

Potem czarownica zwróciła się ku mnie i skłoniła, okazując szacunek.

– Chciałabym, jeśli można, udzielić kilku rad wojskowych.

– Proszę, zrób to! – poleciłem, tak jak wcześniej wyćwiczyliśmy na wypadek, gdyby uznała, że musi dodać swoje trzy gro-

sze.

Czarownica znów się ukloniła, a potem zwróciła bezpośrednio do książąt. Zastanawiałem się, co mówi, widziałem jednak, że znów kiwają głowami i wymieniają zadowolone spojrzenia.

W dziesięć minut później znów znaleźliśmy się w mojej komnacie.

– Dobrze się spisałeś – pogratulowała Grimalkin. – Wyglądałeś i zachowywałeś się jak urodzony książę. Jeśli wszystko pójdzie dobrze i dopisze nam szczęście, może wrócimy z cennymi informacjami i przyprowadzimy tu większość tych ludzi.

– Co im mówiłaś pod koniec? – spytałem.

– Powiedziałam, że Kobalosi mają dwa serca: jedno mniej więcej w tym samym miejscu co ludzie, drugie, mniejsze, bliżej podstawy gardła. Kobaloski wojownik może przeżyć przebicie głównego serca, bo drugie wciąż podtrzymuje przepływ krwi do mózgu. Rana bezwzględnie śmiertelna u człowieka może pozostawić Kobalosa konającego, lecz wciąż przytomnego i niebezpiecznego. Poradziłam zatem, by poinformowali swoje wojska, że najlepszą metodą zabicia przeciwnika jest dekapitacja albo przynajmniej podwójne przebicie piersi. Pamiętasz chyba, że informacja ta znalazła się w *Glosariuszu* Browne’a i radziłam, byś tak właśnie zabił Shaikse.

– Istotnie, to cenna informacja – przytaknąłem – ale czy potwierdziłaś prawdziwość zapisków Browne’a w tej kwestii? W notatkach nie wspominałaś o badaniach w tym kierunku.

– Moje notatki to ograniczony katalog eksperymentów z kobaloskimi stworami bojowymi, nie ma w nich studiów nad ich anatomią. Mam inne notatki, obejmujące rozważania na temat metod odparcia ich potęgi militarnej. Jeśli jesteś zainteresowany, możesz je przeczytać. Już w Hrabstwie sprawdziłam informację o dwóch sercach, przeprowadzając sekcję haizdana, nim zasypałam jego grób. Potwierdziłam to, badając również zwłoki Shaiksy.

Pokiwałem głową. Grimalkin była dokładna i bardzo staranna w procesie odkrywania wszystkiego, co mogłoby nam pomóc w pokonaniu Kobalosów. Wszystko spletało się gładko, jakby miało utworzyć gobelin – wszystko, łącznie ze mną. Czułem się jak w pułapce, uwięziony wewnątrz jej planów bez pola manewru.

ROZDZIAŁ

7



OJCIEC BOGA

THOMAS WARD

Tę samej nocy wspięliśmy się z Jenny po kamiennych stopniach najwyższej, północno-wschodniej wieżyczki, zmierzając na strych, na którym wedle słów księcia miałem znaleźć ducha kobaloskiego maga. Do pasa przypiąłem Gwiazdną Klingę, w dłoni dzierżyłem jarzębinową laskę, kieszenie wypełniłem solą i żelazem. Oby te środki ostrożności okazały się zbędne. Po doświadczeniach Jenny wolałem jednak nie ryzykować.

Wspinaczka ogromnie mnie zmęczyła; nim dotarliśmy na górę, zdyszałem się i miałem zawroty głowy. Wiedziałem, że jeszcze długo nie odzyskam pełni sił. Za zaledwie kilka dni mieliśmy przeprowić się przez rzekę i przypuścić atak – jakim cudem miałem do tego czasu dosiąść konia i poprowadzić armię? Jak Grimalkin to sobie wyobrażała? Wcześniej czy później będę musiał rozmówić się z nią i jej to wyłożyć.

Klucze nie miały oznaczeń, musiałem wybierać metodą prób i błędów. Dopiero za szóstym razem udało mi się otworzyć drzwi. Jenny uniosła lampę: w jej świetle ujrzeliśmy niewielki przedpokój i kolejne wejście naprzeciwko. Od wyjścia z mojej komnaty dziewczyna prawie się nie odzywała. Bez wątpienia bała się – nic dziwnego po przerażającym spotkaniu ze stworem z portalu.

– Czy ten przedpokój przypomina tamten wcześniejszy? – spytałem.

– Jest identyczny – odparła i zadrżała. – Stał tam nawet stół i dwa krzesła, pokryte grubą warstwą kurzu, tak samo jak tu.

Nie wyczuwałem ostrzegawczego dreszczu świadczącego, że w pobliżu czai się coś z Mroku. Czyżby księżę Stanisław mylił się co do nawiedzającego ten strych ducha?

– Wyczuwasz cokolwiek z Mroku? – spytałem.

Być może moje własne dary nie działały jak należy po ostatnich okropnych przeżyciach.

Pokręciła głową.

– Ja też nie. Sprawdźmy wewnętrzną komnatę. Wkraczamy na nieznany teren, więc zapewne nie zdążę zbyt wiele wyjaśnić. Muszę skupić się przede wszystkim na zadaniu, nie na nauce. Ty tylko słuchaj uważnie.

Kiedy przytaknęła, otworzyłem drzwi wewnętrznego pomieszczenia. Od opisanego przez moją uczennicę różniło się zasadniczo. Tu ze sklepienia nie ściekała woda, nie było też kamiennej studni. Wszędzie zalegały kurz i sterty książek: opasłe, oprawne w skórę tomy piętrzyły się na podłodze w chwiejnych stosach i niemal wysypywały z przepełnionych półek, zasnutych gęstą warstwą pajęczyn. Stojące pod przeciwległą ścianą długie niskie stoły uginały się pod ciężarem olbrzymich szklanych słoików z zielonymi i brązowymi substancjami; przypominało to nieco kryjówkę haizdana w Chipenden. Bez wątpienia Jenny też miała to skojarzenie i raczej jej ono nie uspokoiło. Omal nie zginęła z rąk tamtego maga.

Czy w owych słoikach przechowywano nasiona potwornych stworzeń, takich jak te, które Grimalkin wyhodowała obok owej kryjówki? Przez chwilę zastanawiałem się, czemu nie uprzątnięto tego pokoju. Natychmiast jednak odpowiedź sama mi się nasunęła: śmiertelnie bojący się duchów mieszkańcy po prostu opuścili i zamknęli na głucho cały strych.

– Przykręć lampę, Jenny – poleciłem cicho. – Niektóre duchy unikają każdego światła, a nie chcemy spłoszyć tego tutaj.

Pomajstrowała przy przesłonach, po czym odstawiła lampę na podłogę. Teraz płomyk rzucał tylko niewielki jasny krąg na deski; większość pokoju objęła we władanie ciemność. To, że duch objawi się w takich warunkach, wydawało się bardziej prawdopodobne, choć oczywiście mieliśmy tu do czynienia z nieznanym. Jeśli faktycznie ujrzymy ducha, to będzie to duch Kobalosa i w dodatku maga. Wiedziałem, że w takim przypadku wszystko jest

możliwe.

Nagle poczułem lodowaty dreszcz: ostrzeżenie, że zbliża się coś z Mroku. Powoli w prawym kącie, blisko wysokiej biblioteczki, pojawiła się słaba kolumna światła. Migotała i drżała, stopniowo nabierając kształtu jednego z Kobalosów. Ten stwór był roślejszy i bardziej muskularny od haizdana, z którym walczyłem w Chipenden przed wyruszeniem na północ. Nosił ciężkie, skórzane buty i długą szatę, nieróżniącą się zbyt od stroju stracharza – choć jego odsłonięte ręce porastały gęste włosy, jak u zwierzęcia. Na ogromnym obliczu pozostała tylko ciemna szczecina, wielkie oczy patrzyły wprost na mnie. Jeśli dobrze odczytałem ich wyraz, sprawiały wrażenie bardziej zaciekawionych niż wrogich, dostrzegłem w nich także cień smutku.

Sylwetka znów zamigotała – w jednej chwili była szara i przejrzysta, tak że widziałem przez nią półki, w drugiej sztywny, rudobrazowy materiał szaty i wielkie piwne oczy i zdawały się wyraźne, zupełnie jakbyśmy mieli przed sobą żywego maga.

– Co widzisz, Jenny? – spytałem.

– To jeden z ich magów. Ale chyba nie jest wrogo nastawiony. Wyczuwam promieniujące od niego fale smutku.

Nagle duch przemówił w gardłowej loście. Nie zrozumiałem ani słowa, liczyłem jednak, że mag ów, podobnie jak haizdan, z którym walczyłem w Hrabstwie, zna również inne języki.

– Poproszę, żeby mówił po naszymu – poinformowałem Jenny. – Jeśli tak uczyni, wypytam go i może odeślę w Światło, o ile to w ogóle możliwe. Skup się zatem i słuchaj uważnie, ale pytania pozostaw mnie. – Jenny przytaknęła, a ja zwróciłem się do ducha: – Nie znam twojej mowy. Czy ty władasz moją?

– Wykazujesz się odwagą, przemawiając do mnie – odparł duch niskim, głuchym głosem. – Wszyscy inni ludzie uciekli. Jesteś magiem?

– Nazywam się Thomas Ward i jestem stracharzem – wyjaśniłem. – Moje zadanie to rozprawiać się z duchami i podobnymi stworami.

– Ja nazywam się Abuskai. Jestem wysokim magiem.

– Zdajesz sobie sprawę, że nie żyjesz?

Takie pytanie zawsze stracharze zadają duchom; to pierwszy krok przed odesłaniem ich do Światła. Ale czy kobaloski mag w

ogóle mógł tam trafić? Być może podobnie jak bezecne ludzkie wiedźmy i magowie należał do ich odpowiednika Mroku. A może istnieją krainy kompletnie nam nieznane, w których zbierają się mroczni Kobalosi?

– Oczywiście, że tak. Nie żyję od bardzo dawna – odrzekł duch maga. – Uwięzienie tutaj nuży mnie. Pragnę zakończyć te męki, doznać ukojenia, ale nie mogę odejść z tego świata.

– Co cię zatrzymuje?

Byłem gotów spróbować odesłać go do Światła, prosząc, by skupił się na szczęśliwym wspomnieniu z życia – w przypadku ludzkich dusz ta metoda zwykle się sprawdzała. Najpierw jednak chciałem wypytać Abuskaia o demoniczną istotę w studni.

– Bariery magiczne nie pozwalają mi uciec. Żywy czy martwy, nie jestem już potrzebny tym, którzy teraz rządzą moim ludem. Odrzucono mnie. Jakimż byłem głupcem! To przecież ja pomogłem doprowadzić do tej zmiany!

– Jakiej zmiany? – spytałem cicho.

– Narodzin naszego boga, Talkusa – odparł duch. – Pomogłem do nich doprowadzić, stworzyłem jego fundament.

Talkus był kobaloskim bogiem zrodzonym w chwili śmierci Złego. Rogaty Zły, niegdyś najpotężniejszy ze Starych Bogów, sam w sobie był już dostatecznie okropny. Potrafił zmieniać rozmiary, stawać się o wiele większym od ludzi i zatrzymywać czas, by móc swobodnie porwać dusze ofiar. Stanowił źródło mocy wielu bezecnych wiedźm i innych mrocznych stworów i pragnął zamieszkać na stałe na ziemi, sprowadzając na nią nową erę Ciemności.

Okazało się jednak, że Talkus jest znacznie gorszy. Podczas gdy Zły żądał, by ludzie poddali mu się, Talkus chciał zniszczyć całą ludzką rasę – prócz kobiet, mających na zawsze trafić w niewolę Kobalosów. Z kształtu przypominał skelta, stwora o wielu nogach i kościanej rurze, którą wbijał w ludzkie ciała, by wysać z nich krew. Najbardziej jednak przerażało mnie to, że nie znaleźmy jego mocy – Talkus był przecież nowym bogiem. Możliwe, że potrafi działać rzeczy, przed którymi nie zdołamy się obronić.

Zniszczenie Talkusa mogło stanowić klucz do pokonania Kobalosów. Musiałem się dowiedzieć, jak to osiągnąć.

– Jaką rolę odegrałeś w jego narodzinach? – spytałem.

– Poprzez magię i wiarę ukształtowałem go i nadałem mu ciało. Bóg rodzi się, gdy dostatecznie wielu weń wierzy, gdy dostatecznie wielu go pragnie, gdy architekt ukształtuje ich myśli. Ja byłem owym architektem.

Słuchałem go oszołomiony. Nazwał siebie architektem. Czy naprawdę miałem przed sobą Kobalosa, który zaplanował i stworzył nowy grożący nam Mrok? Jeśli tak, Abuskai był ojcem boga.

Zrozumiałem, że może kryć się tu wielkie niebezpieczeństwo. Tak potężny mag, nawet jako duch, mógłby poważnie nas zranić. Mieliśmy do czynienia z nieznanym. Będę musiał uważać, by go nie rozgniewać. Zerknąłem z ukosa na Jenny – wyglądała na spokojną i wpatrywała się w maga, który w żaden sposób nie okazał, że dostrzega jej obecność. Może dlatego, że była dziewczyną? Dla Kobalosów purra oznaczała niewolnicę, niegodną uwagi. Miałem nadzieję, że Jenny nic nie grozi ze względu na jej płeć. Kto wie, może ducha obrażała jej obecność? Na szczęście uprzedziłem, by zadawanie pytań zostawiła mnie, mag mógłby nie znieść, że uczennica wtrąca się do rozmowy.

– I co się stało? Jak zginąłeś? Dlaczego tkwisz tu uwięziony? – spytałem.

– Kobaloscycy magowie nieustannie zawiązują i zmieniają sojusze. W Valkarky władza przechodzi z rąk do rąk. Takie właśnie sojusze spiskowały przeciw mnie, próbując dla swych własnych celów odmienić to, co kształtowałem. Zostałem zdradzony i zamordowany. Wkrótce potem zabito także króla, a jego miejsce zajął nowo utworzony Triumwirat; to on kontynuował moje dzieło i sprowadził na świat boga Talkusa, zmieniając wszelako moje plany i wykorzystując magię po swojemu. Mnie porzucono bez honoru, pozbawiono życia i uwięziono tutaj.

Triumwirat był trójcą potężnych wysokich magów, obecnie władających Kobalosami. Słyszałem już o nich. Ale Grimalkin wspominała, że jego skład podlegał zmianom – podczas odwiedzin w Valkarky zabiła jednego z członków Triumwiratu. Nie wpłynęło to jednak na ich plany wypowiedzenia wojny ludziom, jedynie podsyciło jeszcze ich wrogość wobec naszej rasy. Może gdybyśmy znów któregoś zabili, przybycie następcy odmieniłoby plany nowej rządzącej trójcy? Ciekawe, czy zmieniając władców,

można by zapobiec wojnie?

Duch zaczął migotać i znów stał się bezcielesny; przestraszyłem się, że zaraz odejdzie. Musiałem się skupić i podjąć rozmowę. Wszystko przemyślę później.

Nagle, wbrew moim poleceniom, Jenny także zadała pytanie.

– Na jednym ze strychów tego zamku czai się niebezpieczna istota, demon. Co to jest i jak można to zniszczyć bądź przepędzić?

Duch gwałtownie stał się widoczny; znów wydawał się tak materialny, jakby można go było dotknąć. Po jego twarzy przebiegły emocje: niedowierzanie i gniew. Jenny naprawdę powinna słuchać moich poleceń – ja sam nigdy nie sprzeciwiłem się w ten sposób mistrzowi. Mag sprawiał wrażenie oburzonego jej słowami i przestraszyłem się, że może coś zrobić.

Niebezpieczna chwila szybko jednak minęła. W odpowiedzi duch całkowicie zignorował dziewczynę, zwracając się wprost do mnie:

– Każdy, kto by próbował zniszczyć istotę, o której mówi twoja purra, byłby głupcem. Przechwyciłaby go i unicestwiła, zarówno ciało, jak i duszę. To stwór zwany Targonem, strzegący bramy ognia wiodącej do królestwa Talkusa.

– Zatem studnia w tej komnacie to portal prowadzący do waszego boga?

– Tak: jedno z trzech stworzonych przeze mnie przejść! – Oczy ducha rozbłysły dumą. – W tej komnacie studiowałem i planowałem, w pokoju z portalem tworzyłem i wykuwałem przyszłość.

– Czy istnieje niebezpieczeństwo, że mógłby opuścić strych i zabić ludzi na zewnątrz?

Duch pokręcił głową.

– To strażnik, od pilnowanej bramy nie może się zapuszczać dalej niż sześć stóp.

– A co skrywają strychy w północnym skrzydle?

– Echa tego, co kiedyś istniało, ale nic ważnego. Może są tam duchy ludzi: niektórych z nich przesłuchiwalismy tam i składalismy w ofierze.

Nagle duch zaczął blaknąć.

– Nie odchódź! – zawołałem. – Chcę cię spytać o coś jeszcze. I spróbuję ci pomóc stąd uciec. Odpowiedz, proszę: gdyby zmienili

się władcy Valkarky, czy wojna mogłaby się skończyć? Czy Kobalosi i ludzie mogliby żyć w pokoju?

– To zależy od osoby władcy i struktury owych rządów – odparł duch maga, znów wyraźniejszy, a jego głuchy głos odbił się echem od ścian. – Ostatni król Valkarky nie był tak bojowo nastawiony jak Triumwirat. Jego ojciec toczył wojny z ludźmi, podobnie ojciec jego ojca. Były to jednak drobne potyczki przygraniczne, tymczasem Triumwirat pragnie przeprowadzić totalną inwazję, zabijając i zniewalając wszystkich. Zawsze będzie dochodziło do sporów na granicach, ale pod innymi rządami Kobalosi i ludzie mogliby przez większość czasu żyć w pokoju. Tak, to możliwe.

Szybko zadałem kolejne pytanie:

– Twierdzisz, że jesteś architektem, który przywołał i ukształtował kobaloskiego boga, Talkusa. Teraz ten właśnie bóg posyła wasz lud na wojnę. Czy tego chciałeś?

Duch zamigotał, ale odpowiedział:

– Nie wojna była celem, dla którego ukształtowałem Talkusa. Tysiące lat temu w akcie szaleństwa mój lud dokonał strasznej zbrodni. Wybiliśmy swoje kobiety. Chciałem to naprawić.

Patrzyłem, jak po twarzy Jenny przebiega grymas grozy i niedowierzania. Z pewnością czytała o tym wcześniej w kobaloskim glosariuszu Nicholasa Browne'a, jednakże dopiero słowa ducha w pełni pozwoliły jej pojąć szaloną grozę owego czynu. Ta przełomowa chwila ukształtowała dzisiejsze społeczeństwo Kobalosów. Ciężko uwierzyć w tak potworną opowieść. Kobaloskie niewiasty wyprowadzono na olbrzymią arenę i wymordowano, podrzynając im gardła i wysączając z nich krew. Trwało to siedem długich dni i jak przyznał sam duch, było aktem szaleństwa. Dzięki niemu kobaloscycy mężczyźni pragnęli osiągnąć pełnię sił: wierzyli, że kobiety ich osłabiają, łagodzą dzikość, stanowiącą istotę wojownika.

Oczywiście wówczas stanęło przed nimi widmo wymarcia, ale już wcześniej zaplanowali sposób, by tego uniknąć. Choć ludzie i Kobalosi to dwie różne rasy, z pomocą magii mogli rozmnażać się z ludzkimi kobietami: niewolnicami, które zwali purrai. Lecz ze związków tych rodzili się wyłącznie mężczyźni.

– Bóg, którego zacząłem kształtować, pomógłby nam ponownie

stworzyć własne kobiety – podjął duch. – Przywróciłby równowagę i z czasem nie musielibyśmy już używać purrai. Ale zamordowanie króla i przejęcie władzy przez Triumwirat zmieniło wszystko. Odmienili nowego boga do swych własnych celów: do wojny i zdobywania coraz większej władzy.

– Czy już za późno na kolejną zmianę? – Jego słowa mnie oszołomiły. Nie był istotą podłą, jego stwórczy czyn miał szlachetne cele.

– Są tacy wśród mojego ludu, którzy już teraz dążą do podobnej zmiany. Rozmawiałem z nimi. Mój duch nie może opuścić tego miejsca, ale ich duchy mogą i przysyłają do mnie swe umysły. W Valkarky działa już sojusz zmierzający do obalenia Triumwiratu. Zapoczątkowała go tajna grupka zwana Skapien, która sprzeciwia się handlowi niewolnikami. Od niedawna jednak w Valkarky pojawili się inni, coraz bardziej otwarcie głoszący swój sprzeciw. Jedną z takich grup są haizdanowie. W rezultacie Triumwirat skazał ich na banicję, teraz zaś ścigają ich i mordują.

– Lepiej byłoby zmienić władców Valkarky niż doprowadzić do wojny – rzekłem do ducha. – Twierdzisz, że masz kontakty wśród Kobalosów sprzeciwiających się Triumwiratowi. Czy ich popierasz? Czy pragniesz tego samego?

– Owszem – odparł mag.

– Nam też przydałby się kontakt z nimi. Mógłbyś go umożliwić?

Dostrzegalem tu prawdziwą szansę – może istniały inne sposoby, by zapobiec zagrożeniu niż ten wybrany przez Grimalkin. Może na Kobalosów da się wpłynąć od wewnątrz?

Duch nie odpowiedział. Po prostu zniknął.

Poczułem zawód, ale przecież to dopiero początek – wrócę tu i znów pomówię z nieżyjącym magiem. Skinieniem głowy wskazałem lampę. Jenny uniosła przesłonę, wypełniając światłem zakurzoną komnatę.

A potem wyszliśmy, zamykając za sobą na klucz oboje drzwi.

– Czy mógłbyś odesłać go do Światła? – spytała Jenny.

– Nie wiem – przyznałem. – Ale jestem gotów spróbować... kiedyś. Myślę, że możemy się od niego dowiedzieć wielu użytecznych rzeczy. Wrócimy tu jeszcze i spróbujemy znów porozma-

wiać.

Jenny ziewnęła.

– Jesteś zmęczona? – spytałem.

Przytaknęła, tłumiąc kolejne ziewnięcie.

– Niestety, będziesz się mogła położyć najwcześniej za godzinę – poinformowałem. – Wcześniej mamy do załatwienia coś jeszcze. W naszym fachu musisz przywyknąć do nocnej pracy!

ROZDZIAŁ

8



MARTWI WIĘŹNIOWIE

JENNY CALDER

Spotkanie z demoniczną istotą ze studni przeraziło mnie. Wciąż bardzo się denerwowałam, gdy Tom rozmawiał z duchem kobaloskiego maga; lękałam się, że lada moment ten ostatni nas zaatakuje. Nawet po śmierci mógł zachować część swojej mocy.

Tom nosił u pasa Gwiazdną Klingę, ale ja nie miałam podobnej ochrony. A zresztą magia miecza już raz go zawiodła. Dwa niedawno przeżyte koszmary wyczerpały moje siły – ostatnią rzeczą, jakiej pragnęłam, było spotkanie z kolejnymi duchami. Z pewnością mogło to poczekać do kolejnej nocy.

Nie odzywałam się jednak – nie chciałam, żeby Tom stracił o mnie dobre mniemanie. Odgrywając posłuszną uczennicę, podążyłam za nim schodami ku kolejnemu ze strychów.

– Słyszałaś, co mówił o zamkniętych pomieszczeniach martwy mag? – Tom zatrzymał się i odwrócił ku mnie.

Dyszał ciężko, powietrze ulatywało mu z ust z głośnym świstem. Przeraziłam się, że przecenił swoje siły.

Przytaknęłam.

– W niektórych mogły pozostać ludzkie duchy.

– Właśnie. Nie będziemy mogli odesłać ich do Światła, bo niemal na pewno pochodzą z tych północnych krain i nie znają naszego języka. Wciąż jednak musimy sprawdzić, co da się zrobić. Naszym zadaniem jest ochrona ludzi przed Mrokiem, nawet z dala od Hrabstwa. To nasz obowiązek, będziemy zatem musieli nauczyć się losty: przynajmniej na tyle, by przekonać dusze do

odejścia w Światło.

Odwrócił się i podjął przerwana wspinaczkę.

– Znam już sporo słów – przypomniałam.

Pokiwał głową.

– Widzę, że mam dużo do nadrobienia – odparł z cierpkim uśmiechem.

W końcu dotarł do drzwi i przystanął, głośno chwytając oddech.

Gdy je otworzyliśmy, nie zobaczyliśmy przed sobą przedpokoj: jedynie spore pomieszczenie, najwyraźniej służące do torturowania więźniów. Stał tam żarnik pełen zimnego popiołu, a na drewnianym stole ułożono liczne narzędzia: szczypce, piły, haki, klingi i długie cienkie igły oraz kajdany do unieruchamiania niešťczęśników. W miejscach, gdzie krew wsiąknęła w drewno, dostrzegłam ciemne plamy. W ścianie także osadzono okowy, na drewnianej podłodze pod nimi widniały kolejne plamy.

Na myśl o tym, co robiono tu z biednymi więźniami, ścisnął mi się żołądek. Oceniałam, że mogli ich tu trzymać nawet do dziesięciu naraz. Nagle umysł zalała mi gwałtowna fala obrazów i uczuć: strzępy koszmarnych przeżyć ofiar, przebłyski wykrzywionych twarzy, jęki i krzyki, nagły, obezwładniający odór krwi.

Zapraęnęłam uciec, byle jak najdalej od tego pokoju, ale odechnęłam głęboko i spróbowałam się uspokoić.

– Przykręć światło, ile się da, Jenny – polecił Tom.

Postawiłam lampę na podłodze obok stopy i poprawiłam przesłoneę. Pomieszczenie znów skrył cień, pozostał tylko niewielki krąg światła na deskach.

Nie czułam się dobrze w mroku owej izby tortur. Wyobrażenia podpowiadała mi najróżniejsze kształty wynurzające się z ciemnych kątów. Ale Tom wiedział, co robi. Duchy rzadko zjawiają się w oświetlonych pomieszczeniach.

Pozostaliśmy blisko drzwi bez ruchu, w milczeniu. Nagle zdrżałam, wyczuwając czyjąś obecność. Nic nie widziałam, ale w lewym kącie, pod najdalszymi ściennymi okowami, zabrzmiał cichy jęk. Potem wyraźnie usłyszałam brzęk łańcuchów o kamień i jeszcze jeden dźwięk, jakby płyn ściekający po ścianach i skapujący na podłogę. Nozdrza znów wypełniła mi woń krwi.

W izbie objawił się duch: duch kogoś cierpiącego katusze po

torturach. Natychmiast dowiedziałam się o nim bardzo dużo. Należał do niewielkiego patrolu zwiadowców, sprawdzających rozmieszczenie sił Kobalosów. Pochodził z Polyzni, ale nie był poddany Stanisława, jego księżę nosił inne miano. Duch przebywał tu od wielu lat – może krajem rządził wówczas ojciec księcia Stanisława albo nawet jego dziadek? Większość patrolu zginęła, resztę schwytano, przesłuchano i poddano torturom.

Czułam cierpienia tego człowieka, coś wykraczającego dalece poza zwykły ból fizyczny. Ranili go klingami zanurzonymi w truciznie powodującej ogromne katusze. Ale jeszcze gorsza była świadomość, że nigdy nie opuści tego miejsca. Jego rodzina mieszkała daleko na południu, nigdy już jej nie zobaczy. Do małego synka i córeczki wkrótce miało dołączyć trzecie dziecko. W jaki sposób jego żona Karina utrzyma sama rodzinę?

Zaszlochałam; po policzkach popłynęły mi łzy, bo duch nie zdawał sobie sprawy z tego, jak długo tutaj tkwi. Do tej pory jego żona pewnie już nie żyła, a dzieci się zestarzały.

Tom obdarzył mnie ciepłym spojrzeniem i przyłożył palec do ust, prosząc o ciszę. Przytaknęłam, tłumiąc kolejny szloch.

Następny dźwięk dobiegł od stołu: niski jęk, a potem wrzask agonii. Potem usłyszałam zgrzyt piły. Przecinała coś – ale nie drewno.

Duch odtwarzał straszliwe chwile tortur i śmierci. Prześladowcy piłowali mu ciało i kości.

Nie mogąc dłużej nad sobą zapanować, zwymiotowałam na podłogę. Nie ośmieliłam się spojrzeć na Toma; czułam smród własnych wymiocin i wiedziałam, że on też go czuje. Oparłam się o ścianę, dygocząc.

Tom wskazał drzwi, a ja pojęłam, że wychodzimy.

– Przepraszam – szepnęłam, kiedy zamknął za nami drzwi.

– Nie musisz przepraszać – odparł łagodnie. – Wyraźnie głęboko to tobą wstrząsnęło. Zapewne doświadczyłaś znacznie więcej ode mnie, bo ja słyszałem tylko brzęk łańcucha i słabe jęki. Potem ujrzałem kilka innych niewyraźnych, świetlistych kształtów. Ale wiem, że na tym stole działo się coś okropnego.

– Piłowali mu kości – wykrztusiłam, dygocząc ze zgrozy na samą myśl. – Dlaczego robili coś takiego? Co to za potwory?

– Ludzie potrafią być równie okrutni. – Tom poprowadził mnie

w dół kamiennych stopni. W jego głosie dźwięczało znużenie, nadal daleko mu było do odzyskania dawnych sił. – Pewnie próbowali wydobyć z niego informacje – o sile oddziałów, ich ruchach – by ocalić życie własnych żołnierzy. Wojna sprawia, że ze wszystkich wychodzi to, co najgorsze. Nasza własna wojna domowa w Hrabstwie była wystarczająco okropna i podzieliła rodziny, brat stawał przeciw bratu.

– Ale czy duchy muszą raz po raz przeżywać własną śmierć?

– Przypomnij sobie martwych żołnierzy, których pokazałem ci na Wzgórzu Wisielców. Tu także najpewniej pozostało widmo, nie duch: strzęp duszy biedaka, porzucony, gdy on sam odszedł w Światło. Ale muszą tu być także duchy...

– Tak. Jeden ze skutych więźniów tęsknił za rodziną. Nie mógł znieść myśli, że nigdy jej już nie zobaczy. Miał dwoje dzieci, jego żona wkrótce miała urodzić trzecie. Wydaje mi się, że w domu był naprawdę szczęśliwy. Gdybyśmy zdołali przekonać go, aby skupił się na tym, być może odesłalibyśmy go do Światła.

Tom przytaknął, sprawiał jednak wrażenie roztargnionego, zagubionego w myślach.

– Dobrze się czujesz? – spytałam.

Pokręcił głową.

– Zdecydowanie niedobrze. I myślę, że tutejsze duchy będą musiały poczekać do przyszłego roku.

Spojrzałam na niego ze zdumieniem.

– Wracamy do domu. Grimalkin spodziewa się, że za kilka dni poprowadzę atak na kulad. To obłąd. Od wielu dni zastanawiam się nad tym. Problemy, które miałem z wejściem po schodach, w końcu mnie przekonały. Wrócimy do Hrabstwa, nim uwiężą nas tu śniegi. Teraz pójdziemy powiedzieć o tym Grimalkin.

Nie miałam pojęcia, że w ogóle rozważa coś podobnego. Kiedy prosiłam, abyśmy wrócili do domu, zlekceważył moje słowa.

Moje serce wezbrało radością. W końcu Tom przejrzał na oczy! Nienawidziłam tego zimnego, rozdartego wojną kraju, tęskniłam za łąkami i zielonymi wzgórzami Hrabstwa.

Wracamy do domu!

ROZDZIAŁ

9



KOWADŁO BÓLU

JENNY CALDER

Tom zastukał uprzejmie i razem weszliśmy do pokoju, który dzieliłam z Grimalkin.

Wiedźma siedziała na łóżku i patrzyła na nas bez mrugnięcia. Gdy tylko ujrzałam jej minę, pojęłam, że wie, co zamierza powiedzieć jej Tom. Może to postrzegła, a może odczytała jego zamiary z twarzy. Wzrok miała nieprzyjazny. Moje moce nie działały w przypadku zabójczyni, potrafiła nie dopuścić mnie do siebie, ale instynkt mi podpowiadał, że jeśli wpadnie w gniew, znajdziemy się w niebezpieczeństwie.

Tom stał naprzeciw niej, ja zamknęłam drzwi. Z każdą chwilą denerwowałam się coraz bardziej. Wiedziałam, że Grimalkin to się nie spodoba. Jak zareaguje?

– Jutro wracam do Hrabstwa – oznajmił Tom. – Nie mam dość sił do zadania, które mi wyznaczyłaś. Będę potrzebował miesiący, by je odzyskać, pewnie całej zimy, i lepiej dojdę do siebie w domu.

– Nie możesz teraz wyjechać. To zniweczy wszystkie moje plany – Grimalkin niemal wypluła te słowa. – Bez twojej obecności morale armii posypie się przy pierwszym niepowodzeniu. Księżę oczekuje, że ich poprowadzisz.

Gdy usłyszałam „moje plany”, ogarnęła mnie wściekłość. Cemu Tom w ogóle dał się wciągnąć w jej knowania?

– Dlaczego to musi być teraz? – spytał. – Czy nie lepiej będzie zaatakować kulad wiosną?

Grimalkin pokręciła głową.

– Kobalosi nie zaczekają do wiosny. Miłują mróz i lód. Zima to ich czas. W ciągu paru miesięcy przekroczą rzekę i zaleją te małe ksiąstewka. Najważniejsze, żebyśmy zdążyli ich uprzedzić. To, czego dowiem się w kuladzie maga, nie ocali przygranicznych państewek, ale może zapewnić przetrwanie Hrabstwu. Nasza jedyna szansa to działać teraz.

Nie mogłam podważyć rozumowania Grimalkin. Spodziewałam się też, że Tom ugnie się przed jej wolą. Od opuszczenia Hrabstwa patrzyłam, jak nim manipuluje. Dlaczego teraz miałyby się to zmienić? Umiała być bardzo przekonująca. Ale ku memu zdumieniu i zachwytowi tym razem stawiał opór.

– Po prostu nie mogę. Jestem zmęczony... Na nic ci się nie przydam. Lepiej poradzisz sobie beze mnie.

– Musisz to zrobić! I zrobisz! – warknęła Grimalkin, szczerząc zaostrzone zęby.

– Nie groź mi! – krzyknął Tom i w jego głosie zabrzmiał gniew. – Byliśmy sojusznikami w przeszłości i w przyszłości znów nimi będziemy, ale teraz muszę odpocząć. Dla odmiany ty posłuchaj, czego ja pragnę.

– Jak możesz zawieść księcia Stanisława i wojowników, którzy w ciebie wierzą? I tak mają niewielkie szanse, wielu z nich zginie w nadciągającym konflikcie, ale widzieli, jak pokonałeś Shaiknę, a nawet samą śmierć. Tylko twoja obecność da im dość odwagi, by mogli przekroczyć rzekę. Nie możesz odmówić!

– A jednak odmawiam! Kiedy z wyczerpania spadnę z konia, nie natchnę nikogo do walki.

– Zrobisz, jak każę! – huknęła Grimalkin, zrywając się z łóżka.

Nie mogłam dłużej wytrzymać. Stracharz nie powinien słuchać rozkazów wiedźmy, to niedopuszczalne!

– Myślisz, że zniosę widok kobiet zniewolonych i dręczonych przez Kobalosów?! – krzyczała Grimalkin. Stali naprzeciw siebie z Tomem, ich nosy niemal się stykały. – Spodziewasz się, że będę stać z boku, widząc, jak ich żołdacy po upadku kolejnych miast porywają nowe niewolnice?! Nie, to nie do pomyślenia! Zniszczę siły Kobalosów i zburzę mury Valkarky, aż w końcu zostanie tylko lodowa pustynia, na której nic nie będzie w stanie

żyć! A ty odegrasz rolę, jaką ci przeznaczyłam!

– Nie! – warknął wściekle Tom, po raz pierwszy także podnosząc głos. – Kontrolowałeś mnie i kształtowałeś! Sprowadziłaś tutaj, nie wyjaśniając, o co ci chodzi. Od początku zamierzałaś wystawić mnie do walki z Shaikszą, ale nie uprzedziłaś o tym, póki nie dotarliśmy do rzeki. Nie uznałaś za stosowne ostrzec mnie i pozwolić, bym sam podjął decyzję. Naraziłaś mnie na niebezpieczeństwo – na śmierć – a ja szedłem za tobą na oślep. Nigdy nie chciałem brać w tym udziału. Muszę wrócić do Hrabstwa, walczyć z Mrokiem na swój własny sposób. Przyjąłem uczennicę, mam obowiązek właściwie ją wyszkolić i to właśnie zamierzam uczynić. Będę to robił całą zimę.

Grimalkin westchnęła ciężko. Gdy znów się odezwała, jej głos zabrzmiał cicho.

– Przez większość życia napędzała mnie zemsta – wyjaśniła. – Tylko raz naprawdę kochałam. Zależało mi na ludziach i boleśnie raniła mnie poniesiona przez nich strata, ale nie tak jak wtedy, gdy Zły zabił dziecko będące sednem mojej egzystencji. Nie udało mi się go uchronić, lecz z pomocą innych, zwłaszcza twoją – skinieniem głowy wskazała Toma – zdołałam doprowadzić do zniszczenia Złego. To właśnie mnie ukształtowało, uczyniło, kim jestem dzisiaj. Ja także stałam się bronią wykutą na kowadło bólu. Teraz widzę, że urodziłam się w szczególnym celu: mam zniszczyć Kobalosów. W końcu zwyciężymy, przyrzekam ci to, nieważne, czy zechcesz pomóc, czy też nie. Ale sprawiłeś mi zawód. Spodziewałam się po tobie więcej.

Tom westchnął ze zrezygnowaną miną. Nagle przeraziłam się, że jednak ugnie się przed wolą czarownicy. Potem jednak na jego twarz powróciła dawna determinacja.

– Przykro mi, ale tym razem nie mogę ci pomóc. Jutro wyruszam w drogę z Jenny. Jeśli wciąż tego chcesz, wrócę na wiosnę. – Odwrócił się do mnie. – Spotkamy się w stajniach przed świątynią. Nie spóźnij się.

To rzekłszy, wyszedł, zamykając za sobą drzwi i zostawiając mnie samą z Grimalkin. Popatrzyłam na nią z lękiem, ona jednak jedynie westchnęła, podobnie jak Tom, a potem uśmiechnęła się do mnie.

– Wyglądasz na zmęczoną, dziecko. Połóż się. Rano wszystko

będzie wyglądać lepiej.

Zdumiała mnie jej życzliwość; spodziewałam się raczej, że będzie warczeć ze złości.

Chętnie posłuchałam rady. Gdy tylko dotknęłam głową poduszki, zapadłam w głęboki sen.

Nagle ocknęłam się w szponach upiornego koszmaru. Pokój był pogrążony w nieprzeniknionym mroku. Ktoś przycisnął mnie do łóżka. Walczyłam, by się uwolnić, ale bezskutecznie – tkwiłam w żelaznych kleszczach.

I wtedy pojęłam, że to nie koszmar, to się działo naprawdę. Leżałam na wznak, ktoś wpychał mi coś do ust – jakby zwiniętą szmatę. Zaczęłam się dusić i dławić.

Potem poczułam dwa palce, wciskające się w mój nos i głowę wypełniło mi kłujące pieczenie. Nie mogłam oddychać, wpadłam w panikę, szarpiąc się i skręcając, na próżno próbując się uwolnić. Nie udało mi się jednak – i wtedy palce zniknęły.

Znów mogłam oddychać, ale czułam się dziwnie: kręciło mi się w głowie, jakby dusza ulatywała z ciała w ocean ciemności. Nie obchodziło mnie wówczas, co się ze mną stanie, nic już nie miało znaczenia.

Wtedy ktoś podniósł mnie i zarzucił sobie na ramię. Usłyszałam za sobą trzask zamykanych drzwi, potem kroki dźwięczące echem w korytarzu, ale niczego nie widziałam i nagle pojęłam, że coś jest nie tak z moimi oczami. Po jakimś czasie powietrze zrobiło się zimniejsze, twarz omiótł mi wiatr i wiedziałam, że jesteśmy na dworze.

W dali słyszałam głosy, coraz donośniejsze, w miarę jak się zbliżaliśmy. Towarzyszyły im ciche parsknięcia.

Osoba niosąca mnie zatrzymała się w końcu.

– Zaopiekujcie się nią – poleciała. – Do zobaczenia za dwa dni.

Był to głos Grimalkin.

ROZDZIAŁ

10



POKONANY I STEROWANY

THOMAS WARD

Wstałem dobrze przed świtem i ubrałem się szyb ko. Gnała mnie obawa, że jeśli księżę nas zobaczy, nie dopuści do mego wyjazdu. Główny posiłek w zamku stanowiła pięciodaniowa kolacja, zaprawiona mnóstwem piwa, niewielu zatem wstawało na śniadanie. O świcie kucharze i pomocnicy nadal spali w kuchni. Sam poczęstowałem się tym, co znalazłem, i spakowałem zapasy do juków. Po drodze będziemy musieli kupić więcej, ale wiedziałem, że na ten moment mi wystarczy.

Czekałem na Jenny, lecz niebo zaczynało już jaśnieć na wschodzie, a jej wciąż nie było. Zacząłem krążyć niecierpliwie tam i z powrotem. Nie chciałem, by ktoś widział, jak odjeżdżam. W końcu pomaszerowałem do jej pokoju. Zeszłej nocy była zmęczona, może zasnęła...

Niecierpliwie zastukałem do drzwi i zawołałem swą uczennicę, ale to głos Grimalkin zaprosił mnie do środka.

Otworzyłem drzwi i przekroczyłem próg. Spodziewałem się, że spróbuje znów mnie przekonywać, ale postanowiłem nie ustępować.

Grimalkin siedziała na łóżku ze skrzyżowanymi nogami, w takiej samej pozycji jak wtedy, gdy pożegnałem się zeszłej nocy. Nie dostrzegłem ani śladu dziewczyny.

– Gdzie jest Jenny? – spytałem. – Bo nie w stajni.

– Wyjechała na północ pod opieką księcia Kajlara.

Przez chwilę gapiłem się na nią pustym wzrokiem, próbując

zrozumieć jej słowa.

– Dlaczego miałyby z nim wyjeżdżać?

– Oddałam ją pod jego opiekę – wyjaśniła wiedźma zabójczyni.
– Ruszył w stronę kuluadu z niewielkim patrolem, by ocenić jego obronę i obserwować ruchy sił kobaloskich w okolicy.

– Nie zrobiłaby tego z własnej woli! – rzuciłam gniewnie. – Czemu tak postąpiłaś? Czym sobie zasłużyła, by narażać ją na takie niebezpieczeństwo?

– Masz rację, nie zrobiła tego z własnej woli. Musiałam użyć narkotyku i odrobiny magii, ale nic z tego trwale jej nie zaszkodzi. Chodziło mi o to, żeby zmusić cię do wyprawy z nami. Wiedziałam, że nie wrócisz do Hrabstwa sam, że nie porzucisz uczennicy. Ruszamy natychmiast. Najlepiej zadbasz o jej bezpieczeństwo, jeśli zgodnie z planem poprowadzisz nas, czyż nie?

– Nie cofniesz się przed niczym? – Oszustwo Grimalkin wzbudziło we mnie furję. Kiedy rozmawialiśmy wczoraj, pewnie już to planowała.

Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się lekko.

– Robię po prostu to, co konieczne. Za tydzień tu wrócimy, a wówczas możesz odjechać do domu z uczennicą.

Miałem nadzieję, że Jenny nic nie jest. Obowiązek nakazywał mi pojechać za nią i zadbać o jej bezpieczeństwo – ostatecznie to przeze mnie tu trafiła – ale lubiłem ją, więc i tak bym to zrobił. Pojadę na czele armii – teraz nie miałem wyboru – wewnątrz jednak kipiałem z wściekłości i martwiłem się o Jenny. Grimalkin bywała bezwzględna, tak jak teraz. Wycieczka w stronę kuluadu narażała Jenny na śmierć, a jeśli Kobalosi ją dopadną, trafi w niewolę, gdzie będą ją dręczyć co dzień, póki nie nauczy się posłuszeństwa.

Grimalkin pokonała mnie i znów mną sterowała. Pożałowałem, że w ogóle jej posłuchałem. Trzeba było zostać w Hrabstwie.

Opuściliśmy zamek i ruszyliśmy na północ. Po dwóch godzinach przeprawiliśmy się przez Shannę tym samym brodem, przy którym walczyłem z Shaikszą Kauspetndem. Pamiętam, jak ob-

ciałem mu głowę, jak przeturlała się po kamieniach na płyciznę, jak nurt unosił smugi krwi.

W tej samej chwili przebił mi szablą brzuch, ale nie poczułem bólu. Przypomniałem sobie, jak ze zdumieniem wpatrywałem się w rękojeść, wiedząc, że ostrze przeszło mnie na wylot. Obserwowałem własną krew, ściekającą na kamienie. Teraz ból powrócił – a wraz z nim przejmujący chłód i strach przed śmiercią.

Ogarnięty mdłościami, zachwiałem się w siodle i o mało nie spadłem do wody. Przez następną godzinę byłem bardzo słaby.

Nasza armia maszerowała w sześciu kolumnach – z wyjątkiem księcia Kajlara każdy władca jechał na czele własnej kawalerii. Pochód zamykała piechota. Zdecydowanie największą, środkową kolumną dowodził książę Stanisław, ja jechałem po jego lewicy, a Grimalkin po prawej. Miejsce Kajlara zajął jego najstarszy syn. Miał zaledwie osiemnaście lat i brakowało mu doświadczenia wojennego, lecz Grimalkin wyjaśniła, że ufa wojownikom, których miał za plecami, i doradcom u boku.

Nie powinien był się tu znaleźć, ja też nie. Skończyłem dopiero siedemnaście lat – to ledwie wystarcza, by pracować jako strażarz, a co dopiero jako dowódca armii. Dokładałem jednak wszelkich starań: wysoko unosiłem głowę, choć oddychałem z trudem i bolały mnie wszystkie stawy.

Wiedziałem, jak ważne są pozory. Inaczej nie dościgniemy księcia Kajlara i nie uratuję Jenny.

Bardzo się o nią martwiłem. Grimalkin wyjaśniła, że patrol księcia to mały oddziałek, liczący najwyżej czterdziestu zbrojnych. Jeśli Kobalosi ich zauważą, szybko obezwładnią i pozabiją lub wezmą w niewolę. Gdyby Jenny przeżyła podobną bitwę, skończyłaby jako niewolnica w Valkarky. Na tę myśl znów poczułem złość na czarownicę.

Godzinę po południu dotarliśmy w miejsce zwane Uskokiem Fittzanda. Spodziewałem się wulkanów, ujrzałem jednak tylko nierówny, kamienisty teren, poprzecinany licznymi pęknięciami i skalnymi grzbietami. Z dziur w ziemi tryskała rozgrzana para. Konie zaczęły rzeć spłoszone, wyraźnie nie chciały się tam zbliżyć.

Od czasu do czasu ziemia pod stopami drżała. Słyszeliśmy dobiegające z dołu ciche grzmoty, niczym pomruki rozwścieczonych

olbrzymów. Powietrze wypełniały pył i smród siarki. Bardzo się ucieszyłem, gdy zostawiliśmy to miejsce za sobą i znaleźliśmy się na równinie Erestaba.

Przed nami ciągnęło się płaskie pustkowie, pozbawione jakichkolwiek drzew. Twarze smagał wiatr z północy, tworzący wzory w długiej trawie. Cały czas przeczesywałem wzrokiem horyzont w nadziei, że wypatrzę patrol, ale też w obawie, że ujrzę wielką armię Kobalosów. Byłem niemal pewny, że już na nas czekają; musieli wiedzieć, że przeprawiliśmy się przez rzekę. Na pewno zastawią pułapkę. Z pewnością Grimalkin, która wiedziała, jak dzięki mrocznej magii można postrzec przyszłość, przewidzi to zagrożenie. Gdy jednak o tym wspomniałem, wzruszyła tylko ramionami.

Słońce zaczęło zachodzić, a my aż do zmroku parliśmy dalej. Noc była zimna, ale nie mogliśmy rozpalić ognisk – na tak płaskiej równinie widać by je było z odległości wielu mil. Im dalej się zapijemy niezauważeni, tym lepiej. Nie chcieliśmy, by wróg odkrył nasze dokładne położenie.

Shaiksowie dysponowali szczególną mocą: nie da się zabić jednego, nie przyzywając braci, by pomścili jego śmierć. Zabójca Shaiksa, którego pokonałem nad rzeką, z pewnością przed śmiercią wezwał w myślach towarzyszy.

Mogli zatem ustalić, że ludzka armia przekroczy rzekę i wtargnie na ziemię kobaloskie. Miałem tylko nadzieję, że nie wiedzą, iż nasz cel to nie Valkarky, lecz kulad zwany Kartuną. Nagle zastanowiłem się, czy kobaloscy magowie umieją postrzegać tak jak więdźmy. Może przeniknęli już nasze zamiary?

Rozejrzałem się po obozie: znajdowaliśmy się z Grimalkin na jego północnym skraju. Nie dostrzegłem żadnych świateł. Oprócz patroli i rozstawionych wart ludzie spali w namiotach. Oboje z Grimalkin, opatuleni w koce, siedzieliśmy przed wejściem naszego i rozmawialiśmy o tym, co nas czeka.

Wciąż byłem na nią wściekły, ale odłożyłem uczucia na bok – jeśli chciałem ocalić Jenny, musiałem współpracować i zadbać, by atak zakończył się sukcesem.

Spojrzałem w niebo. Księżyc przesłaniała chmura, między obłokami, na skrawkach czystego nieboskłonu, ujrzałem ledwie dostrzegalne punkciki gwiazd, jednakże na północy niebo jaśniało i

falowało barwnymi światłami tak, że widzieliśmy swoje twarze.

– Te dziwne światła na niebie – czy ich źródło to Valkarky? – spytałem Grimalkin.

– Nie, pochodzą z miejsc dalej na północy. Z tego, co mi wiadomo, to zjawisko naturalne – wyjaśniła. – Im dalej się zapuścimy, tym wspanialsze się staną.

Zapatrzyłem się w nie zadziwiony. Dobrze wiedzieć, że to nie dzieło czarnej magii.

– Czy kulad będzie dobrze strzeżony?

– Nie spodziewam się tam zastać więcej niż pięćdziesięciu do stu wojowników. – Oddech Grimalkin parował w mroźnym powietrzu. – Ale niełatwo go będzie przejąć. Przewaga liczebna nam w tym nie pomoże. Większość kuladów to proste wieże o kamiennych murach, jedno z dział z łatwością by je przebiło. Lecz magowie zazwyczaj uzbrajają też tereny dookoła. Kartunę otaczają wysokie kamienne fortyfikacje. Mogą też tam być magiczne pułapki, zabijające bądź powstrzymujące nieostrożnych; mogą się nawet pojawić istoty stworzone magią przez łaknące ciepłego ludzkiego ciała i krwi. A każda godzina spóźnienia da czas na interwencję głównym siłom Kobalosów.

– A mag? Jak bardzo będzie niebezpieczny?

– Bez wątpienia stanowi największe zagrożenie – rzekła. – Gdy ostatnio odwiedziłam Valkarky, zdołałam pokonać i zabić trzeciego z rządzącego Triumwiratu. Nie było to łatwe, a narodziny Talkusa jeszcze zwiększyły moc kobaloskich magów. Lenklewth to co do mocy drugi członek Triumwiratu. Kto wie, jaką potęgą dysponuje? Miejmy nadzieję, że przebywa w Valkarky, nie w domu w kuladzie.

– Jeżeli uda ci się zdobyć w wieży to, czego szukasz – rzekłem – dowódcy naszej armii wpadną w gniew, kiedy rozkażę odwrót do Polyzni.

Czarownica pokręciła głową.

– Ależ nie powiemy im od razu! Potrzebuję czasu, by odszyfrować tajemnice kuladu. Do tej pory zjawią się pierwsze kobaloskie siły i naszą jedyną nadzieją pozostanie odwrót za rzekę. Książęta przerażą się, widząc mrowie żołnierzy przeciwnika. Nawet Kajlar nie zechce zostać!

– A potem, po odwrocie, co zrobimy? Czy Kobalosi nie podążą

za nami do Polyzni?

– Spodziewam się, że tak i że zaczną oblegać niektóre miasta. Inne zrównają z ziemią. My jednak tam nie zostaniemy. Musimy podburzyć większe królestwa na południu. Inwazja kobaloska przekona je do działania. Zrób to ze mną, a spełni się twoje życzenie, bo wówczas wrócimy do Hrabstwa i zgromadzimy siły w naszej ojczyźnie!

Grimalkin wyraźnie uwzględniała mnie w swoich dalekosiężnych planach. Wrócę do domu z Jenny, ale kiedy odzyskam siły, wiedziałem, że znów jej pomogę: Kobalosów należało powstrzymać, o ile to możliwe, przed dotarciem do Hrabstwa. Nie potrafiłem ocenić, jak długo to potrwa, mogła to być nawet kwestia lat. Kobalosi stanowili jednak zagrożenie dla całego świata ludzi, więc im wcześniej ich odeprzemy, tym lepiej. Czułem się także dłużnikiem Grimalkin: w przeszłości pomagała mi i wiele razy uratowała życie. Mimo niedawnych sporów łączyła nas silna więź.

Ale czy posłuchają? Dwa lata temu, mimo zbliżającej się armii najeźdźców, trzeba było dużo czasu, nim siły z Hrabstwa wkroczyły do walki. Nigdy nie przekonamy wojskowych, by posłali oddziały za morze, na lodowatą północ.

W owej niedawnej wojnie pełną mobilizację ogłoszono dopiero, gdy inwazja już się rozpoczęła. Nigdy nie traktowano poważnie zagrożenia zza morza, póki nie było już za późno. Lękałem się, że to samo nastąpi w przypadku najazdu Kobalosów.

– Okaż mi więcej wiary. – Grimalkin spojrzała na mnie gniewnie. – Nie mówię o siłach konwencjonalnych: przyprowadzę tu moje siostry czarownice. Będziemy zwalczać magię magią.

– W takim razie dlaczego nie zabrałaś ich teraz?

Wycieczka z udziałem czarownic zamiast zwykłych żołnierzy mogła okazać się skuteczniejsza. Ostatecznie chodziło nam o to, by przechwycić magiczną wiedzę, a wiedźmy świetnie znały się na mrocznej magii. Pewnie bez trudu poradziłyby sobie z Lenklewthem.

– Próbowałam je przekonać, ale nie słuchały – wyjaśniła Grimalkin. – Pod tym względem przypominają wojska z Hrabstwa: zagrożenie z dalekich krain ich nie wzrusza. Jeśli jednak przechwyć magiczne sekrety z kuladu i zademonstruję, z czym mu-

simy się zmierzyć, z pewnością zmienią zdanie.

Siedziałem w milczeniu, powtarzając w głowie jej słowa. Słyszałem tylko westchnienia wiatru i oddechy koni.

– Mam nadzieję, że Jenny jest bezpieczna – mruknąłem.

Wiedźma zabójczyni na moment przymknęła oczy, zaczerpnęła powietrza głęboko w płuca i wstrzymała oddech, w skupieniu marszcząc brwi. Nagle wypuściła powietrze, jej powieki się uniosły.

– Owszem, w tej chwili jest cała i zdrowa – odparła spokojnie.

– Postrzegłaś ją?

Pokręciła przecząco głową.

– To zaklęcie zwane współczuciem – odparła. – Łączy mnie i to dziecko, ale nie trwa długo, już zaczyna gasnąć. Tak czy inaczej, wkrótce dołączymy do niej i księcia Kajlara.

– Robi się coraz zimniej. – Zadrzałem.

– To nic w porównaniu z tym, co wkrótce przyjdzie nam znieść. Naprzeciw nas staje mroczna armia, większa niżli tylko kobaloska machina wojenna i znacznie potężniejsza niż straszliwe stwory bitewne, które stworzyli Kobalosi. W skład owej armii, dowodzonej przez ich nowego boga Talkusa, wchodzi bowiem także wspierający go bogowie, tacy jak Golgoth, Władca Zimy, który z radością zniszczy wszelką zielen tego świata, tworząc lodowe szlaki, wiodące ich wojowników do zwycięstwa. Może już niedługo wystąpi przeciw nam.

Minę miała posępną. Znów zadrzałem.

Potem wróciliśmy do namiotu. Opatuliłem się ciasno kocem i gdy tylko zamknąłem oczy, zapadłem w głęboki sen. Obudziłem się tylko raz – na dźwięk zgrzytania zębów Grimalkin i mamrotania słów w języku, którego nigdy wcześniej nie słyszałem. Nawet to jednak tylko na krótko odeгнаło sen.

Wkrótce nawiedziła mnie mara, w której spacerowałem po wzgórzach z moim mistrzem, Johnem Gregorym. Pokazywał mi różne miejsca w dolinie, wymieniając ich nazwy, a ja słuchałem z radością, złakniony wszelkiej wiedzy – ale kiedy się ocknąłem, z głębokim smutkiem i tęsknotą przypomniałem sobie, że mistrz nie żyje i nigdy go już nie zobaczę.

Nadal jechaliśmy naprzód równiną Erestaba. Dzień był słoneczny i pogodny, z północy wiał mroźny wiatr. Rozesłaliśmy przed siebie zwiadowców, nie dostrzegli jednak ani śladu wroga czy patrolu pod dowództwem księcia Kajlara. Grimalkin zaczęła węszyć w poszukiwaniu możliwego zagrożenia. Nie wykryła nic przed nami, wciąż jednak widziałem, że dręczy ją niepokój.

Czarownice z Pendle posługiwały się zaklęciem maskującym, aby ukryć tak siebie, jak i swój dobytek przed innymi. Kobalosc magowie zapewne też to umieli albo stosowali inny rodzaj magii ochronnej. Grimalkin obawiała się, że możemy nie być tak bezpieczni, jak nam się wydawało...

Późnym rankiem drugiego dnia zgodnie z planem skręciliśmy na zachód, zmierzając szybko w stronę kuladu. Spodziewałem się do tej pory dogonić już księcia Kajlara i jego oddział, ale wciąż ich nie widzieliśmy. Miałem nadzieję, że Jenny nic się nie stało.

Wczesnym popołudniem zatrzymaliśmy się na pół godziny, by coś zjeść – choć armia pozostała w szykach, gotowa do wymarszu na pierwszy sygnał.

Grimalkin przygotowała mnie do krótkiej narady z książętami. Musiałem tylko wyjaśnić jej plan, jakbym sam go obmyślił. Mimo fizycznego zmęczenia po długiej jeździe umysł zachowałem bystry.

– Zamierzam pojechać naprzód i spróbować zająć kulad z niewielkim oddziałem około setki konnych i dwudziestu łuczników – wyjaśniłem. Musiałem podnieść głos, bo zimny wiatr porывał moje słowa. – Będzie mi towarzyszyć Grimalkin. Po zmierzchu powinniśmy dotrzeć do Kartuny. Główny trzon armii podąży w nasze ślady – ciągnąłem. – Po dotarciu na miejsce otoczycie kulad i przygotujecie ciężkie działa, jednak użyjemy ich jedynie, gdyby nasz pierwszy atak się załamał. Musimy dowiedzieć się jak najwięcej, chcę zatem, by wieża i jej zawartość pozostały całe.

Grimalkin przetłumaczyła moje słowa na lostę. Następnie przemówił krótko książę Stanisław – do tego czasu wszyscy ze-

brani kiwali już głowami, jakby zgadzali się na nasz plan.

– Każdy z pozostałych książąt przekaże nam swoich najlepszych ludzi – wyjaśniła Grimalkin. – Dotrzemy do kuladu pod osłoną ciemności.

Wkrótce wyruszyliśmy. Syn księcia Kajlara, niespokojny o ojca, postanowił do nas dołączyć. Pozostali przydzielili nam grupy swych najbardziej zaufanych ludzi.

W drodze do kuladu zastanawiałem się, jak sobie radzi patrol. I co z Jenny? Coraz bardziej obawiałem się o jej los.

ROZDZIAŁ

II



KOSZMAR BEZ KOŃCA

JENNY CALDER

Książę Kajlar rozkazał, by wszyscy pozostali w sio dle. Wyczuwałam jego niepokój – cały czas bawił się brodą, okręcając kosmyki wokół palców. Noc zapadła trzy godziny temu. Znajdowaliśmy się blisko drzew otaczających kulad, który wznosił się wysoko ponad nimi. W górze świeciły gwiazdy, ale księżyc jeszcze nie wzeszedł.

Książę rozkazał mi trzymać się blisko. Teraz jechałam już sama, ale pierwszą noc naszej podróży spędziłam nieprzytomna, przewieszona przez lęk siodła. Następnego ranka Kajlar wyjaśnił, czemu odurzyli mnie i porwali. Też go to nie zachwycało, ale musiał posłuchać rozkazów wiedźmy zabójczynie i księcia Stanisława. Chodziło o to, by zmusić Toma do przyjęcia dowództwa nad armią. Wiedziałam, że się zgodzi. Nie wróciłby do Hrabstwa sam, nie zostawiłby mnie. Grimalkin znów postawiła na swoim.

Oburzało mnie, że zostałam potraktowana w taki sposób. Postanowiłam uciec przy pierwszej nadarzającej się sposobności, jak dotąd żadna się jednak nie pojawiła. Czułam, że dla Kajlara chronienie mnie to kwestia honoru. Zamierzał bezpiecznie odwieźć mnie Tomowi. Był człowiekiem niezłomnych zasad i wyraźnie wstydził się swego wyczynu.

Jego osiemnastoletni syn pozostał z armią. Nie mógł się już doczekać chwili, gdy stanie do walki i dowiedzie własnego męstwa. Książę jednak bał się, że mógłby zostać ranny albo zginąć. Władca miał też dwie córki bliźniaczki, mniej więcej w moim

wieku, i żonę, którą bardzo kochał. Przybył tu walczyć i chronić rodzinę i księstwo, lękał się jednak, że może zginąć w bitwie i nigdy już ich nie zobaczyć.

Podczas jazdy nie widzieliśmy ani śladu kobaloskich wojowników. Rozległa równina była pusta. Powoli zbliżaliśmy się do kładu, by zbadać jego obronę. Teraz, gdy dotarliśmy tak blisko, denerwowałam się. Czyżbyśmy mieli posłużyć za przynętę, by wywabić nieprzyjaciół i ocenić ich siły? Tak mi to wyglądało. Zadrżałam ze strachu na myśl, że mogłabym wpaść w niewolę.

W wieży z pewnością ukrywali się kobaloscycy wojownicy – ale ilu?

Księżę posłał do lasu pięciu pieszych: trzech mieli podejść do wieży, dwaj przyczaić się wśród drzew, wypatrując nieprzyjaciół. Teraz czekaliśmy na ich powrót.

Przez co najmniej godzinę nic się nie działo. Słyszałam westchnienia wiatru pomiędzy wysokimi drzewami iglastymi. Raz wydało mi się, że moich uszu dobiega odległy krzyk. Kiedy jednak spróbowałam powiedzieć kilka niepewnych słów w loście, księżę tylko wzruszył ramionami. Albo nie usłyszał niczego, albo też spodziewał się tego dźwięku i w ogóle nad nim nie zastanawiał.

Nadal tkwiliśmy w milczeniu w siodłach. Patrzyłam, jak księżyc wschodzi powoli ponad drzewami, zalewając nas srebrzystym blaskiem.

Nagle księżę odwrócił się i podał mi mały sztylet, rękojeścią ku mnie.

– Rozumie? – spytał w naszym języku.

Przyjęłam klingę, skinęłam głową i spróbowałam się uśmiechnąć. Wiedziałam, że nie ma mi służyć do walki z kobaloskimi napaśnikami. Choć księżę nie ujął swych zamiarów w słowa, dzięki darowi empatii dostrzegałam ich znaczenie. W razie konieczności miałam odebrać sobie życie. Lepsze to niż wpaść w ręce naszych wrogów i stać się niewolnicą.

Zerknęłam lękliwie na sztylet. Nigdy nie zdołałabym odebrać sobie życia. Przyjęłam broń tylko po to, by zrobić przyjemność księciu. Faktycznie musiało nam grozić wielkie niebezpieczeństwo.

Przez długi czas nic się nie działo. Siedziałam na koniu rozzie-

wana, licząc, że wkrótce wycofamy się na bezpieczną odległość i rozbijemy obóz.

Atak całkowicie nas zaskoczył.

Ani jeden z ludzi, którzy wkroczyli między drzewa, nie zdołał nas ostrzec. Musieli wpaść w zasadzkę.

Konni Kobalosi wyprysnęli spomiędzy pni i rzucili się na nas. Za nimi pieszo podążali pozostali. Runęli na nas gwałtownie. Parli naprzód szybko, w milczeniu, wymachując szablami i toporami; nawet konie stąpały cicho, głucho uderzając o ziemię.

Nagle jednak usłyszałam przerażający dźwięk. Wcześniej wiele razy oglądałam ćwiczenia łuczników z Polyzni i doskonale pamiętałam ów morderczy odgłos. To był świst kobaloskich strzał, mknących ku nam rojem długich, wąskich cieni na tle promieni księżyca. Odpowiedziały im krzyki bólu z gardeł ludzi i rzenie przerażonych koni. Strzały odnalazły cele, zbierając mordercze żniwo wśród naszego oddziału.

Widziałam wyraźnie, że przeciwnik ma ogromną przewagę. Bałam się o życie. Część naszych żołnierzy uniosła tarcze nad głowy, ja jednak nie miałam niczego, czym mogłabym się osłonić przed gradem padających wokół strzał. O mym losie miał zdecydować czysty przypadek.

Książę Kajlar wykrzyknął szybko rozkazy i jego ludzie pozbiegali się błyskawicznie; już wymieniali ciosy z wrogiem. Ja mogłam tylko spróbować zapanować nad koniem, który parskał i wierzgał pośrodku kręgu. Wokół szalała bitwa – od kling i toporów Kobalosów wciąż dzieliła nas spora odległość, ale co chwila na głowy sypały się nam kolejne fale strzał. Jedna z nich z pewnością wkrótce mnie trafi.

Nagle mój koń zarżał ogłuszająco i skoczył naprzód; przebiegł jednak zaledwie kilka kroków, a potem przednie nogi ugięły się pod nim. Nie zauważyłam strzały, która go powaliła. Przeleciałam przez jego łeb i wylądowałam ciężko na ziemi, uderzając o nią tak mocno, że straciłam oddech.

Leżałam oszołomiona, nie mogąc złapać tchu. Tuż obok o ziemię uderzyły kopyta. Przerażona, że mnie stratują, z trudem

dźwignęłam się na kolana.

Ujrzałam konia pędzącego wprost na mnie; z każdym krokiem wyrzucał w powietrze bryły błota. Skuliłam się, usiłując osłonić głowę, w ostatniej chwili jednak skręcił w pędzie. Jeździec schylił się, chwycił mnie w pasie silną ręką i posadził za sobą w siodle.

Potem krzyknął coś w loście. Nie zrozumiałam słów, ale rozpoznałam niski, grzmiący głos. To był książę Kajlar. Widział, jak spadałam, i podjechał mi na ratunek. Objął mnie ramionami w pasie, przyciskając głowę do jego barczystych pleców. Trzymałam się go kurczowo, z całej siły. Zerknąwszy w tył, odkryłam, że otaczają nas kobałoscy jeźdźcy; nasza kawaleria zniknęła bez śladu.

Książę spiął wierzchowca do galopu. Pędził prosto na nich, rozpaczliwie próbując się przebić. Wymachiwał przy tym wielkim mieczem, tnąc na odlew w prawo i w lewo, gdy przejeżdżaliśmy między konnymi. Słyszałam krzyki, widziałam, jak jeden z Kobalosów spada, a drugi kołysze się w siodle. Potem jednak pojęłam, że pędzimy w złą stronę – nad głowami wciąż świstały nam strzały.

Kajlar wybrał linię najmniejszego oporu, ale galopowaliśmy w kierunku kuladu, zamiast oddalać się od niego. Bałam się, że czekają tam na nas inni wrogowie. Jednak gdy tylko dotarliśmy pod osłonę drzew, książę skręcił na południe, omijając zrecznie kolejne pnie.

Nim jednak wyłoniliśmy się z lasu, natrafiliśmy na kolejnych nieprzyjaciół. Kajlar był mocarny i dzielny, ale brakowało mu wsparcia. Zostaliśmy sami. Szanse były zbyt małe, nie mógł liczyć na przeżycie.

To, co zdarzyło się wtedy, zapamiętam do końca życia. Gdy zderzyliśmy się z wrogiem, poczułam, jak ciało księcia zadygotało i pochyliło się w siodle. Potem ramiona i plecy zalał mi ciepły płyn, niosący nas koń potknął się, uniosłam wzrok... i odkryłam, że mój towarzysz nie ma głowy. Ktoś mu ją odrąbał.

Krzyknęłam i spadałam z konia, po czym poturlałam się w krzaki. Wierzchowiec galopował dalej, bezgłowy jeździec chwiał się w siodle. Leżałam na ziemi oszołomiona, z żołądka wypływały fale mdłości. Gwałtownie zwymiotowałam pod siebie. W końcu

po dłuższej chwili zdołałam opanować wewnętrznego i wyjrzałam z poszycia.

Otaczali mnie Kobalosi, a miałam tylko niewielki sztylet od księcia.

Pozostała mi jedyna szansa: musiałam posłużyć cię darem, który czynił mnie niewidzialną.

Wstrzymując oddech zaczęłam się skupiać, nakazując sobie zlać się z tłem. Słyszałam w pobliżu kobaloskich jeźdźców. Czy zauważyli, jak spadam w krzaki? Z pewnością dotarł do nich mój krzyk, lecz czy będą mnie szukać?

Odpowiedź nadeszła niemal natychmiast: jeźdźcy pędzili dalej, ale z lasu zbliżał się ku mnie niewielki patrol piechoty, dźgający ziemię włóczniami. Bez wątpienia polecono im mnie odnaleźć.

Liczyłam na to, że jeśli pozostanę w idealnym bezruchu, rośli Kobalosi mnie nie zauważą. Oczywiście nie miałam pewności, że mój dar na nich zadziała. Mogli mnie wyczuć w inny sposób, na przykład węchem. Przypadkowe dźgnięcie włóczni bez trudu przebiłoby mi ciało.

Byli już bardzo blisko – odtrącali na bok bronią trawę i gałęzie, a potem, sapiąc głośno, wbijali groty głęboko w ziemię. Wzrostem przewyższali nawet rosłych mężów, ich ciała okrywały kolczugi. Przez otwarte okulary hełmów widziałam gęste, splątane włosy na ich twarzach i oczy płonące groźnie w blasku księżyca.

Prawy but najbliższego Kobalosa minął moją głowę zaledwie o pięć. Ostrze włóczni omal nie musnęło lewej nogi... ale żołnierz przeszedł przez zarośla i nie zauważył mnie. Dar uratował mi życie – przynajmniej na razie.

Patrzyłam, jak tyraliera znika w oddali. Cały czas się bałam, że zawrócą i zaczną ponownie przeczesywać zarośla. Oni jednak maszerowali dalej w las.

Po pięciu minutach podniosłam się powoli. Wokół panowała cisza. Kobalosi zapewne ścigali oddziałek, którym jeszcze niedawno dowodził nieszczęsny książę Kajlar. Zadrżałam na myśl, co z nim zrobili, i żołądek ścisnął mi się z odrazy. Dopiero po długiej chwili znów nad nim zapanowałam.

A potem rozplakałam się, myśląc o żonie, która straciła męża, i o dzieciach bez ojca. Gdy odtwarzałam w myślach ostatnie zda-

rzenia, cała drżałam ze zgrozy. Gdyby mnie złapali, trafiłabym do niewoli. Zrobiliby ze mnie purrę – niewolnicę, która oddaje im krew, rodzi dzieci i słucha wszystkich rozkazów. Co dzień nacinaliby mi skórę, by zapewnić sobie moje posłuszeństwo.

Zaczęłam oddychać głęboko, by się uspokoić. Muszę pamiętać, że jestem uczennicą stracharza. Nauczę się nie poddawać lękom. Muszę być dzielna.

Dlaczego teraz? – zastanawiałam się. Tom i Grimalkin prowadzili już oddziały ku wieży, wróg odkrył naszą obecność... Czy od początku zmierzaliśmy w zasadzkę? Może wiedzieli, że zbliża się większa armia ludzi?

Musiałam ich ostrzec – w jakiś sposób przedostać się przez linię wroga na równinę. Wciąż śmiertelnie się bałam, ale nie mogłam ratować jedynie własnej skóry. Musiałam coś zrobić.

Jeśli zdołam się przedrzeć, w którą stronę powinnam pójść? Zastanawiałam się chwilę, po czym pojęłam, że muszę skierować kroki na wschód. Tom wyjaśnił mi plan Grimalkin: armia miała wyruszyć na północ, ku Valkarky, a potem skrócić na zachód, zmierzając do kuladu. Księżyc i gwiazdy wskażą mi drogę. Jeśli nasi ludzie poruszali się wąską kolumną, mogę ich minąć, ale wiedziałam, że muszę spróbować.

Nagle usłyszałam zbliżające się ciężkie kroki; ukryłam się za drzewem, ponownie przywołując dar niewidzialności. Kobaloski patrol maszerował ku mnie w jednym rzędzie: długa kolumna zbrojnych. Po chwili zauważyłam, że dwaj strażnicy na tyłach pilnują czterech więźniarek. Kobiety miały na sobie łańcuchy, skuto je razem za lewe kostki: zrozumiałam, że to purrai.

Patrol minął mnie w odległości najwyżej trzydziestu stóp. Jedna z kobiet potknęła się i upadła na kolana. Żołnierz kopnął ją w brzuch buciorem, usłyszałam, jak nieszczęsna ze świstem wypuszcza powietrze. Jęknęła i runęła na twarz.

Wojownik kobaloski wrzasnął coś do niej w loście, w jego głosie dźwięczał gniew – pewnie dlatego, że wraz z towarzyszem musiał zostać z więźniarkami. Nagle dobył noża i chlasnął odsłonięte ramię kobiety. Ta krzyknęła i podniosła się ciężko. Krew spływała jej po ciele, ściekając w trawę. Żołnierz uderzył ją mocno w twarz grzbietem dłoni, z rozciętej wargi także popłynęła krew. Kiedy odchodzili, widziałam, jak z oczu kapią jej łzy.

Cała kolumna maszerowała w stronę kuladu. Szlochy kobiety powoli cichły w dali.

Znów zaczęłam oddychać, ale cała się trzęsłam po tym pokazie brutalności Kobalosów. Jak żołnierz mógł tak zranić związaną, bezbronną niewiastę? Oto, co czeka wszystkie ludzkie kobiety, jeśli Kobalosi wygrają.

Pomyślałam, że powinnam jakoś pomóc, choć w głębi duszy wiedziałam, że w starciu z dwoma zbrojnymi nie miałabym najmniejszych szans. Sama także trafiłabym do niewoli. Zrobiłabym wszystko, byle tylko do tego nie dopuścić. Gdyby próbowali mnie skuć, walczyłabym do kresu sił. O ileż lepiej umrzeć w walce niż skończyć w niewoli u Kobalosów!

Czy gdyby Tom był ze mną, interweniowałyby? Wciąż nie odszedł do siebie po ostatnich przeżyciach, ale byłam pewna, że próbowaliby coś zrobić. Patrol odszedł, zostawiając jedynie dwóch żołnierzy. Tom dobyłby Gwiazdnej Klingi i zaatakował. Teraz cztery niewolnice resztę swych dni spędzą wśród okrutnych panów. Pozostała im tylko nadzieja, że ludzie zwyciężą w wojnie.

Odczekałam jeszcze dziesięć minut, a potem ruszyłam przez las, oddalając się od kuladu. Oglądając się co chwila, wciąż widziałam w dali złowieszczą wieżę.

Gdy wyłoniłam się spomiędzy drzew, powiodłam wzrokiem po równinie. Na ziemi wały się trupy żołnierzy i koni. Dotarłam sto jardów od miejsca, gdzie zaatakowali nas Kobalosi. Na równinie nic się nie poruszało, ale wróg mógł ją niepostrzeżenie obserwować spośród pni. Natrafiłam na patrol piechoty; a co z jeźdźcami, gdzie się podziali? Bez wątpienia ścigali niedobitki oddziału księcia Kajlara, ale mogli już zdążyć zawrócić do kuladu.

Z łatwością by mnie wypatrzyli, nawet dar niewidzialności by mi nie wystarczył. Ale musiałam zaryzykować. Przez chwilę czy dwie spoglądałam w gwiazdy, a potem ruszyłam ku, jak oceniałam, wschodniemu horyzontowi.

ROZDZIAŁ

12



ZMIENNOKSZTAŁTNY

THOMAS WARD

Jechaliśmy po ciemku, ledwie stępa, bo wiele koni dźwigało dwóch jeźdźców: kawalerzystę i łucznika. Powolne tempo cieszyło mnie – wciąż brakowało mi sił i energii.

Po kilku godzinach wzeszedł księżyc i w oddali ujrzeliśmy wieżę Kartunę, wyrastającą ponad szczyty sosen niczym gruby czarny kciuk.

A potem dostrzegliśmy coś jeszcze: samotną postać, zmierzającą wprost ku nam.

Często rozpoznaję ludzi po ich kroku i natychmiast zorientowałem się kto to.

– To Jenny! – poinformowałem Grimalkin.

– Tak – odparła – ale lękam się o los pozostałych.

Pogalopowałem na spotkanie dziewczynie, zeskoczyłem z konia i chwyciłem zapłakaną w objęcia.

– Oni nie żyją, wszyscy nie żyją prócz mnie! – zawołała. – Biedny książę Kajlar, oni...

Poklepałem ją po plecach, próbując pocieszyć, lecz ku mojej irytacji wtrąciła się Grimalkin.

– Nie śpiesz się, dziewczyno, i mów powoli.

Wiedźma zabójczyni złapała Jenny za rękę i odciągnęła ją ode mnie. Jenny jednak wyrwała się.

Rozwścieczona Grimalkin znów próbowała ją chwycić, ale ja zasłoniłem swą uczennicę.

– Zostaw ją w spokoju! – warknąłem. – Nie sądzisz, że dość już

wycierpiała? To ty ją porwałaś! Mogła zginąć!

Grimalkin syknęła z furją, ale cofnęła się o krok.

– Musimy dowiedzieć się, co konkretnie zaszło.

Odwróciłem się do Jenny.

– Czujesz się na siłach o tym opowiedzieć?

Przytaknęła i zaczęła swoją historię. Większość naszych ludzi zsiadła z koni i zebrała się dokoła. Co jakiś czas Grimalkin przerywała relację dziewczyny, by móc przetłumaczyć ją dla pozostałych na łostę.

Na długo przed końcem syn księcia Kajlara padł na kolana, szarpiąc włosy i płacząc na wieść o śmierci ojca. Była to doprawdy straszna opowieść. Najwyraźniej z całego patrolu przeżyła tylko Jenny.

Zakładałem, że Grimalkin odwoła atak na kulad albo przynajmniej zaczeka na przybycie reszty armii. Zamiast tego odezwała się do mnie cicho, proponując natychmiastowy wypad z zaledwie tuzinem żołnierzy.

– To bardzo ryzykowne! – upomniałem. – Musimy mieć sposób, by w razie kłopotów wezwać pomoc. Może trzy razy zagwiżdżemy?

Wiedźma zgodziła się, wciąż jednak nie zachwycał mnie jej plan i oświadczyłem to otwarcie.

– A jeśli wiedzą o naszej obecności? Mogli wcześniej dostrzec zbliżającego się księcia Kajlara. Jak możemy liczyć, że przy tak małych siłach pójdzie nam lepiej? W kuladzie muszą ich być setki.

Grimalkin wbiła we mnie wzrok.

– To ryzyko, które musimy podjąć – warknęła. – Czas działa przeciwko nam: nawet teraz nadciąga tu wielka kobaloska armia. Muszę zdobyć wiedzę ukrytą w tej wieży. Tylko to się liczy. Powiedz im. – Gestem wskazała zebranych. – Powiedz, co musimy uczynić!

Przepełniony wątpliwościami posłuchałem, a zabójczyni przetłumaczyła moje rozkazy.

I tak wraz z Grimalkin poprowadziliśmy liczący zaledwie dwu-

nastu ludzi oddział w stronę kuladu. Jenny została z resztą wojska. Nie protestowała. Bardzo przeraziło ją spotkanie z Kobaloszami.

Grimalkin maszerowała obok mnie, przedstawiając mi zarys swej strategii. Wieżę okalały wysoki mur i fosa, nad którą przetrzucano most zwodzony. Tylko po nim można było dostać się do środka. Wiedźma oznajmiła, że sama podejdzie do muru. My mieliśmy zostać wśród drzew i nie ruszać się. Kiedy ona już się przedostanie, na dany sygnał ruszymy za nią. Większość Kobaloszów stacjonowała pod ziemią; jedyną szansę na zwycięstwo dawał szybki atak. Jeśli zdołamy się przebić na szczyt kuladu, gdzie tradycyjnie mieszkali wysocy magowie, będziemy mogli bronić swych pozycji, a ona dowie się wszystkiego, czego zdoła.

Przystanęliśmy przed pierwszymi drzewami i spojrzeliśmy na Grimalkin. Przemówiła do żołnierzy w loście, powtarzając to, co wcześniej powiedziała mnie. Następnie zamknęła oczy i zaczęła mamrotać: rzucała zaklęcie maskujące, mające nas ukryć.

Gdy pomruk zamienił się w lekki melodyjny zaśpiew, zerknąłem na towarzyszących nam mężów. Sześciu z nich było uzbrojonych w łuki: bardzo celne z daleka, ale równie mordercze z bliska – ich strzały przebijały nawet najtwardszą zbroję. Wiedziałem to, bo Grimalkin godzinami omawiała ze mną uzbrojenie oddziałów. Na pozostałą szóstkę składali się miecznicy, śmietanka naszej armii; jeden z nich, wojownik, miał po mnie stanąć do walki z Shaikszą.

Do lasu wiodła wysypana żwirem ścieżka. Zauważyłem, że paruje; wznosząca się z niej mgielka sięgała gałęzi pobliskich drzew. Dlaczego tak się działo? Czemu ziemia tak się tu grzała?

Nie miałem czasu na dalsze rozmyślenia, bo Grimalkin skończyła rzucać zaklęcie i była gotowa do działania. Wkroczyliśmy między drzewa po lewej stronie ścieżki – ja stąpałem na przdzie, wiedźma tuż za mną, a następnie gęsiego cały oddział. Maszerowaliśmy ostrożnie, starając się jak najmniej hałasować. Powietrze trwało bez ruchu. Panowała ciemność, chmura przesłaniała księżyc.

W końcu wyczułem przed sobą ciemny masyw wieży, a potem usłyszałem parsknięcie konia; dźwięk dobiegał gdzieś z lewej, tuż po nim rozbrzmiało ciche rżenie. Gestem poleciłem towarzy-

szom zatrzymać się, serce ścisnęło mi się niespokojnie. Czyżbyśmy mieli przed sobą gotowych do ataku Kobalosów?

– To tylko stajnie! – syknęła mi do ucha Grimalkin.

– Stoją wewnątrz murów. Idź dalej w stronę kuladu!

Rozzłościłem się na samego siebie. Byłem zbyt nerwowy: wciąż nie doszedłem do siebie po traumie śmierci. Pozbawiła mnie pewności siebie i zszargała nerwy.

Gdy dotarliśmy na skraj lasu, ujrzeliśmy wprost przed sobą wieżę. Wzniesiono ją z wielkich bloków ciemnofioletowego, ociekającego wodą kamienia. Trzymając się między drzewami, poprowadziłem nas w prawo, w stronę ścieżki.

Grimalkin położyła mi dłoń na ramieniu i raz jeszcze zaczęła szeptać do ucha:

– Teraz spróbuję się dostać do kuladu. Zatrzymaj tu ludzi, póki nie dam sygnału, że możecie bezpiecznie ruszać.

Odwróciłem się do wojowników i nakazałem im przycupnąć w krzakach. Potem wskazałem najpierw Grimalkin, a następnie kulad, jakbym kazał jej pójść przodem.

Wystąpiła śmiało na ścieżkę, zbliżając się do wysokiego muru; w odróżnieniu od wieży, woda nie spływała po nim, lecz perlila się połyskliwie niczym kropelki potu. Przekonałem się, że most jest podniesiony. Ciekawe, jak wiedźma zamierza pokonać fosę.

Po sekundzie uzyskałem odpowiedź; otaczający mnie żołnierze jęknęli ze zdumienia. Na ścieżce zwrócona do nas plecami stała już nie Grimalkin, lecz potężny kobaloski woj, zakuty w pełną zbroję. A kiedy wykrzyknęła, przemówiła nie własnym głosem, ale ostrym, niskim, gardłowym, władczym tonem.

Z rozmów, które odbywałem w Hrabstwie z wiedźmą zabójczynią, dowiedziałem się, że tak naprawdę nie odmienia kształtu, używa jedynie zaklęcia ułudy, choć niezwykle skutecznego. Praktycznie rzecz biorąc, pod każdym względem wyglądała teraz jak Kobalos!

Nikt nie odpowiedział jej z wieży, ale uzyskała to, czego wszyscy pragnęliśmy. Z brzękiem łańcuchów, zgrzytem metalu i skrzypieniem drewna zwodzony most zaczął opadać. Gdy osiadł na miejscu, Grimalkin podeszła bliżej fosy i zaczęła. Strażnicy wewnątrz do wtóru protestów udręczonego metalu zaczęli podnosić kratę. Gdy w pełni się uniosła, czarownica wstąpiła na

most, przeszła pod bramą i zniknęła nam z oczu.

Po kilku minutach znów zacząłem się niepokoić. Czyżby odkryto, kim jest naprawdę? Coś się z nią stało? Kobaloscycy magowie władali przecież potężną mocą: może Lenklewth, drugi co do potęgi członek Triumwiratu, w jakiś sposób zorientował się w oszustwie?

Nie musiałem jednak się martwić, bo nagle Grimalkin zjawiała się pod kratą. Odzyskała już własną postać i wezwała nas gestem. Przebiegliśmy po moście, zbierając się za murem. Na ziemi ujrzelśmy kilka kobaloskich trupów – wszyscy zginęli gwałtowną śmiercią z rąk czarownicy.

Zauważyłem zdumienie na twarzach naszych towarzyszy. Wyraźnie im zaimponowała.

Ledwie zdążyłem ogarnąć wszystko wzrokiem, gdy Grimalkin wskazała ręką otwarte drzwi wieży. Na jej rozkaz trzech łuczników zajęło pozycje, strzegąc wejścia i naszych tyłów, pozostali podążyli za nami do środka.

Za drzwiami wstąpiliśmy na schody wiodące w górę prawoskrętną spiralą. Nad naszymi głowami cały czas ciągnęło się sklepienie, więc nie mogliśmy stwierdzić, jak wysoko prowadzą i czy gdzieś po drodze nie czekają na nas ukryci wrogowie. Schody nie miały podestów – jedynie drzwi, dające dostęp na każde z pięter. Nozdrza wypełnił mi zapach świeżego drewna – podłogi najwyraźniej niedawno ułożono.

Grimalkin wskazała w górę i znów stanąłem na czele pochodu, wbiegając po stopniach z Gwiazdną Klingą w lewej dłoni. Wspinaliśmy się bardzo szybko, tupiąc głośno o deski. Na pierwszym piętrze czarownica zatrzymała mnie, kładąc dłoń na moim ramieniu. Usłyszałem, jak trzy razy pociąga głośno nosem. Węszyła w poszukiwaniu zagrożenia, przyczajonych Kobalosów – choć sam nie czułem dreszczu przebiegającego po plecach na znak, że w pobliżu czai się Mrok. Liczyłem, iż oznacza to, że Lenklewtha nie ma w kuladzie.

Najwyraźniej uznawszy, że wszystko idzie dobrze, wiedźma zabójczyni puściła mnie i pomaszerowałem dalej, na następne piętro. Mijając drzwi, zajrzałem do dużego pomieszczenia – okazało się, że jest puste; lśniąca drewniana podłoga wyglądała na nową. Zaciekawilo mnie, czemu nie ma w nim mebli.

Wyższe piętro wyglądało tak samo, kolejne także. Nagle jednak usłyszeliśmy dobiegający z dołu niepokojący dźwięk: głośne zgrzytanie metalu, brzęk łańcuchów. Ktoś opuszczał kratę.

Trzej łucznicy mieli rozkaz bronić bramy. Hałas mógł oznaczać tylko jedno: zginęli albo zostali ujęci. Za plecami mieliśmy wrogów.

Grimalkin nakazała nam gestem przystanąć i nasłuchiwać. Nagle usłyszeliśmy tupot ciężkich butów na drewnianych stopniach.

Wiedźma odwróciła się szybko i warknęła rozkaz w loście. Wiedziałem, że nie ma czasu tłumaczyć, ale żołnierze zamarli na moment, słuchając z wyraźnym powątpiewaniem. Zastanawiali się, czemu to ona wydaje polecenia, toteż pokiwałem potakująco głową i posłuchali.

Zamykający pochód trzech pozostałych łuczniczy obrócili się naprzeciw nadciągającym Kobalosom i uklękli, naciągając cięciwy. Za nimi przykucnęli trzech miecznicy, unosząc w gotowości broń.

– Teraz ja pójde pierwsza – oznajmiła Grimalkin. – Przed sobą możemy mieć pułapki magiczne. Uruchomię je, ale jeśli mnie sparaliżują, bądź gotów z Gwiazdną Klingą.

Pokazałem ręką w górę, jakbym rozkazywał jej pójść przodem.

Grimalkin wbiegła po schodach, ja podążyłem za nią z resztą żołnierzy. Teraz mieliśmy już tylko jednego łucznika i trzech mieczników. Z ich pomocą zamierzaliśmy przeniknąć do serca kryjówki maga.

Następne piętro było puste, podobnie kolejne. W każdym z pomieszczeń widziałem inne drzwi, ale Grimalkin ich nie sprawdzała. Bez wątpienia ustaliła, że cokolwiek się za nimi kryje, nie zagraża nam.

Zacząłem się zastanawiać, czy wyżej w ogóle kogokolwiek zastaniemy. Wyglądało na to, że przewidziano nasz atak: Kobalosi mogli porzucić górne piętra wieży. Teraz wystarczyło nas tam uwięzić i posłać w górę schodów wojowników – więcej, niż zdołalibyśmy pokonać.

Maszerowałem tuż za Grimalkin, aż dotarliśmy na szczyt. Tam, według czarownicy, Lenklewth przechowywał magiczne przedmioty.

Znaleźliśmy się w niewielkim, wykładanym płytkami przedpo-

koju, z którego prowadziły dalej otwarte drzwi. Kiedy przez nie zajrzeliśmy, wydało nam się, że obszerną komnatę wypełnia mgła. Wiedźma zabójczyni powoli przekroczyła próg, ja podążałem tuż za nią, ściskając w palcach Gwiezdną Klingę. Połowę pomieszczenia zajmowała obszerna, wpuszczona w podłogę wanna, wypełniona, jak się zdawało, bardzo gorącą wodą. Wzbijały się z niej kłęby pary tak gęste, że pod jej osłoną w kątach mogli czaić się niewidoczni Kobalosi. Nagle ujrzałem wąską kładkę, przerzuczoną nad wanną i wiodącą do kolejnych drzwi.

Grimalkin wystąpiła naprzód i trzy razy głośno pociągnęła nosem. Postawiła drugi, powolny krok – po ostrożnych ruchach widziałem, że wciąż zachowuje czujność.

Nagle przyszło mi do głowy, że coś mogłoby się ukrywać pod powierzchnią wody. Sprawiała wrażenie niemal wrzącej, ale to nic nie znaczyło: kobaloski wysoki mag bądź jeden z jego stworów mógł być odporny na gorąco.

Grimalkin wstąpiła na kładkę i przeszła parę kroków. Ruszyłem za nią, nerwowo zerkając w parującą taflę. Gestem poleciła czterem żołnierzom, by pozostali na miejscu.

Zeskoczyliśmy z kładki i przekroczywszy próg, znaleźliśmy się w obszernej komnacie o kamiennej posadzce. Pośrodku stało duże, dębowe biurko o brzegach okutych srebrnymi listwami. Na wszystkich czterech, wyłożonych ciemną boazerią ścianach rozwieszono broń: topory, szable i włócznie, a także inne, których kształtów nie znałem; niektóre przypominały kosy z Hrabstwa, lecz wygięte w spiralę.

Okazało się, że sam pokój jest pusty, na szczęście maga nie było w domu. Rozglądaliśmy się dokoła, uważnie badając otoczenie. Płaskorzeźby na ścianach przedstawiały wojowników i sceny bitewne, wizerunek z jednej powtarzał się na pojedynczym, wiszącym obok obrazie. Widniał na nim rosły, kobaloski wojownik na koniu: niezwykle rzeczywisty, przyciągał naszą uwagę. Oboje podeszliśmy bliżej, by go obejrzeć.

W lewe oko wojownika wbito długą włócznię, której grot sterczał z tyłu głowy; on sam spadał właśnie z siodła.

– Oto ostatni król Valkarky – oznajmił niski głos zza naszych pleców. – Zginał od ciosu tą lancą, zwaną Kangadonem, czyli Lancą, Której Nie Da Się Złamać. To wtedy władzę przejął

Triumwirat wysokich magów.

Czyżby to kobaloski mag skrył się przed nami pod płaszczem niewidzialności?

Tyle że znałem ten głos...

Oboje obróciliśmy się ku niemu.

Ze zdumieniem, które szybko zastąpił gniew, patrzyłem na niego. Był to mroczny mag Lukrasta.

ROZDZIAŁ

13



KREW I ŚLIWA

THOMAS WARD

Gdzie kobaloski wysoki mag? – spytała ostro Gri malkin, patrząc gniewnie na Lukrastę.

– Bardzo blisko – odparł drwiącym tonem. – Chciałabyś z nim pomówić?

Wbiłem wzrok w mego wroga, tego, który odebrał mi Alice. Długie sumiaste wąsy opadały na wargi, bardzo różowe, jakby nabrzmiałe krwią; rozchyłał je w uśmiechu, ukazując ostre, białe zęby.

Stał po naszej stronie – sojusznik w walce z Kobalosami – nadal jednak uważałem go za osobistego nieprzyjaciela. A choć starałem się opanować uczucia, kiedy spojrzałem wprost w jego aroganckie oczy, ogarnął mnie pałący gniew.

Podczas poprzedniego spotkania walczyliśmy na miecze. Wygrałem wtedy, był zdany na moją łaskę, ale Alice błagała, bym darował mu życie. Posłuchałem, choć nie tylko jej prośby wpłynęły na moją decyzję. Jakaś część mnie – ta wywodząca się od lamii – pragnęła go zabić. Jednakże po ojcu odziedziczyłem poczucie tego, co słuszne i właściwe. Mag nie mógł się bronić, a ja nie potrafiłem zabić go z zimną krwią.

Teraz mocniej chwyciłem w dłoni rękojeść Gwiazdnej Klingi, świadom, że obroni mnie przed jego magią. Nagle zaciekawiło mnie, gdzie się podziewa Alice. Gdy walczyłem z Shaikszą, złączyli z Lukrastą siły, by nade mną zapanować. Mogliby znów tego spróbować.

– Owszem, jeśli jest twoim więźniem, chcę z nim pomówić – oznajmiła gniewnie Grimalkin. – Możemy się od niego wiele dowiedzieć. Ale co ty właściwie tu robisz?

Lukrasta uśmiechnął się – już miał odpowiedzieć, gdy z przedpokoju dobiegł nas nagły krzyk i brzęk zwalnianych cięciw. Podbiegliśmy z Grimalkin do wejścia, ale para znad wanny tak bardzo zgęstniała, że widzieliśmy tylko niewyraźne sylwetki, z trudem trzymające się na nogach. Naszych uszu dobiegły przekleństwa, jęk bólu, kolejny krzyk, a potem zapadła cisza.

Sądziłem, że Grimalkin skoczy naprzód, by wziąć udział w walce, ale ku memu zdumieniu cofnęła się szybko o dwa kroki i przybrała obronną pozycję, przykucnięta, z uniesionymi w gotowości długimi nożami. Omal przy tym na mnie nie wpadła, aż musiałem odsunąć się czym prędzej. I wtedy odkryłem, co spowodowało ów odwrót. Wielki, podobny do owada stwór o długim pysku pełził ku nam na cienkich nogach o wielu stawach, stąpając delikatnie po kładce. Był to skelt.

Te śmiercionośne stwory wyposażone są w długą, ostrą, kościaną rurę, którą przebijają ofiarę, by wyssać z niej krew. Gdy staną prosto, przewyższają wzrostem człowieka.

Za pierwszym skeltem pojawiły się dwa kolejne. Wszystkie trzy ruszyły ku nam i zrozumiałem, że wcześniej musiały się ukrywać we wrzącej wodzie.

Kiedyś skelty występowały bardzo rzadko, ale w jednej z krain Mroku oglądałem ich setki. Rozszarpały ciało Złego na strzępy i poniosły do wrzącego jeziora, w którym zniknęły.

Nagle przypomniałem sobie, że nowy potężny kobaloski bóg Talkus przybrał ponoć postać skelta. Przez jedną straszliwą sekundę przeraziłem się, że może tu jest.

Ale nie miałem czasu, by się dłużej zastanawiać: szybko wycofaliśmy się do komnaty maga. Skelty ścigały nas, ociekając wodą i przemykając wśród wznoszących się do powały kłębow pary. Dlaczego Grimalkin nie zaatakowała? Czyżby było ich zbyt wiele? A może też obawiała się przybycia Talkusa?

I wtedy usłyszałem za plecami niski głos. Nie należał do Lukrasty, brzmiał głucho, ostro... nieludzko.

– Wiedźmo, nie tylko ty potrafisz odmieniać postać!

Obejrzałem się przez ramię i odkryłem, że w miejscu Lukrasty

stoi teraz kobaloski wojownik, wysoki na jakieś siedem stóp. Odziany w pełną zbroję, miał jednak gołą głowę, a na widok ogolonej twarzy wstrząsnął mną dreszcz strachu, oznaczało to bowiem, że jest magiem.

Serce uciekło mi w pięty. To musiał być Lenklewth, potężny czarownik, którego Grimalkin miała nadzieję uniknąć.

– We mnie znalazłaś równego przeciwnika! – syknął do wiedzymy zabójczyni.

Ruszyła ku niemu, unosząc swoje klingi, w jej oczach płonęła furia.

Mag skinął lewą dłonią i przeżyłem wstrząs – ku mej rozpaczce ujrzałem, jak Grimalkin pada na kolana. Noże wysliznęły jej się z palców i z brzękiem runęły na ziemię. Jej twarz wykrzywił grymas agonii. Nagle z nosa trysnęła krew i zaczęła ściekać po brodzie. Potem czerwone strużki popłynęły też z uszu. Patrzyłem przerażony. Mag nas oszukał, zwabił do swej wieży, a teraz skinieniem ręki powalił wiedźmę na kolana. Nie doceniła jego zdolności. Nigdy nie widziałem jej tak łatwo pokonanej, tak żałośnie słabej i widok ten mnie przeraził.

Nagle mag odwrócił się ku mnie i uczynił podobny gest. Niczego nie poczułem i zobaczyłem, że marszczy brwi. Pojąłem, że Gwiezdna Klinga ochroniła mnie przed magią.

Grimalkin walczyła ze sobą, próbując złapać oddech, nagle jednak zrozumiałem, że rozpaczliwie usiłuje coś powiedzieć. W końcu wyrzuciła z siebie słowa w rozbryzgu krwi.

– Zabij go, już! – sapnęła. – Ale musisz utrzymać w dłoni miecz!

Uniosłem Gwiezdną Klingę i postąpiłem krok w stronę Lenklewtha. Miecz nie pozwalał mi przeniknąć wzrokiem złudzenia, ale wiedziałem, że ochroni przed każdym magicznym atakiem.

Wciąż jednak nie odzyskałem pełni sił. Od dnia wskrzeszenia z martwych nie trenowałem, brakowało mi energii i umiejętności, dzięki którym pokonałem Shaikse przy brodzie. Trzęsły mi się ręce.

– Opierasz się mocniej niż ta czarownica – wychrypiał mag.

Jako siódmy syn siódmego syna dysponuję pewną odpornością na mroczną magię, wiedziałem jednak, że zawdzięczam to głównie klindze. Za wszelką cenę musiałem ją zachować.

W tym momencie usłyszałem dobiegające zza pleców skrobanie po kamiennych płytach. Zerknąłem kątem oka i przekonałem się, że zbliżają się dwa skelty. Co prawda oddzielało mnie od nich biurko, ale kolejne przebiegały przez kładkę i wpadały do komnaty.

Niebezpieczeństwo rosło z każdą chwilą, toteż zamachnąłem się mieczem, celując w głowę Lenklewtha. Gwiezdna Klinga poruszała się opornie, ciężko, wiedziałem, że nie trafię. Mimo imponującego wzrostu mag uskoczył zręcznie na bok i z łatwością uniknął ciosu. Potem zawirował, chwytając ze ściany wielki dwusieczny topór bojowy. Przykucnął, ściskając oburącz drzewce, i czekał na mój atak.

Gdy się doń zbliżyłem, wyprostował się całkowicie, unosząc topór nad głowę, a potem ciął jednym potężnym zamachem. Gdyby trafił, rozrębałby mnie na pół. Ledwie zdołałem wykonać unik, ostrze z hukiem uderzyło w kamienną płytę posadzki.

Śmignąłem naprzód, zanim mag zdołał znów unieść topór. Tym razem wycelowałem Gwiezdną Klingą w miejsce wysoko na jego ramieniu, tam gdzie łączyły się osłony barków i szyi. Ostrze zabrzęczało o metal, nie zdołało jednak znaleźć wrażliwego miejsca. Znow zaczęliśmy się okrążać. Jeden atak, a ja dyszałem ciężko i nogi uginały się pode mną.

Grimalkin tkwiła na czworakach, ze spuszczoną głową, na posadzce pod nią tworzyła się niewielka, lepka kałuża krwi i śliny ściekającej z otwartych ust wiedźmy. Chwilowo unieszkodliwiła ją potężna magia przeciwnika.

Wiedziałem, że muszę szybko zakończyć starcie, bo brakowało mi już energii. Skupiłem się wyłącznie na przeciwniku, obmyślając kolejny ruch, gdy nagle poczułem ostry ból, przeszywający tył łydki. Zerknąłem w dół i odkryłem, iż skelt przebił mi ciało swoją rurą. W tym momencie mag zaatakował. Ciął poziomo toporem i ledwie zdążyłem zablokować potężny cios.

Gwiezdna Klinga wyleciała mi z dłoni i wirując, upadła na ziemię.

Szybko schyliłem się po nią, ale było za późno; przestała mnie już chronić.

Mag uśmiechnął się i nagle straciłem oddech. W gardle wezbrała mi żółć, dusiłem się, tonąłem.

Po paru sekundach wszystko zniknęło. Magia Lenklewtha posłała mnie w ciemność.

ROZDZIAŁ

14



WJĘZJEŃ KOBALOSÓW

THOMAS WARD

Obudziłem się z morderczym bólem głowy. Kiedy usiadłem, świat zawirował wokół mnie. Było mi niedobrze, z trudem powstrzymywałem wymioty.

Po kilku chwilach najgorsza fala mdłości minęła i rozejrzałem się po pomieszczeniu, w którym mnie uwięziono. Nie miało okien, ale na szpikulec w ścianie po lewej nabito świecę i jej migotliwy płomyk nieco oświetlał nędzne wnętrza celi. Podłogę wyłożono kamiennymi płytami, na również kamiennych ścianach widniały plamy krwi, wiele starych i pociemniałych, lecz niektóre podejrzanie świeże. Torturowano tu i zabijano ludzi.

W kącie leżała sterta brudnej słomy – moje legowisko – a obok w posadzce ziała dziura. Wstałem i podszedłem obejrzeć ją z bliska. Natychmiast cofnąłem się: cuchnęła moczem i ekskrementami. Zrozumiałem co to i pojąłem, że wkrótce sam będę zmuszony z niej skorzystać.

Potem zauważyłem stojący przy drzwiach dzbanek. Wypełniała go woda. Zaszło mi w ustach, ale czy mogłem jej zaufać? Może jest zatruta?

Tylko po co? – spytałem w duchu. Przecież w każdej chwili mogli mnie zabić mieczem.

Jęknąłem na wspomnienie tego, jak szybko mag mnie rozbroił. Z jaką łatwością pokonał! Ogarnął mnie wstyd. Powinienem był utrzymać miecz! Dar Grimalkin dawał nam szansę, a ja zawiodłem czarownicę. Całe moje szkolenie na nic się zdało.

Wówczas jednak rozmyślenia poprowadziły mnie w inną stronę i poczułem gniew. Byłem taki osłabiony. W ogóle nie powinienem się tu znaleźć. Ostrzegałem Grimalkin, ale nie słuchała; porwała nawet Jenny, byle tylko nagiąć mnie do swych żądań.

Poszedłem obejrzeć drewniane drzwi. Zrobiono je solidnie, dolną połowę okuto stałą. Nie miały okienka, toteż w żaden sposób nie mogłem wyrzeć na zewnątrz, nawet przez dziurkę od klucza. W zamku zostawiłem specjalny klucz zrobiony przez Andrew, brata mojego nieżyjącego mistrza, Johna Gregory'ego. Andrew był świetnym ślusarzem, a ów klucz wielokrotnie pozwolił mi uciec z lochów i innych więzień. Tu jednak na nic by się nie zdał, bo bez wątplenia drzwi bezpiecznie zaryglowano od zewnątrz.

Powąchałem wodę, a potem pociągnąłem ostrożny łyk. Okazała się ciepła, ale całkiem smaczna. Wszystko w tej wieży było ciepłe – pod ziemią musiało kryć się źródło gorąca, może naturalny źródło? Nagle przypomniałem sobie Uskok Fittzanda, gdzie ziemia drżała, a ze szczelin tryskały strugi pary. Może wieżę wzniesiono na podobnie niestabilnym wulkanicznie terenie?

Gnany pragnieniem, zacząłem łapczywie żłopać wodę. Po paru sekundach omal nie zwymiotowałem i musiałem przestać. Odstawiłem więc dzbanek i zacząłem krążyć tam i z powrotem, próbując skupić myśli.

Tak łatwo nas pokonali! Kobaloski mag zastawił pułapkę, a my wpadliśmy w nią niczym jagnięta idące na rzeź. Przyjął postać Lukrasty i całkowicie mnie okpił. Zmysł zwykle podpowiadający, że w pobliżu czai się coś z Mroku, tym razem zawiódł z kretesem. Kobaloscycy wysocy magowie władali niezwykle potężną mroczną mocą. Jeszcze bardziej martwił mnie fakt, iż Lenklewth oszukał także Grimalkin i szybko pokonał ją swymi czarami.

Wiedźma tak desperacko pragnęła poznać sekrety kobaloskiej magii, że zachowała się nieostrożnie. Z relacji Jenny wynikało, że kuladu strzeże duży oddział wroga, a jednak zaatakowaliśmy go zaledwie w dwunastkę, w dodatku nie mając pewności, czy mag faktycznie przebywa w Valkarky.

Nagle zrozumiałem, że aby przybrać postać Lukrasty, Lenklewthh musiał o nim wiedzieć. To oznaczało, że go spotkał –

może nawet unicestwić? Nie darzyłem Lukrasty miłością, ale jeśli został pokonany, nie wróżyło to dobrze naszej sprawie.

Z oddali dobiegł mnie krzyk. Brzmiał, jakby dobywał się z ust kobiety – może to jedna z niewolnic, które Kobalosi zwali purrai? Wiedziałem, że traktują je okrutnie. A może krzyk ów wyrwał się z gardła Grimalkin?

Dotąd tylko raz słyszałem, jak krzyczy z bólu – kiedy pomogłem jej nastawić złamaną nogę. By odzyskać wcześniejszą sprawność posłużyła się magią i srebrnym bolcem, łączącym kawałki strzaskanej kości. Gdy go wbiłem, krzyknęła boleśnie. Dotknięcie srebra sprawia czarownicom wielkie cierpienie, a ona musiała z tym żyć do końca swych dni. Oto cena, jaką płaciła za pozostanie wiedźmą zabójczynią.

Nie przypuszczałem jednak, że mogłaby krzyczeć podczas tortur. Cóż takiego strasznego zrobili, że z jej ust wyrwał się ów głos?

Nie! Nie! – rzekłem w duchu. Niemożliwe. To nie Grimalkin krzyczała!

Zdenerwowany, nadal krążyłem tam i z powrotem, przystając po drodze tylko po to, by pociągnąć łyk czy dwa z dzbana.

Zawsze umiałem dość dokładnie oceniać upływ czasu; budząc się w środku nocy, zwykle potrafiłem określić dokładną godzinę. Teraz jednak czułem się, jakby moje zwykłe zmysły i umiejętności w niewytłumaczalny sposób stępiały. Nie potrafiłem też powiedzieć, jak dużo czasu minęło od chwili, gdy osunąłem się w otchłań nieświadomości po walce z magiem, aż do przebudzenia w celi.

Zastanawiałem się, czy istnieje szansa, że ktoś mnie uratuje. Nasi nieliczni żołnierze w wieży z pewnością już nie żyli, wybici na schodach przez Kobalosów. Pułapkę zaplanowano perfekcyjnie.

Ale co z setkami czekającymi wśród drzew? Ze ściśniętym sercem pojąłem, że oni też nam nie pomogą. Z pewnością oddziały Kobalosów zdążyły ich już przepędzić albo wymordować.

I jest z nimi Jenny. Możliwe, że nie żyje.

Biedna Jenny! Teraz już nigdy nie zostanie stracharzem. Przywiodłem ją tu na śmierć albo może coś gorszego: zniewolenie przez Kobalosów.

Z jeszcze większą rozpaczą myślałem o groźbie, która zawisała nad naszą siedmiotysięczną armią. Lenklewth wiedział, że planuje atak, z pewnością przygotował się odpowiednio. Bez wątpienia wojska kobaloskie nadciągały tu z północy. Wkrótce ją otoczą.

Cały czas krążyłem po celi – tam i z powrotem.

Czas włókł się niemiłosiernie. W końcu, wyczerpany, usiadłem, opierając się o ścianę naprzeciw drzwi, i zasnąłem. Obudził mnie zgrzyt odciąganego rygla. Drzwi uchyliły się, do celi zajrzała kobieta.

Nie widziałem jej twarzy: obok stał ktoś jeszcze, ktoś trzymający lampę, ujrzałem więc jedynie sylwetkę. Kobieta szybko wbiegła do celi, postawiła coś na podłodze i odskoczyła. Drzwi zatrzasnęły się, zasunięto rygiel.

Zauważyłem jeszcze co najmniej trzy inne kobiety, odziane w łańchmany i uzbrojone w pałki; ta, która weszła do celi, miała nagie ramiona pokryte bliznami. Zatem to purrai: takie rany zadawali Kobalosi w ramach szkolenia albo kary. Część purrai porywali z domów, większość przychodziła na świat w niewoli.

Wstałem i podszedłem do drzwi. Na podłodze znalazłem niewielką miskę z czymś przypominającym szarą, bryłowatą owsiankę. Skosztowałem i okazało się, że mam rację. Choć była jak na mój gust nieco za słona, zjadłem wszystko. Musiałem zachować siły na to, co mnie czeka.

Znów zasnąłem – nie wiem, jak długo spałem – i ponownie obudził mnie szcęk rygla. Tym razem drzwi pchnięto tak gwałtownie, że odbiły się od ściany.

Zamiast kobiet w wejściu stało trzech groźnych kobaloskich wojowników. W odróżnieniu od maga ci mieli nieogolone twarze, a ich oczy płonęły tak gniewnie i wrogo, że przez moment sądziłem, iż zabiją mnie tu i teraz. Czyżby mag nakazał im egzekucję?

Jeden trzymał w dłoniach potężny topór o podwójnym ostrzu. Stał w rozkroku, unosząc broń w gotowości. Pozostała dwójka wmaszerowała do celi i wywlokła mnie z niej, wykręciwszy mi

ręce. Potem, popychając mnie, sprowadzili po schodach. Parę razy o mało nie spadłem.

Czyżby wiedli mnie na stracenie? Na tę myśl zadrzałem ze strachu. Z początku nie pamiętałem, co się ze mną stało po śmierci, niedawno jednak wizje grozy i bólu powróciły. Wydawały się koszmarami, ale teraz obawiałem się, że to mętne wspomnienia tego, czego doświadczyłem: czułem straszliwy ból w ramieniu, ktoś krzyczał i na ów dźwięk zjeżyły mi się włosy. Nagle pojąłem, że ten ktoś to ja.

Nie chciałem znów przez to przechodzić.

W jakiś sposób utrzymałem się na nogach. Szliśmy dalej wciąż w dół i w dół, mijając piętra zapamiętane ze wspinaczki. Gdy zostawiliśmy za sobą znajome drzwi, pojąłem, że zmierzamy pod ziemię.

ROZDZIAŁ

15



HANJEBNA ŚMIERĆ

THOMAS WARD

W końcu dotarliśmy do wielkich drzwi. Kobaloski wojownik zastukał w nie trzy razy rękojeścią szabli; otwarły się wówczas, a oni wepchnęli mnie do środka.

Natychmiast zdumiały mnie dwie rzeczy: ogrom piwnicy i wielka liczba czekających w niej Kobalosów. Choć odziani w pełne zbroje, nie nosili hełmów; u wielu dostrzegłem świeże plamy krwi na pancerzach, jakby jeszcze chwilę temu walczyli.

Wewnątrz panował ogłuszający zgiełk. Kobalosi porozumiewali się krzycząc ile sił w płucach, plując sobie w twarze i bryzgając dokoła nieprzeżutym jedzeniem.

Ponad setka żołnierzy siedziała przy długich stołach, połykając łapczywie pożywienie – przed sobą mieli półmiski mięs, zarówno poczerniałych i przypalonych, jak i niemal surowych. Krew zlepiła wąsy tych ludzi i ściekała po brodach. Na mój widok zareagowali zwierzęcym rykiem, tłukąc rytmicznie w błaty wielkimi, kudłatymi pięściami.

Zaczęli popychać mnie między sobą, aż w końcu dotarłem do głównego stołu, ustawionego na podwyższeniu. Obok, na wielkim, otwartym palenisku, żółte płomienie strzelały w głąb mrocznego komina.

Dwaj Kobalosi, siedzący na honorowych miejscach, patrzyli z góry na zebranych. Jednym był wysoki mag Lenklewth, rozgrzewający dłonie przy ogniu, drugim wojownik o włosach splecionych w trzy długie czarne warkocze, symbol zabójcy Shaiksy,

zapewne równie zręczny i niebezpieczny w walce jak ten, z którym się pojedykowałem. Żaden z nich nie nosił zbroi; zamiast nich przywdziali skórzane kaftany, zdobione dziwnymi spiralami i pętlami złotej nici.

A potem uniosłem wzrok i ujrzałem na ścianie dwie szerokie, marmurowe półki, tuż nad kominkiem. Nagle zrozumiałem, że to ołtarz. Na górnej stał posążek skelta: jego ciało, cienkie nogi o wielu stawach i długą, ostrą, kościaną rurę wykuto z czarnego, lśniącego kamienia, zapewne skały wulkanicznej. Tylko oczy płonęły rubinową barwą. Bez wątpienia figurka przedstawiała Talkusa, nowo narodzonego boga, któremu Kobalosi oddawali cześć.

Choć wyglądała naprawdę imponująco, na półce poniżej stało coś wykraczającego poza wszelkie zrozumienie. Podobizna niewątpliwie przedstawiała Golgotha, Władcę Zimy, który sprzymierzył się z Kobalosami i ich nowym bóstwem. Tej figurki jednak nie wycięto z czarnej skały, ale z białego lodu. Na kolistej bryle tkwiła owalna głowa o dwojgu czarnych oczach. Z boków postaci wyrastały niezliczone szponiaste kończyny i macki, niektóre zwisające z półki tuż nad ogniem. Wedle wszelkich praw natury powinny się były stopić, ale gorąco płomieni w ogóle na nie nie działało.

Ktoś pchnął mnie mocno i powalił na kolana. Jeden z żołnierzy złapał mnie z tyłu za włosy i zmusił do pochylenia głowy niczym w ukłonie, aż uderzyłem nią o posadzkę. Powtórzył to trzy razy, jakby chciał roztrzaskać mi czaszkę. Przez moment ujrzałem gwiazdy, żołądek ścisnął mi się i omal nie straciłem przytomności. Znieruchomiałem w obawie przed dalszą przemocą; czułem, jak po moim czole spływa krew.

Szarpnięciem uniesiono mi głowę, tak że spojrzałem na najwyższy stół. Lenklewth rozmawiał właśnie w loście z Shaikszą, zasypując go gradem słów. Do tej pory nauczyłem się już kilku zwrotów, ale rozumiałem je tylko wymawiane powoli i wyraźnie. Żołnierze przy pozostałych stołach milczeli, słuchając maga.

Nagle Lenklewth zmienił język i zwrócił się do mnie wprost:

– Co czułeś, będąc martwym? – spytał. – Co widziałeś?

W odpowiedzi błysnęło mi w głowie – urywek pośmiertnego wspomnienia. Coś ostrego i białego wbijało mi się w ramię, czułem na twarzy gorący oddech, słyszałem ostre wrzaski, jak kwi-

czenie świni, której ktoś podrzyna gardło. Po sekundzie wszystko minęło, pozostawiając mnie bez tchu, z sercem w gardle. Spróbowałem odpowiedzieć, lecz zdołałem tylko zachrypieć i rozkaszałem się głośno. Za drugim razem udało mi się wydusić z siebie kłamstwo.

– Niczego nie pamiętam od chwili, gdy runąłem do wody, aż do momentu przebudzenia.

– Myślisz, że naprawdę umarłeś? – spytał Lenklewth. – Czy była to tylko sztuczka waszego ludzkiego maga?

Często sam zadawałem sobie to pytanie. Czy w jakiś sposób wszystko zainscenizowano? Czy Lukrasta z pomocą swej mrocznej magii wywołał uludę śmierci?

– Nie wiem, lecz inni twierdzą, że bez cienia wątpliwości umarłem naprawdę.

– Nie wierzę, by Lukrasta dysponował mocą wskrzeszania z martwych – warknął Kobalos. – To tylko sprytna sztuczka. Oszukał nią większość ludzi i osiągnął swój zamiar. Historia twojego zmartwychwstania rozeszła się szeroko. Miasta daleko na południu reagują na nią, szykując swe wojska. Mógłbyś je zebrać pod swym sztandarem. Na nieszczęście dla nich ja cię uwięziłem; to tak, jakbyś już nie żył. Być może wystarczyłoby ich, by nam zaszkodzić, ale teraz wszystko szybko się rozsypie. Plan Lukrasty już się powiódł.

Mój mistrz John Gregory nauczył mnie wciągać w rozmowę każdego prześladowcę – w ten sposób można zyskać cenne informacje, które przydadzą się później. Postanowiłem zrobić to teraz i zacząć schlebiać magowi.

– Zatem od początku wiedziałeś o Lukraście? Musisz władać bardzo potężną mocą, skoro potrafisz przewidzieć działania tak groźnego ludzkiego czarownika.

Lenklewth przez chwilę przyglądał mi się i poczułem nagły niepokój. A jeśli czytał mi w myślach?

Znów odezwał się w loście, zwracając do zebranych. Kiedy skończył, odpowiedzieli ogłuszającym krzykiem i ponownie zaczęli tłuc pięściami o stoły. Trwało to co najmniej pięć minut, aż w końcu Lenklewth uniósł dłoń, a oni umilkli.

Nie zrozumiałem nawet słowa, ale wyraźnie ucieszył czymś wojowników. Czyżby uwierzył w moje pochlebstwa i powtórzył je

wyznawcom?

Ponownie przemówił do mnie z tryumfalnym uśmiechem.

– O ile wiem, wasze ludzkie wiedźmy używają luster, aby wejrzeć w przyszłość, nazywają tę metodę postrzeganiem. Wasz mag Lukrasta użył czegoś innego, aby osiągnąć to samo. My jednak znamy trzecią metodę. Jestem wysokim magiem Kobalosów, zastosowałem coś, co nazywamy tantalingi. To technika o wiele przewyższająca wasze, ludzkie. Zastawiłem zasadzkę na Lukrastę. Najpierw posłałem zabójcę Shaikse, by rzucił ludziom wyzwanie na brzegu Shanny. Jakże łatwo połknęliście przynętę! Tantalingi pokazało mi, że zainteresuję w ten sposób kobietę zwaną Grimalkin. Przewidziałem, że przyprowadzi cię, byś stanął do walki, ujrzałem też więcej: dostrzegłem maga Lukrastę, lecz dopiero po jakimś czasie zrozumiałem, jaką rolę chce odegrać. Bo każda nowa decyzja zmienia przyszłość. Lukrasta postanowił użyć was obojga jako swych narzędzi. Ty pokonałeś Shaikse, lecz to on zaaranżował twą pozorną śmierć i odrodzenie. Samo proroctwo przepowiadające nadejście przywódcy było już dość potężne, ale Lukrasta posunął się jeszcze dalej. Zmarłychwstanie miało stanowić sygnał i ściągnąć tu potężną armię ludzi, która podąży za tobą w bój. Nikt z was jednak, nawet Lukrasta, nie przewidział zastawionej przeze mnie pułapki! Wierząc w swej głupocie, że zdoła przechwycić magię Kobalosów, Grimalkin dała się przyciągnąć do tego kuladu niczym ćma do świecy. Teraz mam was oboje!

Jego słowa uderzyły mnie niczym cios młota wymierzony między oczy. Grimalkin wykorzystała mnie, ale te stwory wykorzystały nas wszystkich, mnie, ją i Lukrastę, w tej kolejności. Kolejne poziomy spisku przypominały warstwy cebuli, a ja tkwiłem w samym środku, marionetka ich wszystkich. W moim sercu zapłonął gniew i tylko najwyższym wysiłkiem woli powstrzymałem się przed beznadziejnym atakiem na kobaloskiego maga.

Lenklewth sięgnął po coś i położył na stole przed sobą. To była moja Gwiazdna Klinga.

– To doprawdy niezwykły magiczny przedmiot. Trudno uwierzyć, że stworzył go zwykły człowiek. Wiedźma Grimalkin ma ogromny talent. Zamierzałem ją zabić, ale teraz myślę, że lepiej będzie zniewolić. Rok czy dwa w zagrodach skleech z innymi

purrai nauczy ją pokory. Jej zdolności mogą posłużyć naszemu ludowi. A co do miecza, służy tylko tobie, każę go zatem przetopić i wykuć zeń nową broń. Metal jest cenny, prawnie nam się należy – wiedźma zabójczyni wtargnęła na nasze ziemie i go ukradła. A potem, już wkrótce, rozprawimy się z tobą...

Zerknął na Shaikse, skinął głową, po czym znów obrócił się ku mnie.

– Pozostań tutaj podczas naszych modłów i uczty. Nie próbuj się ruszyć. Choćby mrugnij okiem, a możesz spodziewać się natchmiastowej kary. Później oddam cię Shaiksie, bardzo pragnie pomścić śmierć swego brata. Tym razem nie zginiesz na niby, twoja śmierć stanie się ofiarą dla naszych bogów. Nie przeżyjesz ciosów zabójcy. Zrani cię wiele razy, zabije powoli. To będzie haniebna śmierć: nazywamy ją slandata. Karzemy tak wyłącznie zbuntowane purrai. Dopiero kiedy zaczniesz krzyczeć i błagać o śmierć jak one, Shaiksa zada morderczy cios i uwolni cię od dalszych cierpień.

Wciąż pamiętałem chwilę własnej śmierci i perspektywa przeżycia jej ponownie przerażała mnie do głębi. Pomyślałem jednak, że skoro nie zdołam uniknąć losu, jaki przeznaczył mi mag, może przynajmniej uda mi się wybrać sposób i właściwą chwilę. Gdybym nagle zaatakował Lenklewtha, musiałby się bronić. Może w ten sposób zginąłbym szybciej i mniej boleśnie. Uznałem, że trzeba poczekać, aż nadarzy się po temu okazja.

Mag i Shaiksa uklękli na posadzce naprzeciw dwóch posążków bogów. Za sobą usłyszałem poruszenie: teraz klęczeli już wszyscy zgromadzeni. Przytrzymujące mnie ręce zniknęły, wiedziałem jednak, że tuż za mną stoi co najmniej dwóch Kobalosów.

Mag zaczął przemawiać w loście, lecz ton i rytm jego słów nie przypominały zwykłej mowy. Od czasu do czasu milkł, a wówczas z za moich pleców odpowiadał mu niski, zgodny chór. Kobalosi modlili się do swych bogów.

Odniosłem dziwne wrażenie, że posążek Talkusa poruszył się lekko: patykowate kończyny drgnęły, kościana rura uniosła się i opadła. Uznałem jednak, że to tylko wyobraźnia – zapewne w

połączeniu z niewygodą i zdenerwowaniem.

Z całą pewnością jednak coś działo się z podobizną Golgotha i nagle po plecach przebiegł mi dreszcz – zbliżała się jakaś istota z Mroku. Mogła to oczywiście tłumaczyć obecność maga, ale dostrzegłem też inne wskazówki. Ogień w kominku przygasł nagle, poczułem zimno płynące z lodowego posążka.

Czyżby Golgoth łączył się ze swą podobizną? Czy zjawi się w tej sali, by oglądać moją śmierć?

Mag i Shaiksa wykrzyknęli, wyciągając ku niemu ręce, a potem pokłonili się, dotykając czołami ziemi. Po kilku chwilach wstali, w milczeniu wpatrując się w lodową figurkę.

Wreszcie modły dobiegły końca i wszyscy wrócili na miejsca.

Lenklewth, nie zwracając na mnie uwagi, zajął się rozmową z Shaikszą. Wokół siebie słyszałem odgłosy uczty, przerywane wrzaskami i waleniem pięściami w stół. Trwało to bardzo długo. Zmusiłem się, by zachować spokój, próbowałem nie myśleć o tym, co mnie czeka.

A potem nagle wysoki mag powstał i w sali zapadła przejmująca cisza. Skinął ręką i usłyszałem, jak zebrani jednocześnie wstają. Przekrzywiłem nieco głowę, by widzieć, co się dzieje. Opuszczali ucztę, zostawiając na stołach niedokończony posiłek. Co się działo?

Była to ostatnia rzecz, jaką pomyślałem, albowiem mój nieznaczny ruch wywołał szybką, gwałtowną reakcję. Czyjaś ręka ponownie chwyciła mnie z tyłu za włosy, a wielka pięść trafiła w lewą skroń. W rozbłysku światła straciłem przytomność.

Gdy się ocknąłem, ktoś właśnie podnosił mnie z ziemi i pchał do tyłu. Zachwiałem się, straciłem równowagę i znów runąłem na posadzkę. Rozejrzałem się dokoła i przekonałem, że oprócz maga i zabójcy w sali nie było nikogo. Kobalosczy żołnierze odeszli. Zastanawiałem się, jakie zadanie im powierzono.

Lenklewth wciąż siedział za stołem. To Shaiksa podniósł mnie z ziemi, w dłoni trzymał sztylet o szerokim ostrzu.

Ogień na palenisku dogasał, w powietrzu czułem chłód. Mag i zabójca przebrali się w zbroje, ale ja do pasa byłem nagi – ktoś zdjął ze mnie kubrak i koszulę. W chwilę później zrozumiałem dlaczego.

Zanim zdążyłem zareagować, zabójca wystąpił naprzód i czub-

kiem sztyletu ciął mnie przez pierś.

Poczułem ostry ból, palący niczym ogień. Jęknąłem mimo woli. Potem zerknąłem na ranę i przekonałem się, że jest bardzo płytka – na skórze pozostała tylko cienka linia małych, czerwonych kropelek.

Zanim zdążyłem się cofnąć, Shaiksa ciął ponownie, tym razem z prawej w lewo, znowu z ukosa. Ból zdawał się nieproporcjonalnie wielki, aż zachwiałem się, po czym runąłem w tył. Postanowiłem jednak nie dawać po sobie znać, jak bardzo cierpię. Nie zamierzałem płakać – choć nie zdołałem powstrzymać głuchego jęku, a do oczu napłynęły mi łzy.

Shaiksa przyjrzał mi się z zadowoleniem, szykując nóż do kolejnego ciosu.

– Klingę pokryto trucizną, wywołującą ogromny ból. Już teraz w oczach masz łzy. Wkrótce zaczniesz krzyczeć i błagać!

Spróbowałem przywołać jeden z darów odziedziczonych po matce. Jeśli spowolnię czas i go zatrzymam, może zdołam przechwycić Gwiazdną Klingę.

Nic się jednak nie wydarzyło. Ból był tak przejmujący, że nie mogłem się skoncentrować. W żaden sposób nie umiałem skupić myśli.

Rozglądając się po piwnicy, odkryłem, że drzwi w przeciwległej ścianie zostały uchylone. Czy mógłbym do nich dotrzeć i uciec? Shaiksa zagrażał mi drogę, wiedziałem, że nie zdołam go wyminać.

I wtedy owładnął mną instynkt. Zrozumiałem, że mam tylko jedną szansę. Kiedy więc znów zaatakował, zerwałem się i pobiegłem.

Pędziłem wprost ku Gwiazdnej Klindze, nadal leżała na stole przed Lenklewthem. Wysoki mag zobaczył mnie, ale nawet nie drgnął. Przez chwilę wierzyłem, że zdołam go zaskoczyć, i poczułem nagłą nadzieję. Niemal sięgałem już miecza, gdy potężny cios posłał mnie na ziemię. Przeturlałem się kilka razy, oddalając od stołu.

Lenklewth mnie nie tknął, jedynie poraził magią. Dźwignąłem się na kolana, nim jednak zdążyłem wstać, Shaiksa chlasnął mnie przez plecy. Tym razem mimo wysiłku odpowiedziałem bolesnym krzykiem.

Usłyszałem, jak Lenklewth zanosi się śmiechem. Zaczął bębnić pięściami o stół, niczym wcześniej żołnierze. Próbowałem nie zważać na fale bólu i podniosłem się chwiejnie. Zabójca zbliżył się szybko, ja jednak uskokczyłem. Chybił i stracił równowagę. Wiedziałem, że muszę wykorzystać okazję, i rąbnąłem go mocno w lewą skroń.

Niewiele to dało. Potrząsnął głową jak wylażący z wody pies, a potem wyprostował się. Jego okrutne oczy przyglądały mi się niczym ślepią drapieżcy dręczącego zdobywcę.

– Dotąd ciąłem bardzo płytko – rzekł miękko. – Teraz jednak rany będą głębsze. Zacznę odcinać ci kawałki ciała.

Cofnąłem się z gardłem ściśniętym lękiem. Był zabójcą, wyszkolonym w zabijaniu. Półnagi i nieuzbrojony, pozostawałem całkowicie odsłonięty na jego ciosy. Rozejrzałem się w poszukiwaniu jakiegokolwiek broni. Kilka sztuk wisiało na ścianie, ale za plecami maga.

Nie dostrzegłem niczego, nawet iskry nadziei.

W piwnicy robiło się coraz zimniej. Czyżby Golgoth przywołał swą moc, przyjmując ofiarę z mojego życia?

I wtedy nagle usłyszałem dziwny dźwięk: brzęk stali. Obejrzałem się, zaskoczony.

Shaiksa upuścił sztylet na kamienną posadzkę. Wpatrywał się we mnie ze zdumioną miną, po jego zbroi spływała strużka krwi. I wtedy ujrzałem niewielki nóż, wbity w jego gardło. Rękojeść miał jaskrawozieloną, lśnił niczym rosa na trawie o świcie. Gdy tak patrzyłem oszołomiony, strużka zamieniła się w strumień bryzgający na ziemię. Zabójca runął na kolana i zaczął się dusić.

Kątem oka dostrzegłem jakiś ruch. To nawet nie był cień, jedynie delikatne mgnienie światła. W następnej chwili jednak ktoś pojawił się przy stole, zasłaniając Lenklewth. I gdy tak patrzyłem na zjawę, ta obróciła się szybko.

To była dziewczyna. Włosy miała spięte na czubku głowy, fryzura podkreślała jeszcze wydatne kości policzkowe. Opadająca do kostek sukienka mieniła się ciemną zielenią grudniowego ostrokrzewu.

Dziewczyna trzymała w dłoni Gwiazdną Klingę.

Tą dziewczyną była Alice.

ROZDZIAŁ

16



MOŻLIWOŚCI SĄ DWIE

THOMAS WARD

Alice! – wykrzyknąłem zdumiony.

Nie odpowiedziała; zamiast tego rzuciła mi Gwiazdną Klingę, a ja chwyciłem ją za rękojeść. Gdy tylko poczułem w dłoni miecz, Alice zniknęła.

Nawet nie zastanowiłem się, skąd nagle wzięła się tu, jakby znikąd. Liczyło się tylko, że znów trzymam miecz i że mroczna magia Lenklewtha nie może mnie zranić. Musiałem skupić się na tym co najważniejsze.

Nie tracąc czasu, ruszyłem w stronę maga. W tym momencie ogień na kominku ożył nagle, płomienie zaczęły lizać macki posążka Golgotha.

Mag zerwał się na równe nogi, wywracając krzesło, i zaczął czynić w powietrzu nad głową skomplikowane gesty, jednocześnie mamrocząc zaklęcie. W jego oczach ujrzałem nowy wyraz – gniew z powodu własnej bezsilności i tego, że nie mógł mnie zniszczyć czarami.

Biegłem ku niemu, świadom, że muszę skończyć z nim szybko, póki wciąż mam choć trochę sił do walki.

Mag umknął pod przeciwległą ścianę; tym razem zerwał z niej oburącz wielki miecz i ruszył mi na spotkanie. Ciął poziomo tak jak wcześniej toporem, kiedy to wytrącił mi broń. Ja jednak uniosłem Gwiazdną Klingę, blokując jego atak. Ostrze uderzyło o ostrze. Tym razem mocno trzymałem rękojeść i to dodawało mi otuchy.

A potem, gdy Lenklewth znów uniósł miecz, wykonałem dwa szybkie pchnięcia: jedno skierowane w gardło, drugie wysoko w lewe ramię. Zbroja zamortyzowała oba ciosy, ale sama ich siła wystarczyła, by mag zachwiał się i poleciał do tyłu. Na chwilę zapomniałem o zmęczeniu – skoczyłem za nim, tak jak uczyła mnie Grimalkin, wirując i tańcząc, by uniknąć jego reakcji.

I znów miecz obił się o zbroję maga, ja jednak cały czas napierałem na niego, choć czułem, że oddycham coraz szybciej, a ręce i nogi zaczynają mi ciążyć.

Nagle usłyszałem syk – to kończyny lodowego posążka topiły się i ściekały wprost w płomienie.

Zrozumiałem, że muszę znaleźć szczelinę w zbroi Lenklewtha albo celować w jego głowę. W dodatku należało załatwić to szybko, nim zanadto osłabnę.

Szykując się do ciosu, usłyszałem tupot ciężkich buciorów na schodach wiodących do piwnicy. Serce ścisnęło mi się boleśnie – uznałem, że to kobalocy wojownicy biegną z pomocą magowi. Nagle jednak ujrzałem na jego twarzy grymas rozpaczony. To byli ludzie odziani w niebieskie polyznańskie tuniki pod metalowymi napierśnikami – pół tuzina żołnierzy zbryzganych krwią po bitwie!

Na chwilę przepełniło mnie poczucie triumfu – a potem mag zniknął.

Z początku, ponieważ ludzie ci znali wyłącznie lostę, nie wiedziałem, jak wygląda sytuacja na zewnątrz. Równie dobrze do piwnicy mogli zbliżać się nieprzyjaciele. Musieliśmy działać szybko: znaleźć Grimalkin i wydostać się z wieży.

Wskazałem zatem w górę, krzycząc:

– Poska! – Co oznaczało „za mną!” – jedno z nielicznych znanych mi słów w loście.

Pobiegłem po schodach, sprawdzając po drodze wszystkie cele więzienne. Żołnierze pędzili tuż za mną. Pokazując palcem pierwsze puste pomieszczenie, rzuciłem:

– Grimalkin? – W nadziei, że zrozumieją.

Następnych pięć także było pustych, dopiero w szóstej przez kratę ujrzałem na podłodze ciało, oświetlone powieszoną na ścianie świecą. Przypominało wiedźmę zabójczynię.

Drzwi były zaryglowane i zamknięte na klucz. Odciągnąłem

sztabę, potem niecierpliwym gestem wskazałem zamek. Dwaj żołnierze natychmiast odbiegli, ale minęło dobrych dziesięć minut, zanim znaleźli klucz.

Grimalkin leżała związana ciasno szpagatem, do ust wepchnięto jej knebel i okręcono pasem tkaniny. Gołe ręce miała paskudnie pokaleczone. Była jednak przytomna, a jej oczy płonęły gniewnym blaskiem.

Błyskawicznie uwolniliśmy ją z więzów. Gdy tylko wyjąłem knebel, rozkasłała się, a potem zerwała z ziemi, wypytując żołnierzy w loście.

W końcu odwróciła się do mnie.

– Jest tu książę Stanisław z całym naszym kontyngentem – oznajmiła. – Otoczył kulad, a potem ruszył między drzewa. Kobalosi walczyli na śmierć, nie wzięto żadnych jeńców, teraz jednak mamy mało czasu. Wkrótce przybędzie cała armia wroga.

– Spytaj, czy Jenny jest bezpieczna! – zażądałem.

Grimalkin posłuchała; gdy jej odpowiedziano, skinęła głową.

– Bezpieczna, straż przednia nie brała udziału w tym starciu.

Wybiegliśmy z wieży. Schody piwnicy były śliskie od krwi martwych Kobalosów. Na zewnątrz walało się więcej trupów zabitych przez piechotę księcia Stanisława.

Ulżyło mi, gdy odetchnąłem chłodnym, nocnym powietrzem. Jeszcze niedawno nie wierzyłem, że opuszczę kulad żywy.

– Nie żyłbym już, gdyby nie Alice – poinformowałem Grimalkin. – Uratowała mnie.

– Alice tu była? – Moje słowa wyraźnie wstrząsnęły czarownicą.

– Tak, pojawiła się znikąd, rzuciła mi miecz i znów zniknęła.

– Później opowiedz mi całą historię. Najpierw musimy porozmawiać z księciem.

Kiedy Grimalkin rozmówiła się z władcą, razem weszliśmy między drzewa, tak by nikt nas nie słyszał. Opisałem jej dokładnie, co mnie spotkało. Wkrótce dotarliśmy do zwirowej ścieżki, wciąż parującej gorącym gejzerem skrytego głęboko pod ziemią. Kiedy ponownie zagłębiliśmy się między pnie, odkryłem, że

mimo mrozu na trawie nie ma ani śladu szronu.

Wreszcie powtórzyłem wiedzmi zabójczynie słowa kobaloskiego maga.

– Lenklewth twierdził, że potrafi wejrzeć daleko w przyszłość dzięki kobaloskiej metodzie znacznie przewyższającej postrzeganie. Zobaczył nasz plan, dostrzegł także machinacje Lukrasty. Zastawił pułapkę i zwabił nas w nią. Chciałbym jednak wiedzieć, dlaczego nie przewidział, jak źle się to dla niego skończy, że zostanie pokonany, że jego ludzie zginą...

– Nawet najlepsi z tych, którzy zagląдают w przyszłość, nie mogą przewidzieć wszystkiego, a zwłaszcza własnej śmierci. – Oddech Grimalkin parował w mroźnym powietrzu. – Ta ślepotą dotyka wszystkich wieszczów, tworząc mgłę, która zasnuwa powiązane z nią wydarzenia. Wiedział, że nasza armia wkrótce dotrze do kuladu, ale bez wątpienia sądził, że zdoła go obronić do czasu przybycia kobaloskich wojsk.

– Tak, chyba wyczuł zbliżający się atak – dodałem, przypominając sobie, jak mag nagle zerwał się z miejsca, a w sali zapadła cisza. – Wysłał swych żołnierzy do obrony twierdzy.

– I niewiele pomylił się w obliczeniach – uzupełniła Grimalkin. – Nieprzyjaciel dotrze tu jutro przed południem: armia wielokroć większa od naszej.

– Alice musiała obserwować nas za pomocą magii – zastanawiałem się głośno. – Inaczej skąd by wiedziała, że ma się wtrącić akurat w chwili, gdy groziła mi śmierć?

– Bez wątpienia tak właśnie było – odparła Grimalkin. – Najwyraźniej jeszcze lepiej panuje nad mroczną magią. Zastanawiam się jednak, czemu uznała za konieczne tak szybko zniknąć? Chciałabym z nią pomówić... – Westchnęła i obróciła się ku mnie. – Chodź, musimy raz jeszcze porozmawiać z księciem i przygotować się do nadchodzącej bitwy. Tym razem zostaw wszystko mnie.

– A co z Jenny? – spytałem. – Też muszę z nią pogadać.

– Najpierw księżę, potem Jenny – uparła się Grimalkin.

Razem weszliśmy do namiotu Stanisława. Wnętrze oświetlały grube woskowe świece w wysokich drewnianych lichtarzach; ich podstawy ozdobiono rzeźbionymi, kamiennymi, ludzkimi głowami, zapewne podobiznami poprzednich władców i bohaterów Po-

lyzni.

Oprócz niego w namiocie nie było innych książąt. Tylko Majchar, szambelan Stanisława, potężny i dumny mężczyzna, który na nasz widok się skrzywił. Wydawał się stale zachmurzony – czyżby opłakiwał śmierć towarzyszy? A może księcia Kajlara?

Książę Stanisław zwrócił się do nas w naszej mowie:

– Witajcie – rzekł. – Moi zwiadowcy mówią, że zbliża się armia wroga. Jest wiele razy liczniejsza od naszej. Ona ma kształt półksiężyca. Prawy narożnik odgradza nas od rzeki. My nie możemy zwyciężyć, ale za późno na odwrót.

Przytaknąłem.

– Tak, nie mamy wyboru. Musimy stanąć do walki.

Gestem wskazałem Grimalkin, która także zwróciła się do księcia w naszym języku.

– Możemy ocalić większość jazdy i może trzy czwarte piechoty – oznajmiła. – Ale musisz zrobić dokładnie to, co powiem. Nieprzyjaciel wkrótce nas okrąży, musimy przebić się przez jego linie i uciec za rzekę.

Książę zmarszczył brwi. Przez chwilę obawiałem się, że zaprotestuje. Dlaczego miałby słuchać jej rad po katastrofalnym ataku na kulad? Kosztował go życie wielu żołnierzy, a także księcia Kajlara.

Potem jednak jego twarz złagodniała. Książę znał prawdę o mnie i był człowiekiem przebiegłym. Mimo niedawnej klęski dostrzegwał niepospolity wojenny talent czarownicy.

– Jeżeli my przebijemy się i przeprawimy przez rzekę, co wtedy? – spytał ostro.

– Możliwości są dwie – rzekła. – Być może ruszą za nami przez rzekę i zaczną oblegać twoje miasta. Myślę jednak, że bardziej prawdopodobna jest ta druga. Niepowodzenie planu Lenklewtha pewnie ich zaniepokoi. Sądzę, iż Kobalosi zechcą zgromadzić przed przeprawą jeszcze większe siły. Dopiero wówczas rozpoczną atak i nie zatrzymają się, póki nie podbiją całego świata.

– Ty wydajesz się pewna. – Książę spojrzał jej prosto w oczy.

– Bardzo. Jestem czarownicą, postrzegłam to. W tej chwili taki mają plan. Może jednak się on zmienić. Jeśli tak, zawiadomię cię.

Przytaknął.

– Co mamy zrobić?

– Trzy osiemnastofuntowe działa trzeba zestawić razem; mają być zwrócone na południe. Potrzebny mi oddział kawalerii, gotów walczyć na tyłach, co pozwoli uciec większości piechoty. Niestety, część z tych ludzi zginie.

– Ochotników będzie wielu – zapewnił ksiązę. – Moi ludzie są dzielni. Ja wybiorę najlepszych.

Grimalkin od początku to właśnie planowała: przebić się przez linię wroga i uciec za rzekę.

Nie zdołała jednak zdobyć informacji na temat kobaloskiej magii. Wielu ludzi zginęło, zginie jeszcze więcej. A wszystko to na nic.

Wciąż czułem ból w ranach zadanych przez Shaiknę, ale nie tak ostry jak ten w sercu. Widok Alice przywołał złożone uczucia, jakimi ją darzyłem: miłość i bliskość przyjaźni, skażone zdradą.

ROZDZIAŁ

17



ZJEMNA WJEDŹMA

THOMAS WARD

Do świtu pozostała niecała godzina. Niebo na wschodzie zaczęło już jaśnieć. Wierciłem się niespokojnie.

Po tym, jak Grimalkin opatrzyła mi rany, zamieniłem kilka słów z Jenny. Zaczynała się już uspokajać po tym, co przeszła. Zamierzałem porozmawiać z nią jeszcze później, ale na razie bardzo potrzebowałem chwili samotności, by wszystko przemyśleć i spróbować dojść do ładu z tym, co czuję do Alice.

Ostatnie wydarzenia odcisnęły na mnie swoje piętno. Bałem się śmierci bardziej niż kiedykolwiek, towarzyszący jej ból odebrał mi część odwagi.

Spacerowałem wśród drzew, okrążając kulad i zastanawiając się, czy ktokolwiek z nas przeżyje najbliższą bitwę.

I wtedy usłyszałem słaby dźwięk: dobiegającą z daleka, niesioną z wiatrem muzykę. Z początku sądziłem, że to ludzki głos. Zatrzymałem się, wytyżając słuch. Liście w górze szeleściły w powiewach wiatru i na chwilę zagłuszyły melodię. Zaczynałem już sądzić, że ją sobie wyobraziłem, gdy powróciła, głośniej niż wcześniej. Nie, to nie był śpiew, lecz jakiś instrument.

Brzmiał jakby znajomo. Kto mógł na nim grać?

I w końcu przypomniałem sobie: to była fletnia Pana, Starego Boga natury i samego życia.

Dwa lata wcześniej spotkałem go w Irlandii. Ktoś, kto raz usłyszał tę czarującą muzykę, nigdy już jej nie zapomniał. Ale skąd Pan wziął się tutaj?

Próbowałem ustalić źródło dźwięku i nagle pojąłem, że dobiega z kuladu. Ruszyłem wprost ku niemu, z początku powoli, jakby we śnie. Potem poczułem, że muszę biec. Ktoś przywoływał mnie magicznie, a Gwiezdna Klinga wisząca u boku nie zdołała odeprzeć mocy owego zaklęcia.

Mogły istnieć po temu dwa powody: albo wzywający nie zamierzał mnie skrzywdzić, albo też zaklęcie było za silne nawet dla miecza. W Irlandii zło porwało Alice w Mrok, ale Pan zwrócił nam ją. Raz już nam pomógł. Jeśli to faktycznie on, byłem pewien, że nie ma złych zamiarów.

Gdy tak biegłem, uniosłem wzrok, przyglądając się wyrastającej w górę wieży. Spowijała ją ciemność, prócz najwyższego okna, komnaty Lenklewtha; w oknie migotało światło.

Przemknąłem mostem zwodzonym, potem pod bramą i dalej ku wieży. Drzwi strzegło dwóch wartowników. Zastanawiałem się, czy słyszą muzykę... może była przeznaczona tylko dla mnie? Pozdrowiłem ich skinieniem i wszedłem do środka. Wspinając się po schodach, zauważyłem, że trupy uprzątnięto i gdzieś pochowano, ale na ścianach i posadzkach pozostały plamy krwi. Muzyka rozbrzmiewała coraz głośniejsze, coraz bardziej nagłąco, wabiąc mnie w górę.

Puściłem się biegiem i w końcu dotarłem do zewnętrznych drzwi komnaty maga. Woda w wielkiej wannie wciąż parowała, zerknąłem na nią czujnie. Skelty zniknęły wraz z Lenklewthem – a co jednak, jeśli wróciły i znów się tam czają? Kładką do drzwi wewnętrznych przeszedłem przez białą mgłę, przekroczyłem próg, oczekując, że zobaczę Pana.

Nie było go tam, ujrzałem natomiast Alice.

Gdy zobaczyłem ją po raz pierwszy, miała na sobie obszarpaną czarną sukienkę, przewiazaną w pasie kawałkiem sznurka. Niedawno, gdy mnie opuściła i odeszła z Lukrastą, przywdziała sukienię z ciemnego jedwabiu i elegancki, czarny płaszcz oblamowany futrem. Teraz nosiła ten sam strój, w którym ujrzałem ją, gdy ocaliła mi życie: długą zieloną sukienkę. Paznokcie także pomalowała na zielono, na ramiona zarzuciła krótką, obszytą futrem kurtkę barwy kory. Do pasa przypięła dwa niewielkie sztylety, każdy z zieloną rękojeścią, identyczne jak ten, który wbił się w gardło Shaiksy.

Jedna rzecz nie zmieniła się od naszego pierwszego spotkania, na ścieżce wiodącej w górę z Chipenden do domu stracharza: Alice nadal nosiła szpiczaste trzewiki.

Przypomniałem sobie ostrzeżenie mego mistrza, Johna Gregory'ego, z samego początku mego terminu: *Uważaj na wiejskie dziewczęta. Zwłaszcza te w szpiczastych trzewikach.*

Dobra to była rada, ja jednak zlekceważyłem ją i związałem się z Alice. Jakaś część mnie żałowała, że w ogóle się poznaliśmy.

– Dobrze cię widzieć, Tomie – oznajmiła dziewczyna z lekkim uśmiechem.

Chciałem odpowiedzieć czymś złośliwym bądź ironicznym, ale ugryzłem się tylko w język, usiłując opanować gniew. Tyle że uczucia okazały się zbyt silne i zamiast podziękować Alice za ocalenie życia, nie zdołałem powstrzymać pełnych goryczy słów.

– A gdzież się podziewa twój przyjaciel Lukrasta?

Uśmiech zniknął z twarzy Alice, zastąpiony grymasem gniewu. Potem i on ustąpił miejsca smutkowi.

– Lukrasta nie żyje. Zabili go Kobalosi. Wszystko poszło okropnie nie tak. Próbowaliśmy przeniknąć do miasta i odkryć sekrety ich magii, ale popełniliśmy ten sam błąd co Grimalkin. Nie doceniliśmy ich. Czekali na nas. Ledwie udało mi się uciec.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy Alice mówi prawdę. Ale wyraz jej twarzy wystarczył mi, by chwilowe zwątpienie minęło.

Wstrząsnęła mną wiadomość o śmierci Lukrasty, w głowie zawirowały mi uczucia i myśli. Najpierw poczułem przebłysk nadziei: skoro nie żył, może znowu zejdziemy się z Alice? Natychmiast jednak myśl tę zagłuszył nowy gniew, gdy pojąłem, że przybyła tu tylko dlatego, że Lukrasta zginął.

– Teraz więc, gdy go straciłaś, wróciłaś do mnie...?

Alice powoli pokręciła głową.

– Wróciłam, żeby ci pomóc. Uratowałam ci życie, czyż nie? Przyszłam, żeby spróbować ocalić was wszystkich, Tomie. Bez mojej pomocy wielu z was zginie. Niemożliwe, abyście wszyscy uciekli. Grimalkin za bardzo wierzy w siebie, nie potrafi sobie wyobrazić klęski. Ale nawet ona nie zdoła osiągnąć pełnego zwycięstwa.

Zapadła cisza; przetrawiałem jej słowa. Nagle znów usłysza-

łem muzykę, zdawała się mnie otaczać.

– Ta muzyka... Czy to Pan? – spytałem.

Przytaknęła.

– Tak, Pan jest blisko. Złączy swe siły ze mną, by mnie wspomóc po utracie Lukrasty.

– Chcesz powiedzieć, że jest po naszej stronie?

– Stoi po stronie życia, Tomie, po stronie wszystkiego co zielone, po stronie wszystkiego, co wyrasta z ziemi. Starzy Bogowie decydują, kogo poprzeć. Wkrótce Talkus, bóg Kobalosów, zapamiętuje nad większością z nich. Pierwszym, który mu się pokłonił, był Golgoth, Władca Zimy. Ma wiele do zyskania na powiększeniu Valkarky i zejściu na południe lodów niosących ze sobą śnieżyce i wieczną zimę. Ale Pan nigdy się nie podda.

– Grimalkin mówiła, że Talkus i Golgoth są częścią mrocznej armii, która chce nas zniszczyć. Czy zatem Pan należy do naszej armii? Naprawdę wspiera ludzi?

– Pan pragnie zielonego świata kipiącego życiem. Będzie walczył u naszego boku, pomoże powstrzymać lody. Tak to się zaczęło, Tomie. Tak właśnie sprzymierzyłam się z Lukrastą.

– Co to znaczy, Alice? Co to miało wspólnego z Panem?

– Kiedy wybrałam się w Mrok, by zdobyć Brzeszczot Smutków, Pan rozgniewał się, że odważyłam się wtargnąć do jego krainy bez pozwolenia. Musiałam zapłacić cenę, inaczej by mnie nie wypuścił. Kazał mi przyrzec, że pomogę mu, jeśli tego zażąda. Nie miałam wyboru, prawda? Gdybym się nie zgodziła, pozostałabym uwięziona w Mroku na wieki. Więc powiedziałam „tak”. Wkrótce wyjaśnił mi, co muszę zrobić: złączyć swoje moce z mocami Lukrasty. Musiałam cię opuścić i walczyć z Kobalosami u boku maga. Nie można złamać słowa złożonego jednemu ze Starych Bogów. Opór nie ma sensu. A potem, gdy próbowałam odprawić rytuał Doomdryte, zjawił się Lukrasta i to był początek naszego przymierza.

Rytuał Doomdryte to czytanie z *grimoire'u* o tym samym tytule. Choćby najdrobniejszy błąd, źle wymówione słowo czy sekunda wahania oznaczały zniszczenie. Alice zaryzykowała, by zdobyć moc niezbędną do walki ze Złym. Księga należała jednak do Lukrasty. Powszechnie wierzono, iż Zły podyktował mu ją słowo po słowie. Gdy tylko Alice rozpoczęła rytuał, objawił jej się.

– Mówisz, jakbyś nie miała wyboru, Alice. Na pewno nie naginasz prawdy? Grimalkin tam była: twierdzi, że gdy tylko ujrzałaś maga, zmieniłaś się i chciałaś z nim być.

Chłodna relacja więdźmy z tego, co wydarzyło się pomiędzy Alice i Lukrastą, zraniła mnie bardziej, niż potrafiłem wyrazić.

– Po prostu pogodziłam się z nieuniknionym, Tomie. Skoro należałam do niego, mogłam się do niego zbliżyć. Dzięki temu miałam szansę ci pomóc. Ocalić cię.

Przypomniałem sobie Alice stojącą na balkonie wieży Lukrasty w Cymru. Wizja ich dwojga złączonych w pocałunku pojawiła się w mym umyśle tak wyraźnie i mocno, że przez moment jakbym cofnął się w czasie. Znów poczułem gniew i zazdrość. Odetchnąłem głęboko, usiłując stłumić emocje.

– Ale czy musiałaś go całować, Alice? Nie mogłaś po prostu z nim pracować? Musiałaś sypiać w jego łóżu?

– To był jedyny sposób. Lukrasta tego oczekiwał. Przywykł, że ludzie poddają się jego woli – ciągnęła Alice. – Kilka razy zdołałam ocalić ci życie, Tomie. Lukrasta chciał przywrócić moc Złemu, by stanął do walki z Kobalosami. Zrobiłby wszystko, byle to osiągnąć. Rozdeptałby cię jak mrówkę. Ale kiedy ktoś cię całuje i tuli, to go słuchasz, Tomie. Słuchasz kogoś, kto sypia w twoim łóżu, nie rozumiesz? Dlatego to zrobiłam. Lukrasta chciał iść ze mną do ogrodu stracharza, by wykraść głowę Złego. Nikt by tego nie przeżył: ani ty, ani John Gregory, nawet Grimalkin. Ale ponieważ byłam z nim blisko, zdołałam go przekonać, namówić, by pozwolił mi pójść samej. W ten sposób nikt zbytńio nie ucierpiał... Oprócz bogina: walczył tak zawzięcie, że musiałam skrzywdzić go mocniej, niżli chciałam.

– A ten list, który zostawiłaś mi w wieży? Pisałaś, że nie chcesz mnie więcej znać. Twierdziłaś, że przeszłaś na stronę Mroku. Czy to też była prawda? – spytałem z goryczą.

– Znamię na moim udzie zamieniło się w czarny księżyc w pełni. Nie da się tego cofnąć, czyż nie? Jak mówiłam, teraz należę do Mroku.

Gdy Alice była znacznie młodsza, znamię owo wyglądało jak wąski sierp księżyca. Walczyła z przyciąganiem Mroku, ale od czasu do czasu musiała posłużyć się mroczną magią, by ocalić nas oboje. I za każdym razem księżyc rósł. Pełnia oznaczała

ostateczną przemianę – teraz Alice przeszła na mroczną stronę.

– Ale mogło być znacznie gorzej – dodała.

Słyszając to, roześmiałem się donośnie, a mój głos zabrzmiał ostro, paskudnie.

– Co do diaska mogłoby być gorsze niż zostanie bezecną wiedźmą?

– Należę do najlepszej części Mroku. Do Pana. Nigdy nie chciałam zostać kościaną wiedźmą albo wiedźmą krwi, czy też hodować paskudnego pobratymca, ropuchy albo pająka, więc wszystko świetnie się złożyło. Stałam się kimś innym, kimś, kim nigdy nie została żadna z czarownic z Pendle. Jestem ziemną wiedźmą, służącą Panu. Moja magia pochodzi z gleby, z żywiołów, z samej Ziemi. Po prawdzie było mi to przeznaczone od urodzenia.

Patrzyłem na nią bez słowa. Serce ciążyło mi w piersi niczym bryła lodu, ale jakąś część mnie zafascynowała opowieść Alice. Z tego, co wiedziałem, stracharze nigdy nie słyszeli o ziemnych wiedźmach. Mój mistrz o nich nie wspominał, nie znalazłem też żadnej wzmianki w bibliotece. Była to zupełnie nowa odmiana czarownic.

Nagle znów zawrzał we mnie gniew. Zadałem więc kolejne pytanie:

– Gdyby Lukrasta wciąż żył, byłabyś z nim teraz?

– Przetkaj uszy, Tomie. Gdybyś mnie słuchał, znałbyś odpowiedź. Oczywiście, że bym z nim była. Spełniałabym wolę Pana. Ale teraz, gdy zginął, łącząca nas więź została zerwana.

– Tęsknisz za nim, Alice?

Przyglądała mi się długą chwilę.

– Nie można być z kimś tak blisko i nie tęsknić, gdy odejdzie. Dobrze mnie traktował. Nie był taki zły. Nikt z nas nie jest całkiem zły. Gdybym nie tęskniła, nie byłabym człowiekiem, prawda? Żal mi go. Zanim go zabili, zrobili mu straszne rzeczy, Tomie. Zaszyli mu usta, by nie mógł nucić zaklęć. Odrąbali dłonie, by nie mógł czynić magicznych gestów. Cierpiał katusze. A ja nie mogłam mu pomóc.

– Mnie też zrobiliście straszne rzeczy, Alice. Złączyłaś swą moc z Lukrastą, by pokonać ochronę Gwiezdnej Klingi, zgadłem? Razem zmusiliście mnie, żebym popełnił błąd, który doprowadził

do mej śmierci. To przecież prawda?

Alice zwiesiła głowę, niezdolna spojrzeć mi w oczy.

– To prawda – przyznała. – Przeżyłam wstrząs, kiedy Lukrasta wyjaśnił, co musimy zrobić. Upierałam się, że musi istnieć inny sposób. Ale go nie było. Choć zatem bardzo nie chciałam zadawać ci bólu, musiałam się zgodzić. Przyświecał nam ważny cel: musieliśmy wskrziesić cię z martwych, by dać tym ludziom nadzieję, żebyśmy wszyscy mogli przeżyć. Mimo bólu, jaki ci zadaliśmy, warto było. Zresztą twoja mama postąpiłaby tak samo! Zastanów się, Tomie. Złożyłaby mnie w ofierze, byle tylko zniszczyć Złego. Uczyniłaby to dla większego dobra. Nie mam racji?

Teraz to ja zwiesiłem głowę.

Rzeczywiście, mama stworzyła magiczny rytuał mający zniszczyć Złego. Mnie wyznaczyła rolę kata: miałem zabić Alice własnymi rękami. Ale nie poczułem się przez to ani trochę lepiej.

– Co to za skrzydlaty stwór, który objawił się magovia? – spytałem. – Ten, który z pozoru przywrócił mi życie? Nazywali go angelusem, to jakiś anioł?

– Nie, Tomie, to tulpa. Tak nazywamy magiczne myślostwory. Tworzy się je wyłącznie z pomocą wyobraźni. Z początku żyją w naszych głowach, ale z czasem można wypuszczać je na zewnątrz, by objawiły się w świecie rzeczywistym. Lukrasta nauczył mnie to robić. Posłuchaj, możemy dokładnie wszystko omówić, kiedy to się skończy. Teraz muszę znaleźć Grimalkin i pomóc jej ocalić, ile tylko można, z waszej armii.

Kiedy wyszliśmy razem z kuladu, ujrzałem zdumienie w oczach wartowników. Zaskoczył ich widok Alice. W milczeniu maszerowaliśmy w stronę obozu za drzewami, w końcu dotarliśmy do namiotu, który dzieliłem z Grimalkin i Jenny.

Słowa Alice wirowały mi w głowie. Wyjaśniła mi swoje zachowanie, ale nie poczułem się przez to lepiej.

Na horyzoncie chmury poróżniewały zapowiedzią świtu, lecz ziemię wciąż spowijał całun cieni. W namiocie migotała lampa. Uniosłem klapę i wszedłem do środka, Alice podążała za mną.

Jenny siedziała na kocu, krzyżując nogi, i pisała w notesie. Uniosła głowę i jej oczy rozszerzyły się na widok mojej towarzyszki.

– Jenny, to jest Alice. – Skinąłem głową.

Alice uśmiechnęła się, Jenny patrzyła bez słowa.

Grimalkin klęczała obok, ostrząc jeden z krótkich noży do rzu-
cania. Kiedy uniosła wzrok, uśmiechała się ciepło, nie okazując
zaskoczenia.

– Miałam nadzieję, że przybędziesz i złączysz z nami siły –
rzekła, wstając z ziemi i chowając klingę. – To wszystko zmie-
nia.

ROZDZIAŁ

18



PLANY GRJMALKIN

JENNY CALDER

Mam powyżej uszu tej ponurej północnej krainy. Nienawidzę bezkresnych lasów, pełnych wysokich świerków i sosen. O, jakże tęsknię za jaworami i dębami! Ziąb wniknął mi w kości i w ogóle nie mogę się ogrzać. Cały czas jestem przerażona: od rzeki oddziela nas olbrzymia armia. Jak możemy liczyć na to, że przebijemy się przez nią? Lękam się, że już nigdy nie ujrzę Hrabstwa.

Z tego, co mi wiadomo, Tom nawet nie upomniał Grimalkin za to, że mnie porwała. Po prostu się z tym pogodził. Rozmawialiśmy tylko krótko – spytał, jak się czuję, i nie miałam jeszcze okazji pogadać z nim dłużej na osobności. Liczę jednak, że nie zmienił zdania co do powrotu do domu. Jeśli rzecz jasna przeżyjemy jutrzejszy dzień!

Grimalkin nie wspomina o swoich dalekosiężnych planach, ale pozostaje optymistką. Nawet teraz analizuje wszystko, próbując znaleźć sposób pokonania Kobalosów. Zeszłej nocy zostawiła na widoku otwarty notes. Musiałam do niego zajrzeć, nie umiałam się powstrzymać.

Zamierza nauczyć piechotę nowych manewrów; taktyk, które poznała podczas podróży po obcych krainach. Zwiększy to szybkość jej marszu, zaatakowani wojownicy błyskawicznie przyjmą pozycje obronne, czasem formację kwadratu, czasem trójkątów bądź gwiazd. Czasami tysiąc mężów podzieli się na pięć kwadratów i łącząc tarcze, długie włócznie i łuki, pozostanie w miejscu,

odpierając jazdę wroga; potem szybko ruszą naprzód i przy kolejnym ataku utworzą trójkąt.

Brzmi to bardzo mętnie, ale wiedźma zabójczyni najwyraźniej wierzy, że da się to osiągnąć.

Zamierza zatrudnić dziesiątki kowali, by w umieszczonych w jamach formach odlać wielkie sztuki broni. Z początku sądziłam, że chodzi jej o kolejne osiemnastofuntowe działa, ale jej szkice sugerują coś zupełnie innego. Długie lufy zaprojektowanej przez Grimalkin broni są poskręcane, a zamiast kulami mają strzelać kawałkami metalu połączonymi łańcuchem. Niektóre z owych kawałków są okrągłe jak kulki armatnie, inne spiralne, trójkątne bądź cylindryczne, puste w środku.

Wiedźma naszkicowała także niewielkie powozy, które nazwała rydwanami. W niektórych do krawędzi kół doczepione są długie ostrza, inne mają płozy do jazdy po śniegu i lodzie. Nad nimi wznoszą się, niczym żagle, wielkie, zakrzywione ostrza – skrzydła anioła śmierci, które poszatkują każdego, kogo mijalby podobny rydwan.

Im dalej czytałam, tym bardziej fantastycznie wyglądały pomysły Grimalkin. Zamierzała wyprodukować muzyczne instrumenty dęte, które nazwała jozue. Zdawały się bardzo długie: każdy z nich musiał podtrzymywać co najmniej tuzin mężów. Nie wiem, jak taka muzyka miałaby zachęcić armię do boju. Osobiście uważam, że znacznie lepiej sprawdzają się w tej roli werble i trąbki stosowane w Hrabstwie. Umysł wiedźmy to prawdziwa tajemnica. Kto umiałby go zgłębić?

Jednak zapiski Grimalkin świadczyły o jednym: ona sama nie miała najmniejszego zamiaru wracać do Hrabstwa. Zostanie tu i będzie walczyć całą zimę. Mam tylko nadzieję, że nie przekabaci Toma i nie przekonają go, by także został.

Przed chwilą wydarzyło się jeszcze coś, co mocno mnie zaniepokoiło. Tom zjawił się w namiocie z czarownicą, Alice. Skąd się tu wzięła, nie mam pojęcia, ale wolałabym, by trzymała się z daleka. Zerknęła na mnie wyraźnie z nieprzyjazną miną, a potem oboje wdali się w długą rozmowę z Grimalkin. Udawałam, że czytam swoje zapiski, ale w rzeczywistości uważnie słuchałam wszystkiego, co mówili.

Alice poinformowała Grimalkin, że ludzki mag, Lukrasta, nie

żyje. Ciekawe, jak to wpłynie na przyszłość... Czy Tom ponownie zbliży się do Alice? Jeśli tak, nie wygląda to dla mnie dobrze. Ona mnie nie lubi – będzie chciała mieć Toma wyłącznie dla siebie. Dla mnie w Chipenden zabraknie miejsca. Z pewnością Alice zdoła przekonać Toma, by zakończył mój termin i mnie odesłał. Żałuję, że nie mogę zajrzeć jej do głowy i ocenić prawdziwych uczuć, ale to potężna wiedźma, jak Grimalkin, i nie potrafię tam przeniknąć.

Dziwne, że stracharz sprzymierza się z dwiema czarownicami. Przecież musi to sprzeciwiać się wszystkiemu, w co wierzy?

Ale jakie to ma znaczenie? Tylko niewielu z nas przeżyje to, co przyniesie najbliższy świt.

ROZDZIAŁ

19



OSTATNIA ZIMA

THOMAS WARD

Jeśli przybycie Alice z jej potężną magią dało mi nową nadzieję, o pierwszym brzasku znów odżył strach.

Po raz pierwszy ujrzałem w oddali stojącą naprzeciw nas ogromną armię Kobalosów. Sztandary wszystkich księstw łopotały na czele naszych nielicznych oddziałów, lecz armia kobalowska mieniła się proporcami i flagami, których nie dało się zliczyć. Najwięcej wśród nich było czerni i czerwieni, odcinających się ostro od białej, oszroniałej równiny i szarego, zapłakanego śniegiem nieba.

Przybyli, by nas pozabijać. Lenklewth uciekł, a oni z pewnością już wiedzieli, co spotkało Kobalosów z kuladu. Zechcą się zemścić.

Jednak nie tylko rozmiary armii odbierały nam wiarę. Nad kawalerią i piechotą widzieliśmy potężne istoty o wielu nogach, przypominające gigantyczne stonogi. Z otworów na ramionach wyrzucały strugi gorącego oddechu, nad ich głowami chmury ciemnej pary pulsowały na rześkim wietrze, niczym niskie chmury niosące burzę.

Grimalkin długą chwilę wpatrywała się uważnie w linię wroga. Potem spojrzała na mnie z posępną miną i spytała:

– Widzisz te ogromne stwory w dali? To w pełni dojrzałe varteki.

– Bez cienia wątpliwości – potwierdziła Alice. – A varteki są w bitwie mordercze. Lukrasta oceniał, że jeśli nie liczyć bogów, to

największe zagrożenie ze strony Kobalosów.

– Mamy działa – przypomniałem, wskazując gestem trzy wielkie armaty. Ustawiono je w szereg celujący na południe; puszkarze szykowali się do strzału. – Jeśli ci ludzie są równie zręczni jak nasi w Hrabstwie, mogą im bardzo zaszkodzić.

– Nawet varteki poczują ostrzał z osiemnastofuntowców! – przytaknęła Grimalkin.

– Ale nie zdołacie zabić ich wszystkich – zauważyła Alice. – Część przetrwa i wywoła chaos. Wkopią się w ziemię i zaatakują od dołu, prawda?

– Niektóre owszem. Musimy więc zabić tyle, ile tylko się da, a potem poruszać się szybko. Spróbujmy się przebić i ocalić jak największą część tej armii.

Grimalkin i Alice spojrzały po sobie, a potem bez słowa odeszły razem. Pograżyły się głęboko w dyskusji, która trwała niemal godzinę. Nie podobało mi się, że mnie z tego wyłączyły. Kiedy w przeszłości walczyliśmy z Mrokiem, wszelkie rozmowy prowadziłyśmy otwarcie, nikt się nie skradał, nie mieliśmy tajemnic. Teraz wyraźnie nie chciały, żebym o czymś wiedział. Jakimi sekretami się wymieniały?

Obecność Alice mocno mnie poruszyła. Byłem jej wdzięczny za ocalenie życia, ale wciąż czułem zazdrość na myśl o czasie, który spędziła z Lukrastą. Fizycznie czułem się znacznie lepiej, ale w moim umyśle panował zamęt. Wyraźnie straciłem część dawnej odwagi.

Obejrzałem się na Jenny. Stała przy koniu, klepiąc go po szyi. Była blada i sprawiała wrażenie wystraszonej. Podeszedłem ją pocieszyć.

– Nie martw się, Jenny – rzekłem. – Jeszcze godzina i znajdziemy się bezpiecznie za linią wroga, zmierzając ku rzece i schronieniu. Księżę wybrał dla ciebie wierzchowca. Możesz mu zaufać, to dobry koń, nie spłoszy się, wystarczy tylko, żebyś została w siodle. Będzie dobrze, obiecuję.

Jenny przytaknęła i zmusiła się do uśmiechu.

– Chciałabym być tak dzielna i pewna siebie jak Alice. Ona w ogóle nie boi się Grimalkin. Widzę teraz, dlaczego była kiedyś twoją najbliższą przyjaciółką. Czy znów się zaprzyjaźniliście?

– Niezupełnie – odparłem. – Ale to dobrze, że do nas dołączyła.

Może wiele zmienić.

– Chcesz powiedzieć: „dzięki swej magii”?

– Tak. Kobalosi mają potężnych magów, Alice pomoże nam zniwelować ich moc.

Jenny nie odpowiedziała.

Wróg zbliżał się powoli przez niemal godzinę, teraz jednak zatrzymał się, czekając w odległości niecałej mili od nas. Część armii jechała konno, większość poruszała się pieszo i przy potwornych, służących im stworach wydawała się dziwnie mała. Varteki przy każdym oddechu wypuszczały gorącą parę, tworzącą obłoki w zimnym powietrzu nad głowami.

Zapadła cisza, którą zakłócało tylko ciche rżenie koni bądź chrząkanie żołnierzy. Nasza armia była gotowa. Na czele ustawiły się szeregi odziane w niebieskie mundury z Polyzni.

Czy nieprzyjaciel szykował się do ataku? Po naradzie z księżciem Grimalkin postanowiła przejąć inicjatywę. Wyjaśniła dokładnie swój plan natarcia: rozpocznie się od wystrzału z działa.

Z daleka patrzyliśmy, jak puszkarze krzątają się przy pracy. Każdy ich ruch był spokojny, metodyczny i sprawny, tak jak u artylerzystów z Hrabstwa. Miałem wrażenie, że minęły wieki od czasu, gdy przyglądałem się, jak próbowali przebić mury Wieży Malkinów.

Zabraliśmy nad rzekę osiemnastofuntowe działa, podobne do tych, z których korzystaliśmy w domu. Ale choć średnicę miały tę samą, lufy były znacznie dłuższe i ozdobione wyszczerzonymi twarzami i czaszkami. Teraz puszkarze unosili je za pomocą dźwigni i przekładni; wózki ustawili już wcześniej tak, by broń celowała w największą grupkę varteków.

Mimo mrozu artylerzyści pracowali w samych koszulach; zauważyłem, że ci w Hrabstwie robili tak samo. Pewnie nie chcieli ubrudzić sobie kurtek – w wojsku bardzo surowo przestrzegano wymogów schludności wyglądu i dotyczyło to żołnierzy wszystkich stopni. Tylko sierżant wciąż miał na sobie ciemnoniebieską kurtkę z Polyzni. Choć dowodził celowaniem, sam nie brudził rąk. Mimo że nieprzyjaciel w każdej chwili mógł przypuścić

atak, ci ludzie się nie spieszyli. Robili wszystko starannie i powoli – najważniejsze, by się udało.

Kule armatnie ułożono w długie rzędy pomiędzy działami. Przypomniałem sobie, że w Hrabstwie puszkarze zwykle składali z nich piramidki. Musiałem jednak przyznać, że Polyznianie organizację mieli znakomitą, do niczego nie mogłem mieć zastrzeżeń. Dostrzegłem duże pojemniki z wodą mające chłodzić lufy, bez tego rozgrzałyby się i eksplodowały, sypiąc odłamkami na wszystkie strony. Brezentowe worki z prochem trzymano z dala od wody.

Pierwszy strzał miał paść ze środkowego działa. Artylerzyści wysypali już proch, a potem ubili go długim prętem. Teraz jeden z nich dźwignął ciężką kulę, obejrzał, a potem, z aprobatą kiwając głową w stronę sierżanta, podniósł wyżej i wturlał gładko w głąb długiej lufy.

W końcu sierżant warknął rozkaz, zabrzmiało to jak okrzyk z placu musztry. A choć mówił w loście, założyłem, że znaczyło: „Ognia!”

Z tylnej części działa sterczał trzcinowy lont. Kolejny żołnierz podpalił go, po czym cofnął się kilka kroków, a wszyscy puszkarze zatykali dłońmi uszy. Choć staliśmy około stu jardów dalej, zrobiłem to samo – dobrze pamiętałem ogłuszający huk osiemnastofuntowca.

Wózek odskoczył o kilka kroków, gdy kula pomknęła w powietrzu w stronę potwornych varteków, na tył pierwszej linii wroga. Mimo zasłoniętych uszu nadal słyszałem potępieńczy skowyt jej przelotu.

Trafiła w ziemię trzydzieści kroków od nieprzyjaciela, wyrzucając w górę chmurę pyłu, po czym odbiła się dwa razy i wpadła na szereg czekających Kobalosów. Powietrze wypełniły odległe krzyki i jęki, linia jednak szybko zamknęła się, zapełniając lukę.

Nad środkowym działem wisiała chmura dymu. Puszkarze szybko przesunęli nieco wszystkie trzy lufy, usłyszałem szcęk i metaliczny zgrzyt dźwigni.

Niecałą minutę później trzy działa wystrzeliły jednocześnie do wtóru ogłuszającego grzmotu, po którym nastąpiło przeraźliwe wycie pocisków lecących na wroga. Tym razem trafiły w zamierzony cel.

Natychmiast pojąłem, że wróg mocno ucierpiał. Krzyki i ryki nie brzmiały ludzko. Przeraźliwe wrzaski rozdarły powietrze, płosząc nasze konie jeszcze bardziej niż huk armat.

Po minucie druga salwa trafiła w tę samą okolicę. Po trzeciej przestawiono działa: teraz celowały w pozostałe przy życiu varteki. Strzelały bez rozkazu, raz po raz trafiając w cel. Na twarzy sierżanta zauważyłem uśmiech uznania dla dobrze wykonanej roboty. W ten sposób zaczął się pierwszy etap bitwy, w której nasza armia zamierzała przełamać linię wielokrotnie liczniejszego wroga. Dotąd szło nieźle, wręcz dobrze.

Co do mojej roli w tym wszystkim, niewiele ode mnie wymagano. Miałem jedynie przeżyć i dotrzeć w bezpieczne miejsce. Kiedy nadejdzie czas, ruszę naprzód wraz z Grimalkin, księciem Stanisławem, Alice i Jenny, w otoczeniu i pod ochroną osobistej książęcej gwardii.

Nie pojmowałem, dlaczego Kobalosi jeszcze nie atakują. Trwanie w tym samym miejscu i przyjmowanie morderczego gradu kul wydało mi się obłędem, zwłaszcza że dysponowali tak ogromną armią. Rozumiałem, że zwykli żołnierze muszą na rozkaz wytrwać pod morderczym ostrzałem, by dowieść swej dyscypliny bądź odwagi. Ale nasi celowali w varteki, szybko pozbawiając wroga najpotężniejszej broni. Czy oni także mieli coś, co zabija z daleka, czy może posłużą się mroczną magią?

Zastanawiałem się, jaką rolę w bitwie ma odegrać Alice. Gdy Grimalkin ją ujrzała, wykrzyknęła: „To wszystko zmienia!”. Czy zatem Alice posłuży się swą potężną mocą, by wspomóc naszą sprawę? Na razie stała jedynie obok więdźmy zabójczyni, wpatrując się w Kobalosów.

Poklepałem Jenny po ramieniu, po czym podszedłem do Alice.

– Czy użyjesz swojej magii przeciw Kobalosom? – spytałem. – Będziemy jej potrzebować.

Przytaknęła.

– Jeszcze nie teraz, ale nadejdzie chwila, gdy będę mogła coś zmienić. Wtedy to zrobię, Tomie. Mam ograniczony zapas sił, nie chcę go zmarnować.

Nagle ciemna kula runęła z powietrza w stronę puszkarzy i rozbryznięła się po środkowej armacie – żółtawo-brązowa maź z pasmami bieli, niczym odchody olbrzymiego ptaka. Uniosłem

wzrok akurat w chwili, gdy od strony Kobalosów szerokim łukiem nadlatywała kolejna. Ta trafiła w działo po lewej. Uświadomiłem sobie, że celują niezwykle dokładnie.

– Pewnie używają wielkich katapult – wyjaśniła Grimalkin. – Są równie celne jak nasze armaty. Wkrótce przekonamy się, jak skutecznie zadziałają ich pociski.

Na moich oczach lufa środkowego działa zaczęła parować. Usłyszałem syk – powierzchnia metalu bulgotała i bryzgała. Dostrzegłszy zagrożenie, dwaj artylerzyści rzucili się w stronę jednego z pojemników z wodą. Zamierzali spróbować zmyć żrącą substancję, ale spóźnili się.

Nagle cała lufa zaczęła się skręcać i odkształcać. Żołnierze odskoczyli, bo wokół wystrzeliły krople roztopionego metalu.

Trzeci pocisk chybił celu o kilka stóp, lądując na ziemi w pobliżu sierżanta i dwóch puszkarzy i obryzgując ich żółtobrazowymi kroplami.

Zareagowali natychmiast: zaczęli biegać w kółko, tłukąc się po twarzach i głowach dłońmi. Wrzeszczeli przy tym w męczarniach.

Zadrzałem ze zgrozy, widząc, jak niebieska kurta sierżanta dymi i czernieje, jakby pochłaniały ją niewidoczne płomienie. Skórę na jego twarzy i rękach zaczęły rozsadzać bąble, a po chwili odpadała już długimi pasami.

Z drugą armatą działo się to samo, co z pierwszą: lufa odkształciła się, nie nadawała się już do użytku. W sekundę później następny pocisk uciszył trzecie działo.

Niezależnie od metody, której użyto do wystrzelenia owych śmiertelnych kul, ich celność co najmniej dorównywała naszej. Uniosłem z lękiem wzrok, ale niczego nie widziałam. Kobalosi jedynie wyeliminowali zagrożenie ze strony armat.

Wokół zapadła cisza. Przez moment sądziłem już, że przeciwnik przywołał mroczną magię. Cisza rosła, gęstniała, a potem nagle zerwał się mroźny wiatr, wiejąc ku nam od strony zmasowanych szeregów nieprzyjaciół. Ze złowieszczego szarego nieba posypały się płatki śniegu.

I nagle w mojej głowie pojawiła się straszna myśl. Być może wkrótce zginiemy, zabici w pierwszej wielkiej bitwie między ludźmi a Kobalosami. Valkarky rozrośnie się, niosąc ze sobą lód i

śnieg i na zawsze pokrywając to, co kiedyś było zielone.

Czy to przypadek, że śnieg rozpadał się wraz z początkiem walki? Czy może Golgoth atakował nas swym zimnem? Czy to mógł być pierwszy śnieg ostatniej zimy, tej, która nigdy się nie skończy?

ROZDZIAŁ

20



MIEJSCE POMIĘDZY ŚWIATAMI

THOMAS WARD

Zapatrzonego w padający śnieg, nie zauważyłem czegoś jeszcze... Kiedy znów zerknąłem przed siebie, linia nieprzyjaciela zmieniła się, środkowa część zdawała się pęcznić i wybrzuszać ku przodowi. Potem usłyszałem odległy tętent kopyt i serce ścisnęło mi się gwałtownie. Pędziła na nas kobaloska kawaleria!

W odpowiedzi gdzieś obok księcia Stanisława odezwała się trąbka i nasi łucznicy pobiegli naprzód, w miejsce pomiędzy zniszczonymi działami a nadciągającym wrogiem.

To także stanowiło część przygotowanego przez Grimalkin planu. Pierwotnie zamierzała posłać tam łuczników wcześniej, by chronili działa i nie pozwolili wrogowi ich przejąć. Teraz armaty zostały zniszczone i łucznikom pozostało tylko zatrzymać jeźdźców.

Dwa tysiące zbrojnych szybko zajęło pozycje, tworząc dwa szeregi naprzeciw kawalerii wroga. Wystarczyło kilka sekund, by z kołczanów na plecach wyjęli strzały, naciągnęli cięciwy, wycelowali łuki i usłyszawszy rozkaz, wystrzelili.

Strzały pomknęły długim, opadającym łukiem, niczym stado drapieżnych ptaków, których ostre dzioby szukają ciała nieprzyjaciela. Trajektoria wyglądała idealnie. Postanowiłem ocenić rezultaty.

Śnieg gęstniał, z trudem cokolwiek widziałam, ale wyglądało na to, że nieprzyjaciołom nic się nie stało. Już w kuladzie zauważyłem zbroję noszoną przez Lenklewtha; jego wojownicy dyspo-

nowali równie skuteczną ochroną. Płyty nachodziły na siebie, pozostawiając niewiele szczelin, w które mogła wbić się strzała. Hełm dobrze chronił głowę; jedynie wąski okular i miejsce, gdzie łączył się z szyją, pozostawały odsłonięte. Mało prawdopodobne, by pociski wyrządziły poważniejsze szkody.

Pierwsza salwa jedynie pozwoliła łucznikom pozbyć się napięcia, rozgrzać mięśnie i rozruszać sztywne palce. Dopiero teraz naprawdę wzięli się do rzeczy. Grimalkin jasno wyjaśniła, co nastąpi dalej: nie zastosują ponownie tej samej taktyki.

Czekali, pozwalając, aż konni się zbliżą. Dwa szeregi łuczników były względem siebie nieco przesunięte, co pozwalało tym z tyłu strzelać pomiędzy stojącymi z przodu. Jednocześnie napięli łuki, tym razem nie celując wysoko w górę, lecz wprost przed siebie.

Pierwsza linia kobaloskiej jazdy znajdowała się w tym momencie niecałe sto jardów od nich, lecz łucznicy wciąż nie strzelali. Słyszałem łoskot kopyt, widziałem pełne ognia oczy wrogów, lśniąca w wąskich szczelinach w ich hełmach. Moja dłoń zacisnęła się na rękojeści Gwiazdnej Klingi, wciąż tkwiącej w pochwie. Jeśli łucznicy ich nie powstrzymają, Kobalosi za parę sekund znajdą się wśród nas.

Kiedy jazda miała do pokonania niecałe pięćdziesiąt jardów, w końcu brzęknęły cięciwy.

Polyznia dysponuje świetnymi kowalami, umiejącymi wykuwać pierwszorzędną broń. Z bliska strzały o stalowych grotach przebijały metal, ciało i kości. Konie padały z jękiem, kobalosc wojownicy lecieli naprzód, wielu zginęło, nim jeszcze dotknęli ziemi. Ci za nimi nie mogli zatrzymać się na czas i wpadli na powalonych towarzyszy, po czym pokoziołkowali w płataninie kończyn, żywi spleceni z umarłymi.

Teraz jazda skręcała ostro, próbując znaleźć przejście między stosami ciał. Łucznicy znów wystrzelili, kolejni Kobalosi runęli z siodeł i dołączyli do tych na ziemi.

Raz po raz chmary śmiercionośnych strzał trafiały w wyznaczone cele, aż w końcu nie było kogo atakować. Ani jeden z Kobalosów się nie wycofał: gotowi byli walczyć na śmierć i życie, nie dbając o własne przetrwanie. To czyniło z nich niezwykle niebezpieczną rasę.

W dali linia wroga sprawiała wrażenie niezmienionej. Choć stracili niemal brygadę kawalerii, bez wątpienia mieli w rezerwie wiele podobnych.

Łucznicy jednakże, zamiast czekać na następny atak, wycofali się, wezwani sygnałem trąbki. Gdy dołączyli do nas, mroźne powietrze przeszła kolejna wysoka nuta. W odpowiedzi największy oddział naszej jazdy ruszył naprzód, formując dwie długie kolumny, które miały połączyć się za powalonymi Kobalosami.

Była to elita w niebieskich kurtkach, lansjerzy z Polyzni, odziani w lśniące skóry, na których błyskały sprzączki. Nie nosili hełmów, każdy jasnowłosy jeździec dzierżył na prawym ramieniu długą lancę. Wierzchowce, idealnie wyszczotkowane i przybrane, wyglądały, jakby miały wziąć udział w defiladzie, nie w walce, ale od ich jeźdźców biły pewność siebie i determinacja.

Kiedy zajęli pozycje, znów usłyszałem trąbkę – rozkaz do ataku.

Do wtóru grzmotu kopyt pogalopowali w wirze opadających z nieba płatków, kierując się wprost ku liniom Kobalosów.

Widok owej szarzy mnie zachwycił, przeppełnił nadzieją, miarkowaną jednak lękiem i obawami. Nadeszła chwila prawdy, bo rozpoczęcie ataku stanowiło sygnał dla nas wszystkich.

Plan zakładał, że lansjerzy wybiją lukę w szeregach nieprzyjaciela, torując nam drogę; my podążymy za nimi najszybciej, jak się da. Każdy z pozostałych konnych posadzi na swego wierzchowca żołnierza piechoty, reszta będzie musiała biec i przebijać się na własną rękę, choć część lansjerów zaoferowała, że zapewni im ochronę.

Gwardziści dobyli mieczy i utworzyli krąg wokół nas. Grimalkin wskoczyła już na konia, ja wgramoliłem się na mojego, posyłając Jenny zachęcający uśmiech, gdy uczyniła to samo. Zauważyłem, że Alice wciąż stoi; wpatrywała się z napięciem w odległych lansjerów, zbliżających się do wroga.

Minę miała niezwykle poważną, marszczyła nieco czoło. Wciąż wyglądała jak śliczna, młoda dziewczyna, ale dostrzegłem w niej coś jeszcze: dojrzałą kobietę, którą pewnego dnia się stanie. Widziałem jej zdecydowanie, siłę woli nieznoszącą żadnego sprzeciwu.

Zakładałem, że Alice dosiędzie wierzchowca Grimalkin, ku

memu zdumieniu podeszła jednak do mojego i usadowiła się na moim siodle, obejmując mnie mocno w pasie od tyłu. Zaskoczony obejrzałem się przez ramię, ale gwardia ruszyła już naprzód i nie zdążyłem nawet się odezwać.

Rozpędzaliśmy się powoli: najpierw stępa, potem kłusem. Zmierzaliśmy wprost na wroga, podążając szlakiem lansjerów. Wyczułem, że gdzieś po lewej jeden z koni runął wraz z jeźdźcem na ziemię; nie miałem pojęcia, czy trafiła ich strzała, czy może wierzchowiec się potknął. Skutki były takie same, obaj zginęli stratowani. Najważniejsze to utrzymać się w siodle i nie odłączać od pozostałych.

Śnieg padał bardzo gęsto; choć słyszałem kilka słabych krzyków i wrzasków, wszystko zdawało się nieco stłumione i odległe. Szlak przed nami wydawał się pusty, ale gdzieś dalej po prawej toczyła się walka – słyszałem brzęk mieczy ludzi ścierających się z Kobalosami. Książę Stanisław galopował przed nami, wciąż pozostawaliśmy w ochronnym kręgu jego gwardii. Obejrzałem się na Jenny, ale jej nie ujrzałem. Wiedziałem, że póki nie spadnie z konia, nic nie powinno jej się stać.

W oddali po lewej dostrzegłem potwornego varteka. Górował nad polem bitwy, trzy wielkie macki zwijały się i falowały, niczym szarpane huraganem gałęzie olbrzymiego drzewa. Potem jednak śnieg zgęstniał i przesłonił wszystko.

Wokół nas szalała śnieżycą – ledwie widziałem pędzącego przede mną konia. Miałem wrażenie, że nie jedziemy, tylko płyniemy w powietrzu. Śnieg nie sypał już prosto w twarz, rozstępował się niczym zasłona, zanim dotknął mej skóry. Nie słyszałem niczego prócz własnego oddechu.

Nagle poczułem się dziwnie, zakręciło mi się w głowie i z przerażeniem pomyślałem, że zaraz spadnę z siodła. Alice jeszcze mocniej objęła mnie w pasie. W moim brzuchu wezbrała fala mdłości... a potem wszystko się zmieniło.

Nagle zniknął śnieg i walczący; nie było nikogo prócz Alice i mnie spoglądających na rozległą, szarą, piaszczystą równinę. Mój wierzchowiec zatrzymał się, czułem, jak dygocze pod nami. Niebo w górze miało tę samą barwę co piasek, nie dostrzegłem też chmur, słońca, gwiazd, jedynie światło, takie jak to o zmierzchu w Hrabstwie. Ze wszystkich stron horyzont zasnuwała odle-

gła biała mgiełka.

Pojałem, iż Alice posłużyła się magią, by przenieść nas w to osobliwe miejsce. Ja jednak musiałem wrócić na pole bitwy; chciałem dopilnować, by Jenny wraz z innymi dotarła bezpiecznie na drugi brzeg.

– Gdzie my jesteśmy, Alice? – spytałem gniewnie. – Czy to Mrok?

– Nie, Tomie, to miejsce pomiędzy światami – odparła. – Stąd możemy w mgnieniu oka znaleźć się w Chipenden albo z wielkim trudem i mozołem odnaleźć drogę do serca Valkarky. Lecz kobalosczy magowie też z niego korzystają.

– Nie chciałem się tu przenieść, Alice, moje miejsce jest z innymi!

– Dlatego właśnie tu przybyliśmy. Bardziej przydamy im się tutaj niż na polu walki. Właśnie tu powinniśmy się znaleźć. Dołożę wszelkich starań, by ocalić tych biednych chłopców, ale Lenklewth bez wątpienia spróbuje mnie powstrzymać. To bardzo silny kobalosci mag, może poważnie uprzykrzyć mi życie. Musimy zatem najpierw się go pozbyć. Wysocy magowie Kobalosów wyczuwają natychmiast, gdy ktoś tu wtargnie: to dlatego byli gotowi na nasze przybycie, gdy przeniosłam się stąd do Valkarky. Nasza obecność go zaalarmuje, Lenklewth przybędzie po nas... a wtedy ty go zabijesz.

– W twoich ustach brzmi to tak łatwo, Alice.

– Masz Gwiazdną Klingę, Tomie. Lenklewth nie zdoła zranić cię magią. Uważaj tylko, by znów nie upuścić miecza!

Rozgniewała mnie ta drwina; Alice musiała dowiedzieć się od Grimalkin, w jaki sposób Lenklewth mnie pokonał. Albo, co bardziej prawdopodobne, dzięki swej magii oglądała całą scenę.

– To nie tylko potężny mag, całe życie szlifował umiejętności walki! Jest magiem wojownikiem! – warknąłem. – Wytrącił mi miecz ciosem topora. Starłem się, jak mogłem.

– Oczywiście, że tak, ale teraz musisz postarać się jeszcze bardziej. Jeśli poniesiesz klęskę, zginie wielu ludzi. Nie masz wyboru. Musi ci się udać.

– A co z twoją magią, Alice? Nie możesz pokonać go czarami?

– Jeśli pójdzie ci źle, dołożę wszelkich starań: lecz nawet gdybym wygrała, wyczerpałabym większość mocy. Wówczas będę

potrzebowała trochę czasu, nim odzyskam siły, i będzie już za późno, by ocalić żołnierzyków. Dlatego to ty musisz go zabić.

Umilkłem.

I wtedy zadrżała ziemia. Zerknąłem w dół i przekonałem się, że szary piasek trzęsie się, tworząc nieustannie zmieniające się wzory. A potem wprost przed nami coś wyłoniło się nagle z piasku, niczym kiełek grubości ludzkiej ręki.

Przypomniałem sobie, kiedy ostatnio oglądałem coś takiego. Działo się to pośrodku wioskowego błonia w Topley, w Hrabstwie. Zrozumiałem, że widzę varteka, wykopującego się na powierzchnię! Mój spłoszony koń wierzgnął tak ostro, że oboje z niego zlecieliśmy. Wylądowałem ciężko, lecz piasek zamortyzował upadek. Podniosłem się na kolana i zobaczyłem, że wierzchowiec odbiega w dal.

Do pierwszej dołączyły dwie kolejne zwijające się macki. Każda miała twardy kościany czubek, ostry niczym klinga.

A potem z piasku wynurzył się potworny łeb stwora.

Lenklewth nasłał na nas varteka.

ROZDZIAŁ

21



KROPLA KWASU

THOMAS WARD

Pod jednym względem się pomyliłem: choć istotnie vartek był monstrualny, nie nasłał go Lenklewth. Przybył wraz z nim. Siedział tuż za olbrzymią głową w brązowym, skórzanym siodle, umocowanym wokół szyi stwora. Na sobie miał kolczugę, długą niczym płaszcz. Głowę chronił hełm; przez otwarty okular widziałem oczy i czoło.

Kiedy podniosłem się chwiejnie, vartek wypełził cały na powierzchnię, niemal szorując brzuchem po piasku. Jego liczne cienkie, owadzie nogi mieniły się zielenią, górną część tułowia porastały lśniące czarne łuski.

Potwór rozchylił szeroko długie szczęki i omiół mnie cuchnącym oddechem. Od kwaśnego smrodu zapiekły mnie spojówki. Rozkaszałem się głośno. Wyłupiaste oczy stwora przyjrzały mi się uważnie, a ja ze zgrozą spojrzałem na złowrogie zęby. Poruszały się w paszczy varteka, nieustannie zmieniając kąt nachylenia.

Nie cofnąłem się, choć wiedziałem, że potwór w każdej chwili może splunąć kroplą kwasu. Vartek, z którym poprzednio walczyłem, nie nosił na karku jeźdźca. Czyżby ten podlegał woli maga? Czy splunie wyłącznie na rozkaz? Może mógłbym go sprowokować do pojedynku?

Kątem oka zauważyłem, że Alice wstaje z ziemi i rusza ku mnie.

Dobrym Gwiazdnej Klingi i uniosłem ją wysoko, patrząc Len-

klewthowi prosto w oczy.

– Złaż i walcz! – rzuciłem wyzwanie.

Odpowiedział tym samym grzmiącym, szaleńczym śmiechem, jaki słyszałem w piwnicy, kiedy tłukł pięściami o blat. Vartek wyprostował nogi, gwałtownie unosząc się przed nami, i jeszcze szerzej rozdziawił paszczę.

Nagle coś uderzyło mnie w ramię. Poleciałem na bok, jakimś cudem nie upuszczając Gwiazdnej Klingi. Gdy gniewnie zerwałem się z ziemi, odkryłem, że to Alice mnie popchnęła. Potem jednak spojrzałem w miejsce, gdzie wcześniej stałem. Szary piasek bulgotał i parował pod dużą kroplą kwasu: potwór wypluł ją tak szybko, że niczego nie zauważyłem.

I znów Alice ocaliła mi życie. Zrozumiałem, że teraz ja muszę zrobić swoje. Moim zadaniem było szybkie zabicie maga, tak by ona mogła swoimi czarami wspomóc naszą armię.

Vartek znów rozdziawił paszczę, lecz tym razem Alice uniosła rękę wysoko nad głowę. W odpowiedzi piasek przed nią także wzleciał w górę, tworząc wielki szary obłok. Potem klasnęła w dłonie i pyłowy wir pomknął w stronę varteka.

Stwór wrzasnął, gdy piasek wpadł mu do oczu. Zaczął szarpać się i skręcać, byle dalej od nas. Lenklewth zakołysał się na boki w swym siodle i omal nie spadł. W tym momencie Alice złapała mnie za rękę i pociągnęła wprost na varteka. Przez sekundę myślałem, że oszalała, okazało się jednak, że jest bystrzejsza ode mnie.

Wbiegliśmy prosto pod jego cielsko: chwilowo było to najbezpieczniejsze z miejsc. Dopóki się tam ukrywaliśmy, potwór nie mógł nas opluć, choć istniały inne zagrożenia. Przyjrzałem się chudym, patykowatym nogom. Porastały je drobniutkie włoski, na końcu każdego mieniła się oślizgła, zielona kropelka.

– Trzymaj się z dala od jego nóg! – zawołałem. – Aż się lepią od jadu!

Cały czas poruszaliśmy się pod potworem, który gramolił się naprzód. Uważaliśmy, by nie dotykać żadnej z jego długich kończyn. Po chwili jednak zorientowałem się, że korpus varteka opada i szybko pociągnąłem Alice na kolana, by ją ochronić.

Lenklewth najwyraźniej kierował vartekiem; teraz próbował zmusić go, by nas zmiądzzył. Kiedy vartek opadł niżej, chwyci-

łem oburącz Gwiazdną Klingę i dźgnąłem, trzymając mocno rękojęść. Przypomniałem sobie, czego nauczyło nas ostatnie spotkanie z jednym z owych stworów bojowych: grzbiet i boki zwierzęcia porastają twarde łuski, podbrzusze natomiast ma miękkie i wrażliwe. Miecz wbił mu się w brzuch aż po jelec.

Vartek wydał z siebie nienaturalny skowyt i wyprysnął w górę na drżących nogach. Cały dygotał. Szarpnięciem o mało nie wyrwał mi Gwiazdnej Klingi. Gdy ostrze wysunęło się z jego brzucha, na piasek bryznęła czarna posoka.

– Szyja! – Alice pokazała ręką.

Miała rację. To z pewnością najwrażliwsze miejsce na ciele varteka: tętnice szyjne dostarczają krew do mózgu. W dodatku tam właśnie siedział teraz Lenklewth.

Kiedy podbiegłem naprzód, odkryłem, że siodło maga przytrzymują trzy szerokie, skórzane pasy. Wspiąłem się na palce i jak najwyżej ciąłem z rozmachem mieczem, szerokim łukiem, tak że przeciąłem rzemienie. Liczyłem na to, że może zobaczę spadającego Lenklewtha.

Pasy pękły. Czubek Gwiazdnej Klingi wbił się w szyję varteka i wykorzystałem nadarżającą się sposobność, zadając kolejne pchnięcia. Stwór ryczał coraz rozpaczliwiej, olbrzymim cielskiem wstrząsały konwulsje.

– Tom! – zawołała Alice.

Ostrzegła mnie w samą porę – jedna z długich, cienkich macek pełzła właśnie ku mnie między nogami stwora; ostry odłamek kości na końcu pomknął wprost ku mej szyi. Skoczyłem naprzód i zamachnąłem się mieczem: Gwiazdna Klinga przecięła mackę, pozostawiając tryskający czarną krwią kikut, który szybko cofał się między nogi bestii.

Ponowiłem atak na szyję varteka, on jednak znów wyprostował odnóża i znalazł się poza zasięgiem miecza. Nadal krwawił, ale stwór tej wielkości mieści w sobie mnóstwo krwi. Zastanawiałem się, ile musi minąć czasu, zanim opuszczą go siły. I co teraz robił Lenklewth? Nie widziałem, czy nadal siedzi na szyi varteka. Choć przeciąłem podtrzymujące je pasy, siodło nie spadło.

I nagle kolejna macka pomknęła ku mnie, rozwijając się niczym bat; ledwie zdążyłem unieść miecz. Zdołałem jednak odeprzeć cios. Potem musiałem odparować drugi, w końcu i tę mac-

kę udało mi się odrąbać.

I wtedy Alice znów użyła swojej magii. Uniosła palec wskazujący lewej dłoni i wycelowała w gardło varteka. Zdawało się, że wysunęło się z niego długie, cienkie, niewidoczne ostrze i rozplątało skórę. Gdy Alice poruszyła ręką, szczelina w szyi stwora zaczęła się poszerzać. Strużka krwi zamieniła się w rwący potok, a potem wodospad, przelewający się z każdym powolnym uderzeniem serca bestii.

Alice wycofała się z powrotem pod brzuch stwora, ja tymczasem wzięłam kolejny zamach i ponownie wycelowałam w szyję. Teraz vartek krwawił obficie z dwóch głębokich ran. Czarna, lepka jucha tryskała na ziemię.

Rozkojarzony tym wszystkim, nie zauważyłem trzeciej macki, rozwijającej się pod ciałem. Ale tym razem nie ja byłem celem... tylko Alice.

Nim zdążyłem krzyknąć ostrzegawczo, zauważyła ją i odskoczyła na bok. Ostra kościana końcówka przemknęła jej tuż przed oczami. W tym samym momencie stwór odbił w bok – i nim Alice zdążyła się odsunąć, jedną z nóg otarł się o jej ramię.

Krzyknęła i szarpnęła się, patrząc z rozpaczą – ramię miała wysmarowane zielonym jadem. Jęknęła z bólu i zagryzła wargę. Zauważyłem, że skórę już zaczynają pokrywać bąble.

ROZDZIAŁ

22



TRUCZNA

THOMAS WARD

Wepchnąłem miecz do pochwy i bez namysłu zgarnąłem z ziemi garść szarego pyłu. Potem złapałem Alice za rękę, pociągnąłem ku sobie i obsypałem nim zaognione ciało.

Miałem nadzieję, że kurz wchłonie choć część śluzowatej zielonej trucizny. Alice cała dygotała, oczy miała okrągłe z bólu i strachu. Starannie zdmuchnąłem ziemię i obejrzałem uszkodzoną rękę. Część ziaren przykleiła się do świeżej krwi, więc ostrożnie wytarłem je rąbkiem płaszcza.

Pod zielonkawą skórą nabrzmiewały niebieskie żyły. Zastanawiałem się, jak dużo jadu wchłonęła. Zobaczyłem, że Alice wyraca oczami; teraz widziałem już tylko białka. Palcami prawej dłoni próbowała sięgnąć do kieszeni na biodrze długiej zielonej sukienki. Wiedząc, że tam właśnie trzyma zioła, sam wyciągnąłem po nie rękę – nim jednak zdążyłem chwycić sakiewkę, bestia runęła.

Masywne cielsko zbliżało się zatrważająco szybko, toteż złapałem Alice za rękę i pociągnąłem w stronę łba varteka. Dolną częścią potwora wstrząsały spazmy, a każdy z nich wzbudzał wibracje ziemi. Jedynym wyjściem, pozwalającym uniknąć jadowitych nóg, pozostawało znalezienie się tuż przy głowie.

Obawiałem się jednak, że nie zdążymy tam dotrzeć. Alice jęczała z bólu, gdy ciągnąłem ją za sobą. Mogliśmy zginąć, zmiażdżeni cielskiem gigantycznego varteka; przez jedną straszną chwilę sądziłem, że nie zdołamy uciec.

Jednakże miotana śmiertelnymi drgawkami bestia ugięła rząd prawych nóg i przekręciła się na bok. Lewe odnóża wystrzeliły w powietrze. Szybko skręciłem i przebiegłem pod nimi, wlokąc Alice w bezpieczne miejsce. Zdążyliśmy w ostatniej sekundzie; niemal natychmiast vartek przekręcił się z powrotem na brzuch, wzbijając w powietrze chmurę szarego kurzu.

Podtrzymując Alice jedną ręką, drugą wyciągnąłem sakiewkę z jej kieszeni i podałem dziewczynie. Zaczęła grzebać przy niej niezgrabnie, toteż rozwiązałem sznurek, otworzyłem woreczek i wyciągnąłem zestaw ziół i liści. Uniosłem je na otwartej dłoni – nie miałem pojęcia, które mogą pomóc.

Alice zawahała się; potem drżącymi palcami wybrała niewielki kawałek listka, bladozielony w żółte plamki i jaśniejsze białe kropki, przypominające pleśń. Wsunęła go do ust, wciskając pod język.

– Coś jeszcze mogłoby ci pomóc? – spytałem.

Obejrzałem się na konającego varteka. Słyszałem trzask kości i bulgot płynów. Mięśnie, rozluźnione w agonii, nie były dłużej w stanie utrzymać ciężaru stwora. Jego organy wewnętrzne ulegały powolnemu zmiżdżeniu, gdy masywny odwłok osiadał na piasku. Nogi wciąż się poruszały.

Ale gdzie podziewał się Lenklewth? Siodło było puste.

Z powrotem spojrzałem na Alice. Nie odpowiedziała, więc powtórzyłem pytanie.

Pokręciła głową, a ja szybko schowałem zioła do sakiewki i oddałem jej. Gdy tylko wsunęła ją do kieszeni, nogi ugięły się pod nią. Zdążyłem podtrzymać ją tak, by nie upadła, w ostatniej chwili.

Alice straciła przytomność. Oddychała ciężko. Ostrożnie ułożyłem ją na boku, żeby nie połknęła języka. Widziałem, że z trudem chwyta powietrze. Ogarnął mnie paniczny strach o nią, ale nic więcej nie mogłem poradzić. Jak zjadliwa okaże się trucizna? Zastanawiałem się, czemu dziewczyna nie zwalczy jej skutków magią. Może była już za słaba? Może umierała?

Gardło ścisnęło mi się boleśnie. Nasze rozstanie trwało zbyt długo, okropnie za nią tęskniłem. Los byłby okrutny, gdybym znów musiał ją stracić!

Wyczułem za sobą ruch. Odwróciwszy się, ujrzałem Lenklew-

tha. Przynajmniej wróg w końcu się pokazał – stał obok wielkiego łba varteka.

Mag miał na sobie długą kolczugę-płaszcz, rozszerzającą się na biodrach i niemal sięgającą ziemi. Osłaniała także szyję, ale głowę pozostawiała gołą.

Zaciekało mnie dlaczego. Czemu stanął przede mną z gołą głową, skoro wcześniej nosił metalowy hełm? Czyżby zgubił go podczas upadku z varteka? Połączenie zbroi i hełmu czyniło go niemal niezwyciężonym.

I nagle zrozumiałem. Zdjął go specjalnie. Lenklewth chciał, żebym zaatakował jego głowę, z pewnością przygotował się na to. Ja sam pod płaszczem miałem tylko kozuch, nic nie uchroniłoby mnie przed jego ciosami.

I wtedy przemówił.

– Nic nie przeżyje kontaktu z tą trucizną – rzucił szyderczo. – Mała ludzka wiedźma kona. Za chwilę do niej dołączysz!

Jego słowa miały mnie pchnąć do bezmyślnego działania. Bez wątpienia założył, że podstęp się udał, bo skoczyłem ku niemu szybko, unosząc w dłoni Gwiazdną Klingę. Lenklewth dobył obu szabel i z pewnym siebie uśmiechem przygotował się na odparcie ataku.

Zatrzymałem się tuż poza zasięgiem jego broni. A potem zawirowałem, niczym Grimalkin, tak jak mnie kiedyś uczyła. Rozpocząłem taniec śmierci – najpierw zgodnie z ruchem wskazówek zegara, potem w przeciwnym kierunku.

Czułem się szybki i silny, tak jak dawniej. Ale jak długo to potrwa?

Kiedy zmieniłem kierunek, ciąłem mieczem płasko, po łuku – nie celując w głowę, jak oczekiwał. Trzymając oburącz broń, z całych sił ciąłem go w ramię.

Grimalkin opowiadała mi o mocy Gwiazdnej Klingi. Mag trafiłby tylko czas, próbując użyć przeciw mnie magii; miecz unieszkodliwiłby nawet najpotężniejsze zaklęcia. Choć z pozoru zardzewiały, pozostawał idealnie ostry, nigdy nie potrzebował czyszczenia i nie można go było złamać.

Teraz odkryłem coś jeszcze: potrafił przebić nawet najtwardszą zbroję.

Zbroja Lenklewth'a była znakomita, lecz Gwiazdna Klinga

wbiła się w nią jak w masło i rozplatała mu mięsień. Mag krzyknął z bólu, upuszczając jedną z szabel. Drugą zasłonił się w ostatniej chwili, parując mój kolejny cios. Ale trzecie cięcie znów go dosięgło, odrabując z piersi następny fragment kolczugi.

Miecz sprawiał wrażenie lekkiego i zgrabnego – jakby był zupełnie inną bronią niż podczas naszego pierwszego starcia.

Pod moim naporem mag cofał się w stronę konającego varteka. Piątym ciosem odciąłem następny kawał zbroi z jego boku. Teraz krew płynęła z ran, tworząc czerwone strużki ściekające po długiej kolczudze na piasek.

Wiedziałem, że muszę z nim skończyć, zanim zabraknie mi sił. Może Alice dojdzie do siebie, być może zdoła jeszcze użyć magii, by wspomóc wycofującą się armię. Ale najpierw musiałem zabić tego maga. Dopiero gdy się go pozbędziemy, będzie mogła działać bez przeszkód.

Wciąż wirowałem i uskakiwałem, zmuszając Lenklewtha do odwrotu. Nagle olbrzymi vartek za jego plecami poruszył się, otworzył szeroko paszczę, chciał znów splunąć jadem. Zamiast tego z gardła wyrwało mu się ogłuszające westchnienie. Widziałem oczy, drgające szybko pod różowymi powiekami pokrytymi brązowymi, brodawkowatymi naroślami, bez wątplenia zapewniającymi vartekowi ochronę, gdy przekopywał się przez ziemię. Stwór nagle otworzył lewe oko i uniósł łeb. Lenklewth chyba wyczuł niebezpieczeństwo, bo obejrzał się przez ramię, dając mi okazję do pozbycia się kolejnego fragmentu kolczugi.

Mój cios nie dosięgnął celu. Vartek szarpnął cielskiem naprzód i chwycił maga w długie szczęki, miażdżąc mu tors. Usłyszałem trzask pękających kości. Lenklewth otworzył usta, by krzyknąć, wówczas jednak stwór cisnął go w powietrze, złapał i połknął całego. Po sekundzie mag zniknął.

Przerażony, odskoczyłem w tył, lecz olbrzymi potwór znów zamknął oczy i ponownie sapnął ogłuszająco. Omiótł mnie kwaśny oddech. Vartek z powrotem legł na ziemi i pogrążył się w agonii.

Przez kilka chwil wpatrywałem się w niego. Cały się trząsałem. W końcu odetchnąłem głęboko, schowałem miecz i wróciłem w miejsce, gdzie leżała Alice.

Nadal dyszała ciężko. Zastanawiałem się, czy przypadkiem nie kona, czy nie zapada w coraz głębszą śpiączkę, z której nigdy już

się nie obudzi. Usiadłem, patrząc na nią, przez głowę przelewały mi się fale uczuć.

Mimo wszystkiego, co uczyniła, mimo goryczy i bólu, nadal ją kochałem. Gdy tak patrzyłem, do oczu napłynęły mi łzy. Uświadomiłem sobie, że wciąż dręczy mnie zazdrość: wyjaśnienia, jak to Pan zażądał, by zawarła sojusz z Lukrastą, mnie nie przekonały.

A potem przypomniałem sobie, dlaczego Alice sprowadziła nas w to miejsce pomiędzy światami. Chodziło o to, by zwabić tu Lenklewtha, abym mógł go zabić i pozwolić jej ocalić naszą armię. Do tej pory kawaleria mogła już uciec za rzekę, lecz piechota stanowiła łatwą zdobycz dla kobaloskiej jazdy i warteków.

W końcu pomyślałem też o sobie. Bez Alice w żaden sposób nie zdołałbym stąd uciec.

Po jakimś czasie usiadłem obok niej na piasku, krzyżując nogi. Vartek tymczasem umilkł. Słyszałem tylko powolny, miarowy oddech dziewczyny. Nie chwytiała już z trudem powietrza. To przynajmniej coś.

Tak wiele wydarzyło się w tak krótkim czasie. Byłem wyczerpany, jakaś część mnie chciała się poddać, zamknąć oczy i nigdy ich już nie otworzyć.

Mogłem tylko tam siedzieć i walczyć z ogarniającą mnie rozpaczą.

ROZDZIAŁ

23



ZJEMIA KRZYKNEŁA

THOMAS WARD

Nagle Alice otworzyła szeroko oczy i zaczęła się krztusić. Zatraskany sięgnąłem ku niej, sama jednak podniosła się na kolana i zwymiotowała na piasek rzadkim zielonym płynem.

Ukląknęłam obok, obejmując ją pocieszającym gestem. Popatrzyła na mnie, dysząc ciężko, rękami trzymała się za brzuch, czoło miała blade i mokre od potu.

– Bolało – rzekła w końcu. – Wywróciło mi wątpia na nice. Ale pozbyłam się jadu.

– Nic ci nie będzie? – spytałem.

Pokręciła głową.

– Potrzebuję tylko kilku minut, żeby złapać oddech. Użyłam magii, aby wyciągnąć truciznę z krwi do brzucha, gdy przytrzymałam liść pod językiem. To specjalne zioło, emetyk, środek wymiotny: połknęłam go, żeby dostać mdłości. Jestem trochę roztrzęsiona, ale to minie. Muszę odpocząć, najpierw jednak coś zrobię. Wykończyłeś Lenklewtha?

Przytaknąłem.

– Vartek go dobił. Teraz obaj nie żyją.

– Varteki to niebezpieczne stworzenia. Kobalosi tresują je, używając tortur. Najwyraźniej ten zemścił się na magu. I dobrze mu tak! – wykrzyknęła Alice.

Pomogłem jej wstać. Postąpiła parę chwiejnych kroków, jakby chciała sprawdzić, czy nogi uniosą ciężar ciała.

– Najpierw musimy odzyskać twojego konia.

Zagwizdała przeciągle, piskliwie. Musiała powtórzyć to jeszcze dwa razy, nim się zjawił, biegnąc niespiesznie ku nam.

– Znów magia? – spytałem z uśmiechem.

Skinęła głową.

– Tylko odrobinka, ale teraz muszę zrobić coś znacznie większego. Mam tylko nadzieję, że starczy mi sił. Jedziemy w tę stronę. – Wskazała ręką w dal.

Trwało to niemal godzinę. Alice ponownie siedziała za mną w siodle. Przed sobą widziałem tylko szary piasek, monotonną, bezkresną, płaską równinę. Powoli zacząłem się niepokoić. Alice sprowadziła nas tu błyskawicznie – czemu zatem powrót do naszego świata tak się opóźniał? Czyżby wyczerpała swój zapas magii? Czy zachowała dość sił, by pomóc?

W końcu z nieba zaczął padać śnieg; po paru minutach otoczył nas szaleńczy wir gęstych płatków. Przez moment czułem mdłości i nagle odgłos końskich kroków zmienił się – miękki piasek ustąpił miejsca skale i luźnym kamieniom. Nie pokrywał ich śnieg. Z ziemi wzbijały się kłęby pary, czułem w nozdrzach woń siarki.

Udało się nam. Jechaliśmy właśnie przez Uskok Fittzanda, niestabilny obszar, wyznaczający dawną granicę pomiędzy ziemiami ludzi i Kobalosów. W chwilę później grunt zaczął drzeć – zaledwie kilka lekkich wstrząsów, ale skutecznie ostrzegających przed niebezpieczeństwem; w tym miejscu skorupa ziemiska była bardzo cienka, a pod naszymi stopami kipiała roztopiona lawa.

Wkrótce zaczęliśmy mijać trupy, niektóre zasypane śniegiem. Wiele nosiło niebieskie mundury z Polyzni. Niektóre pokrywała krew, najwyraźniej pochodząca z ich własnych ran, u innych nie dostrzegłem ani śladu tego, co ich zabiło. Mogli zginąć z wyczerpania i zimna.

Nagle do głowy przyszła mi straszliwa myśl. Co, jeśli Jenny spadła z konia? Może leży tu gdzieś teraz, martwa albo ranna?

W pewnych miejscach konie i jeźdźcy leżeli pospołu. Lansjerzy zapłacili wysoką cenę za swój atak. Naliczyłem jednak co najmniej tyle samo trupów Kobalosów i ich długowłosych wierzchowców: najwyraźniej jeden z oddziałów wroga zderzył się z naszą piechotą i jazdą.

Śnieg sypał nieco lżej, zamieniając się w mżawkę, co znacząco

polepszyło widoczność. Przed sobą widziałem mundury naszej piechoty, wśród nich niebieskie kurtki Polyzni, czerwone Wajalandu i zielonoszare Shallotte – całe setki, wycofujące się w tym samym kierunku co my. Nie poruszali się już w zwartym szyku: tłum ludzi rozpaczliwie próbował dotrzeć do rzeki, nim dościgną ich siły wroga.

Obejrzałem się przez ramię i ujrzałem trzon armii Kobalosów. Doganiali nas, zbliżając się szybko. Taktyka Grimalkin polegała na opóźnianiu ich serią szarż kawalerii, kosztowało to jednak życie wiele osób i nie mogło trwać długo; ostatni z naszych lansjerów przeprawili się już przez rzekę, pozostawiając maruderów ich losowi.

Na czele Kobalosów pędziło kilka potwornych varteków, unosząc wysoko macki. Znajdowaliśmy się już prawie na południowym skraju Uskoku, kamienie ustępowały miejsca miękkiemu śniegowi, ziemia przestała się trząść. Jechaliśmy jeszcze pięć minut, po czym usłyszałem w uchu szept Alice:

– To tutaj, Tomie. Tu muszę to zrobić. Zostaw mnie i jedź dalej.

– Nie zostawię cię, Alice. Zaczekam, póki nie skończysz.

Bez dalszych protestów zsunęła się z konia. Próbowwała odejść, lecz po sekundzie ja także wylądowałem na ziemi; obróciła się ku mnie.

– Mogę tego nie przeżyć, Tomie, więc muszę ci coś powiedzieć.

Postąpiła krok w moją stronę. Stała teraz bardzo blisko. Nagle chwyciła mnie w ramiona i przytuliła mocno. A potem mnie pocałowała.

Nie mogło to trwać dłużej niż parę sekund, lecz jej ciepłe usta zdawały się wtapiać w moje w ciągnącej się całą wieczność chwili błogości. Wreszcie cofnęła się, patrząc mi prosto w oczy.

– Powiem ci coś teraz i chcę, żebyś to zapamiętał. Oto cała prawda: od chwili, gdy ujrzałam cię po raz pierwszy, wiedziałam, że przeznaczone jest nam być razem. Kochałam cię, kiedy oboje mieszkaliśmy u starego Gregory’ego w Chipenden. Kochałam cię, kiedy byłam z Lukrastą. I kocham cię teraz. Albo mi uwierz, albo nazwij kłamczynią, to zależy wyłącznie od ciebie. Ale mówię prawdę.

Do oczu napłynęły mi łzy; otworzyłem usta, nie wiedząc, co

rzec. Tak czy inaczej, było już jednak za późno: Alice zawróciła, zmierzając w stronę nieprzyjaciół. A potem się zatrzymała.

Nie wyjaśniła, co zamierza zrobić. To nie było konieczne. Widziałem wszystko wyraźnie.

Wspominała, że jest ziemną wiedźmą. Teraz zamierzała wykorzystać samą ziemię przeciw naszym wrogom.

Uniosła ręce wysoko nad głowę, rozczapierzając szeroko palce. Na moment dokoła zapadła cisza, a potem z dali dobiegła mnie ledwie słyszalna muzyka Pana: piskliwy świst magicznej fletni z sitowia.

Kiedy Alice się odezwała, jej głos zabrzmiał bardzo wysoko i ostro. Z początku sądziłem, że wrzeszczy na postrach, ale było w tym coś naturalnego, żywiołowego – niczym wiatr zawodzący wśród skał albo ryk sztormu.

I wtedy nadeszła odpowiedź. Ziemia krzyknęła – ostro, przesywająco, wyżej, lecz w harmonii z głosem Alice. Ów dźwięk sprawiał, że z uszu i nosów płynęła krew i pękały naczynka w oczach. Zatkałem rękami uszy, ale mój koń wierzgnął przerażony i musiałem mocno przytrzymać wodze.

Ziemia pomiędzy Alice i armią Kobalosów warknęła i syknęła gniewnie, wypuszczając gejzery pary, uwięzionej wcześniej pod skałami. Nagle eksplodował ogień, potężne pomarańczowe jęzory płomieni. Skały i gleba wyleciały w górę w serii wybuchów. Pod naszymi stopami ziemia poza Uskokiem trzęsła się i dygotała w furii.

W tym momencie przypomniałem sobie słowa Alice i jęknąłem ze zgrozy. Mówiła, że może tego nie przeżyć.

Dopiero znów się spotkaliśmy, więc przerażony, że mógłbym ją stracić, pociągnąłem spłoszonego konia naprzód, aż w końcu zrównaliśmy się z nią. To, co ujrzałem, rozdarło mi serce.

Z nosa i oczu płynęła jej krew; ściekała cienkimi strużkami po twarzy, kapiąc na szpiczaste trzewiki. Twarz Alice wykrzywił grymas cierpienia, usta otwierała szeroko, jakby we wrzasku. Jeśli faktycznie krzyczała, nie dało się tego usłyszeć, bo wszystko zagłuszały potężne eksplozje.

W żaden sposób nie mogłem jej pomóc. Pozostawała mi tylko nadzieja, że wkrótce wszystko się skończy.

Wybuchy trwały w sumie najwyżej minutę. Trudno było potem

ocenić, jak wielu Kobalosów i ich stworów zginęło w ognistym piekle. Kiedy zadrżała ziemia, nie dotarli zbyt głęboko na teren objęty zniszczeniem. Przeważająca większość ich armii pozostała nietknięta, ale przerwali pościg za naszą piechotę.

Alice uratowała życie wielu żołnierzom: teraz będą mogli uciec Kobalosom i przeprowić się przez rzekę.

Powoli opuściła ręce, odwróciła się i chwiejnie ruszyła ku mnie. Zdołałem do niej dobiec, nim upadła, oddychała szybko, sprawiała wrażenie absolutnie wyczerpanej. Rękawem szaty starłem jej krew z twarzy.

Grimalkin wspominała kiedyś, że czarownica rzucająca zaklęcie może zużyć tak wiele energii, iż umiera. Bałem się o Alice, ona jednak drżącą ręką wskazała konia, toteż pomogłem jej wsiąść, a potem sam zająłem miejsce przed nią. Oplotła mnie rękami w pasie i przycisnęła mi twarz do ramienia.

Zastanawiałem się, czy starczy jej sił, by się utrzymać. Ruszyłem naprzód stępa.

Przeprowadzając się przez bród, odkryłem, że Grimalkin stoi na drugim brzegu. Większość armii wycofywała się na południe, do zamku księcia Stanisława. Ona jednak zaczęła na nas i rozbiła już namiot.

Nie dostrzegłem ani śladu Jenny i serce ścisnął mi nagły strach. Obawiałem się najgorszego. Ledwie śmiałem zadać Grimalkin pytanie.

– Co z Jenny? Nic jej nie jest?

Pokręciła głową.

– Wróciła do zamku z pozostałymi. Chciała tu zostać, ale jej zabroniłam.

Szybko wyjaśniłem, co się stało, a czarownica zsiadła z siodła i zaniósła do namiotu.

– Jesteśmy tu bezpieczni? – zapytałem, patrząc, jak Grimalkin układa dziewczynę na kocu.

– Na razie owszem. Po wszystkim, co się wydarzyło, Kobalosi nie przeprowią się, póki nie zgromadzą przeważających sił, a to trochę potrwa. Wolę tutaj zaopiekować się Alice.

Patrzyłem niespokojnie, jak wiedźma zabójczynie krząta się wokół pacjentki, mamrocząc jej zaklęcia do lewego ucha i namaszczając ją miksturami oraz ziołami – te ostatnie czerpała z sakiewki dziewczyny. Czekałem nerwowo, ale Alice nie odzyskała przytomności.

– Nie umrze, nie wiadomo jednak, czy zdoła odzyskać pełnię sił – wyjaśniła Grimalkin, gdy skończyła. – Czarownica może zczerpnąć zbyt wiele ze swej magii, wykorzystać ostatnie rezerwy, a nawet esencję własnej istoty. W pewnym sensie to właśnie uczyniła Alice. A już wcześniej zaszкодził jej jad varteka.

Czuwaliśmy zatem obok łóżka, czekając na wynik starań Grimalkin. Następnego dnia Alice ocknęła się na krótko i spojrzała na mnie. Przyglądaliśmy się sobie bez słowa długą chwilę. Cały czas ścisnęła moją lewą dłoń.

– Już się bałem, że znów cię stracę – szepnąłem.

Uśmiechnęła się.

– Dziękuję, że na mnie zaczekałeś, Tomie. Dzięki, że zostałeś u mego boku. Ból był potworny, ale dałeś mi siłę samą swą obecnością. Powiedziałam, żebyś odjechał, bo nie chciałam cię narażać, lecz jakaś część mnie pragnęła, byś został. Gdybym tam zginęła, ostatnim, co bym widziała, byłbyś ty. Ta świadomość dodawała mi otuchy.

– Nie mogłem cię zostawić, Alice. Już nigdy cię nie porzucę.

– Nie będzie takiej potrzeby, Tomie. Mogą istnieć ważne powody, które zmuszą nas, byśmy rozstali się fizycznie, ale nasze serca pozostaną na zawsze związane, nieważne, co się stanie. Tyle mogę ci obiecać. Już nigdy od ciebie nie odejdę.

Później Alice zdołała przełknąć odrobinę zupy. Trzeciego dnia czuła się znacznie lepiej, choć wciąż była zbyt słaba, by wstać i przesyiała większość dnia.

Od czasu do czasu myślałem o Jenny, samotnej w zamku. Żałowałem, że Grimalkin ją tam odesłała, ale nic nie mogłem na to poradzić.

Chwilowo śnieg przestał padać, a wiatr skręcił na południe. Wkrótce zrobiło się cieplej, śniegi i lody zaczęły topnieć, zupełnie jakby Golgoth wycofał się po tym, co uczyniła Alice.

W końcu na brzegu ujrzeliśmy patrol Kobalosów. Przyglądali się nam, ale się nie przeprawili. Rozbili obóz i wkrótce całą rzekę

zasnuła brązowa mgiełka z ich ognisk.

Niczego nie osiągnęliśmy. Grimalkin nie zdołała wykraść magii kobaloskiej, nasi wojownicy zginęli na próżno. A przecież gdyby nie Alice, mogło być znacznie gorzej.

Opatuleni w koce siedzieliśmy z Grimalkin w wejściu namiotu, spoglądając za rzekę. Słyszałem odległe wrzaski varteków i krzyki innych nieludzkich stworzeń.

– Myślisz, że zaczekają z ofensywą do wiosny? – spytałem. – Tak zwykle postępowały armie.

Grimalkin pokręciła głową.

– To stwory zimowych mrozów – rzekła. – Śnieg i lód im nie przeszkodzą. Jak mówiłam, wszystko sprowadza się do liczb. Gdy zbiorą wokół siebie dostatecznie wielu innych Kobalosów i ich bitewnych istot, zaatakują. Musimy przygotować się do obrony.

– Czy zdołamy odeprzeć tak potężne siły?

– Możemy im przeszkodzić i opóźnić ich działania. Kiedy dołączymy na ziemię południowych królestw, ich żołnierze przyjdą nam z pomocą. Nie będą mieli wyboru, bo Kobalosi znajdą się na ich terenie.

– Gwiazdna Klinga ochroniła mnie przed magią Lenklewtha – oznajmiłem, opisując ponownie naszą walkę i śmierć maga. – Ale uczyniła też coś więcej. Mówiłaś, że nigdy się nie złamie i zawsze pozostanie ostra. Faktycznie nie złamała się i wydawała ostrzejsza niż kiedykolwiek. Przecięła gładko zbroję maga.

Grimalkin uśmiechnęła się.

– Dobrze to słyszeć. Zbroja kobaloskiego wysokiego maga nie ma sobie równych. Myślę, że Gwiazdna Klinga staje się coraz silniejsza. To kolejna cecha, jaką w nią wbudowałam, miecz wchłania to, kim jesteś i czym się stajesz. Jeśli jesteś słaby i przepełnia cię zwątpienie, jej moc maleje. Od czasu powrotu z martwych faktycznie byłeś słaby i brakowało ci pewności siebie. Teraz jednak odzyskujesz dawne siły. Wierzyłeś, że zdołasz pokonać maga, i miecz zaczerpnął owej wiary, stając się jeszcze groźniejszą bronią.

– Mówisz, jakby ta klinga żyła! – Uśmiechnąłem się szeroko.

Grimalkin pozostała poważna.

– Im dłużej ją nosisz i jej używasz, tym będzie ci bliższa. Bę-

dzie czerpać z twojej osobowości i jaźni, z czasem stanie się przedłużeniem ciebie.

Nagle moje myśli powędrowały ku przyszłości.

– Nadal zamierzam wrócić do Hrabstwa – poinformowałem wiedźmę zabójczynię.

– Jeśli taką podjąłeś decyzję, możesz odejść, choć wołałabym, żebyś został.

– Muszę wracać. W Hrabstwie odzyskam siły i będę mógł właściwie wyszkolić uczennicę. Ale co z księciem? Czy nie spróbuje zatrzymać mnie tu jako figuranta, marionetkowego dowódcę armii?

– Uprzedzę go, że musisz załatwić coś pilnego w Hrabstwie, ale wiosną wrócisz.

– Wrócę. Dotrzymam słowa. Zjawię się, gdy tylko ustąpią mrozy.

– Wtedy będzie już za późno – rzekła Grimalkin. – Do tej pory Kobalosi zajmą księstwka i bitwa przeniesie się daleko na południe. Ale to kłamstwo wystarczy, by na razie go zadowolić.

Następnego ranka Alice mogła już dosiąść konia, więc ruszyliśmy do zamku księcia Stanisława. Wciąż utrzymywała się ładna pogoda, nadal mogliśmy odjechać do Hrabstwa. Postanowiłem zatem, że parę dni odpoczynku nam nie zaszkodzi. Przed odjazdem chciałem mieć pewność, że Alice w pełni doszła do siebie.

ROZDZIAŁ

24



BIAŁY SZNUREK

THOMAS WARD

Szedłem ścieżką wiodącą do domu stracharza, dźwi gając na ramieniu worek z kupionymi we wsi zapasami. Zmierzchało i byłem już spóźniony, więc wiedziałem, że mistrz się nie ucieszy.

I wtedy zauważyłem jakiś ruch pod drzewami po lewej. Zobaczyłem dziewczynę, powoli zbliżającą się do ścieżki. Podeszła bezszelestnie, zupełnie jakby płynęła nad ziemią. Zatrzymałem się i przyjrzałem jej uważnie. Była bardzo ładna, miała wydatne kości policzkowe, długie czarne włosy i wielkie piwne oczy. Zbliżyła się do mnie.

– Nie znasz mnie, Tomie? Nie pamiętasz, kim jestem?

Byłem pewien, że już ją widziałem, ale w głowie miałem zamęt. Nie potrafiłem przywołać jej imienia.

Zauważyłem, że ma bardzo szpiczaste trzewiki. Mistrz wspomniał coś kiedyś o podobnych butach – przed czymś ostrzegął – ale nie mogłem sobie przypomnieć, co to było. Czarną sukienkę przewiązała w pasie białym sznurkiem.

Dostrzegła, że zerkam na niego, i uśmiechnęła się, po czym odwiązała sznurek i podała mi.

– Do czego mi to? – spytałem zdziwiony. – Co mam z tym zrobić...?

I wtedy się obudziłem. Długi czas spoglądałem w sufit. Wspominałem ucieczkę przed Kobalosami i to, jak Alice mnie pocałowała. Mówiła, że mnie kocha. Czy na pewno? A może po prostu sądziła, że umrze, i chciała stosownie się pożegnać? Później jed-

nak twierdziła, że nasze serca na zawsze pozostaną złączone, nawet jeśli rozdzieli nas odległość.

Czy to naprawdę możliwe, żebyśmy byli razem? Czy możemy zamieszkać w Chipenden jako para? Nawet nie śmiałem na to liczyć.

– Jeśli wkrótce nie wyruszymy, utkniemy tu na zimę – poskarżyła się Jenny, marszcząc brwi. Wyjrzała przez okno wieży na leżącą w dole ziemię.

Obóz wojskowy zamienił się w morze błota, ale z północy znów wiał mroźny wiatr, a słońce na horyzoncie zniknęło za chmurami grożącymi śnieżycą. Powoli zaczynałem traktować mróz jak wroga. Zastanawiałem się, czy nadciągającą zimą naprawdę kieruje Golgoth. Grimalkin tak uważała.

Jenny co najmniej trzy razy dziennie wspominała, że możemy tu utknać. Staralem się puszczać jej słowa mimo uszu, bo nie chciałem się denerwować. Ostatecznie byłem stracharzem, a ona moją uczennicą, miałem obowiązek zachować cierpliwość. I w sumie nie mogłem winić dziewczyny. Mimo ognia płonącego na kominku oboje opatulaliśmy się ciasno kożuchami. W zamku panowały ziąb i przeciągi.

Zostaliśmy w nim niemal tydzień, dwakroć dłużej, niż pierwotnie planowałem. Ale Alice doszła już w pełni do siebie i mogłem spokojnie ruszyć do domu.

Uznałem, że nie powinniśmy dłużej zwlekać. Nad głowami wisiały nam dwa niebezpieczeństwa: atak Kobalosów i śnieg. Każde z nich mogło nas tu zatrzymać.

– Zapomnij o troskach! – rzuciłem do Jenny. – Staraj się witać uśmiechem świat: może odpowie tym samym?

Starła się bardzo, ale widziałem, że to wymuszona wesołość.

– Posłuchaj, jutro przed południem ruszamy w drogę. I co ty na to?

– Mówisz serio? – W jej oczach rozblęśla nadzieja.

– Owszem. Musimy się stąd wydostać, nim spadnie więcej śniegu.

W tym momencie drzwi otwarły się i ujrzałem na progu parę

szpiczastych trzewików. Uśmiech natychmiast zniknął z twarzy Jenny, bo zobaczyła Alice.

Powiodłem między nimi wzrokiem. Moja uczennica bez wątpienia była ładna, miała promienny, ciepły uśmiech, a jej myszowate włosy zdawały się zmieniać barwę w zależności od oświetlenia, połyskując rudawo w słońcu. Najpiękniejsze jednak były jej oczy: lewe błękitne, prawe piwne; czasami błyskały wesoło i łobuzersko, czasem zdawały się smutne i zamyśłone. A bardzo rzadko – dostrzegłem to tylko raz czy dwa – jej spojrzenie stawało się bardzo głębokie i pełne doświadczenia, jakby ktoś mądry i nieskończenie współczujący patrzył z litością na świat, który nie spełniał jego nadziei.

Jednak Jenny, choć ładniutka, przy Alice wyglądała bardzo zwyczajnie. Alice miała zaledwie siedemnaście lat, lecz mocno zarysowane kości policzkowe, roziskrzzone oczy i białe włosy sprawiały, że wyrosła na uderzająco piękną dziewczynę. Choć przeszła na stronę Mroku i została czarownicą, nie znać po niej było chytrości oczu i przebiegłości jej matki, Kościstej Lizzie; Alice wysoko unosiła głowę i patrzyła wszystkim prosto w twarz.

A jednak coś łączyło ją z moją uczennicą. Nie lubiły się nawzajem. Musiałem znaleźć jakiś sposób, żeby się zaprzyjaźniły, a przynajmniej nauczyły znosić swoją obecność.

– Wkrótce spadnie śnieg, Tomie – oznajmiła Alice, nie zwracając uwagi na Jenny. – Tym razem nie roztopi się aż do wiosny. Musimy jutro ruszać do domu, inaczej tu utkniemy.

– Już postanowiłem, że jutro wyjedziemy – odparłem i nagle uświadomiłem sobie, co słyszę. – Powiedziałaś „musimy”. Chcesz jechać z nami?

Serce zatrzepotało mi z podniecenia. Nastawiłem się na pożegnanie z Alice i wielomiesięczną rozłąkę.

– Tak. Ktoś musi dopilnować, abyście bezpiecznie dotarli do domu! – Uśmiechnęła się złośliwie.

Zerknąłem na Jenny. Nie wyglądała na zachwyconą. Niewątpliwie sądziła, że będziemy podróżować tylko we dwoje. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła, było towarzystwo Alice.

– A Grimalkin nie potrzebuje cię tutaj? – zainteresowałem się. – Armia kobaloska w każdej chwili może przeprawić się przez rzekę.

– Woli, żebym odeszła bezpiecznie i oszczędzała swoją magię, by móc przechylić szalę zwycięstwa w przyszłej bitwie. Nie dojdzie do niej w tym roku, może dopiero daleko na południu, gdy większe królestwa zmobilizują swe wojska. Może wręcz w Hrabstwie? Grimalkin uważa, że najbliższe starcie i tak jest z góry skazane na przegraną, liczy wyłącznie na w miarę zorganizowany odwrót. – Spojrzała na Jenny i uśmiechnęła się, w uśmiechu tym brakowało jednak choćby krztyny ciepła. – Może już się położysz, Jenny? – zaproponowała. – Z pewnością chcesz mieć dość sił na drogę.

Jenny spojrzała na nią z ukosa, ale nawet nie drgnęła.

Tym razem Alice przemówiła bez uśmiechu.

– Posłuchaj, muszę pomówić z Tomem w cztery oczy.

Jenny zeskoczyła z krzesła, zabrała notes i wyszła bez słowa, nie oglądając się na nas. Może nie tyle trzasnęła drzwiami, ile zamknęły się znacznie głośniejszy, niż powinny.

– Postaraj się traktować ją nieco łagodniej, Alice – poprosiłem. – Zawędrowała daleko od domu i bardzo chce tam wrócić. Pragnęła zostać uczennicą stracharza, a nie wylądować w samym środku wojny w zimnym, północnym kraju. O mało nie zginęła – siedziała na tym samym koniu, co księżę Kajlar, kiedy go zabili.

Przypomniałem sobie zgrozę w oczach Jenny, gdy opowiadała nam tę historię. Kobalosi pozbawili księcia głowy, a ją zalała fontanna gorącej krwi.

– Spróbuję, Tomie, ale ona myśli wyłącznie o sobie. Okropnie mnie drażni. Uważam, że popełniłeś błąd, przyjmując ją do terminu.

– Jest dzielna, Alice, i wiele ostatnio przeszła. Zresztą zgodziłem się ją uczyć, a co się stało, to się nie odstanie. Nie mogę jej teraz odprawić, to ja za nią odpowiadam. Mam nadzieję, że ją wyszkolę i że zostanie stracharzem.

Alice uśmiechnęła się.

– W takim razie postaram się ją tolerować. – Westchnęła i zerknęła w stronę okna. – Chodź, usiądźmy tam, Tomie. Chcę obejrzeć zachód słońca. Lubię wpatrywać się w gwiazdy i blask ognisk.

– Kiedyś nie sprawiało ci to takiej przyjemności. Gdy jeszcze nie byłaś...

– Gdy jeszcze nie byłam ziemną wiedźmą? – dokończyła Alice. Przytaknąłem.

– Zawsze ubóstwiałam wschody i zachody słońca, bez dwóch zdań. Ale teraz kocham je jeszcze bardziej. Czuję się wówczas bliższa ziemi. Uwielbiam jej rytmy: światło ustępujące miejsca ciemności, niewielkie zmiany pogody. Ziemia wydaje mi się żywa i może faktycznie żyje.

– Nie wiesz tego?

– Bardzo wielu rzeczy nie wiem, Tomie. Część mojej wiedzy to tylko instynkt, ale wciąż są w niej luki.

– Czy istnieją inne ziemne wiedźmy?

– W przyszłości może nas być więcej, Pan twierdzi, że jestem pierwsza. Ale dość pytań, Tomie, proszę. Chciałabym posiedzieć i popatrzeć. Przeszkadza ci to?

– Nie, Alice, nie przeszkadza. Jeśli tylko cię to cieszy... to dla mnie najważniejsze.

Usiadła na parapecie obok mnie i wzięła mnie za rękę.

Przez moment trwaliśmy tak w milczeniu, potem lekko ścisnęła mi palce.

– Pamiętasz, jak trzymaliśmy się za ręce tamtego wieczoru w drodze do Staumin?

Znów się uśmiechnąłem.

– Śnił mi się niedawno. W istocie ciągle o tobie śnię.

– A czy to miłe sny?

Przytaknąłem i uścisnąłem jej dłoń.

Gdy tylko to zrobiłem, Alice wstała.

Serce zakłuło mnie boleśnie. Obawiałem się już, że ją uraziłem i odejdzie, zamiast tego jednak usiadła mi na kolanie i zarzuciła ramiona na szyję. A potem mnie pocałowała powoli... i trwało to bardzo długo.

ROZDZIAŁ

25



WJLCZE MJĘSO

JENNY CALDER

Spodziewałam się, że podróż powrotna będzie ciężka i już na początku okazało się, że się nie myliłam. Opuściliśmy zamek parę godzin po brzasku, znacznie wcześniej niż planował Tom, bo z północy napływały już fale gęstego śniegu.

Tom i Alice jechali przodem obok siebie, ja zamykałam tyły. Od czasu przybycia Alice zauważyłam u Toma zmianę. Znacznie częściej się uśmiechał. Jej obecność wyraźnie go uszczęśliwiała, zdecydowanie też przedkładał ją nad moją.

Nadal pragnęłam zostać stracharzem, ale zastanawiałam się, czy nie byłoby lepiej, gdyby wyszkolił mnie ktoś inny. Kłopot w tym, że bardzo trudno znaleźć kogoś stosownego. Nie przepadałam za Juddem, pracującym na północ od Caster, wiedziałam też, że jest przeciwny szkoleniu dziewcząt. A co do drugiego stracharza, którego poznałam – niejakiego Johnsona – zniechęciłam się od pierwszej chwili. Johnson nienawidził czarownic, miał obsesję na ich punkcie. Podejrzewałam, że nie znosi większości kobiet.

Jechaliśmy na południe, więc przynajmniej śnieg nie sypał nam w twarz. Było jednak bardzo zimno i nawet pod podniesionym kapturem powoli odmarzały mi uszy.

Cieszyłam się, że wyruszyliśmy w drogę, ale zaczęłam mieć wątpliwości, czy nie zwlekaliśmy zbyt długo. Gdy zostawiliśmy za sobą las, otoczyła nas płaska, monotonna, ponura równina. Cienka warstwa śniegu pokrywała ziemię, zacierając ślady dro-

gi. Niebo było ciemnoszare i pełne śniegu. Wkrótce zaczną się tworzyć zasy. Lękałam się, iż trakt stanie się nieprzejezdny.

W jakiś sposób nie zboczyliśmy z niego – bez wątpienia pomogły w tym mroczne zdolności czarownicy. Ale dzień trwał krótko i wkrótce musieliśmy rozbić obóz. Przestało padać i kiedy Alice rozpałiła ognisko z wiązki drew, które zabraliśmy ze sobą, mogliśmy się napić gorącej ziołowej herbaty i zakąsić kawałkiem zimnej dziczyzny – gumiastej, ale całkiem smacznej.

Nasza trójka dzieliła wspólny namiot, a choć dobrze pamiętałam pomruki, warknięcia i zgrzytanie zębami wiedźmy zabójczynie, teraz żałowałam, że to nie ona nam towarzyszy. Moich uszu dobiegały inne, bardziej niepokojące dźwięki. Alice ułożyła swój koc bardzo blisko Toma i słyszałam, jak szepczą do siebie po ciemku. Raz zachichotała cicho, co mnie zaskoczyło: zwykle Alice chętniej się krzywiła, niż śmiała. W pewnym momencie wydało mi się, iż słyszę, jak się całują; musiałam zatkać dłońmi uszy. Minęło dużo czasu, nim w końcu zasnęłam.

Następnego ranka śnieg sypał jeszcze gęściej i ruszyliśmy w drogę bez śniadania. Zastanawiałem się, jak daleko na południe musimy dotrzeć, zanim pogoda się poprawi. Tom wspominał, że może to mieć coś wspólnego ze Starym Bogiem Golgothem, Władcą Zimy. To on mógł zsyłać śnieg i mróz na południe, by wspomóc atakujących Kobalosów. W takim wypadku być może nigdy nie uwolnimy się od niego. Ale przed południem zamienił się w mroźną mżawkę i wówczas urządziliśmy sobie godzinny popas.

Tym razem prócz pasków zimnej dziczyzny dostaliśmy przyrządzoną przez Alice zupę. Była mocno korzenna i przepyszna, tak gorąca, że ledwie zdołałam ją przełknąć. Rozgrzała mnie i natychmiast poprawił mi się humor.

Jednak nie trwało to długo. Rankiem jechaliśmy w milczeniu, teraz jednak Tom i Alice pograżyli się w rozmowie. Alice ożywiła się, wciąż się śmiała ze wszystkiego, co mówił. Chyba po prostu byłam zazdrosna: ze mną nikt nie rozmawiał, a oni wyraźnie świetnie się bawili.

Zacząłam zostawać w tyle: nie chciałam słuchać ich dyskusji. W pewnym momencie Tom odwrócił się i krzyknął na mnie, że-
bym przyspieszyła. Szturchnęłam konia piętami, ale po pięciu
minutach znów zaczęłam zostawać. Mimo mżawki wciąż prze-
cież ich widziałam.

I chyba na chwilę zasnęłam, bo nagle uniosłam wzrok i nie do-
strzegłam ani śladu towarzyszy. Na moment wpadłam w panikę,
popędziłam konia naprzód, ale wciąż ich nie widziałam. Wreszcie
ku swej uldze zobaczyłam, że czekają w oddali, Tom sprawiał
wrażenie rozgniewanego.

– Musisz dotrzymywać nam kroku, Jenny! – warknął, gdy się
zbliżyłam. – W tych warunkach z łatwością mogłabyś się zgubić,
a w każdej chwili mogą się jeszcze pogorszyć.

– Przepraszam – wymamrotałam, starając się unikać spojrze-
nia Alice. Nie wyglądała na zadowoloną.

Jechaliśmy dalej. Trzymałam się blisko, ale wkrótce znów za-
częli rozmowę przerywaną co jakiś czas śmiechem; byli całkowi-
cie zaabsorbowani sobą nawzajem. Powoli, krok za krokiem,
znowu zaczęłam zostawać w tyle.

To, co się wydarzyło potem, kompletnie mnie zaskoczyło. Po
lewej usłyszałam szelest i nagle uderzył we mnie wiatr tak silny,
że omal nie zdmuchnął z siodła. Podmuch przyniósł ze sobą
śnieg; po sekundzie marznąca mżawka zamieniła się w śnieżycę,
wir gęstych, białych płatków. Straciłam z oczu Toma i Alice, to-
też znów popędziłam konia, by do nich dołączyć. Spodziewałam
się, że zaczekają. W jakiś sposób jednak musiałam zjechać z dro-
gi, bo nie widziałam ani śladu towarzyszy i ogarnęła mnie pani-
ka. Próbowałam krzyczeć, lecz wiatr porывał mój głos.

Po kilku minutach pojęłam, że się zgubiłam. Usiłowałam za-
chować spokój, choć serce waliło mi w piersiach. Znajdą mnie,
rzekłam do siebie, Alice użyje swej magii. To dla niej łatwizna.

A potem zaczęłam się zastanawiać, czy rzeczywiście to zrobi.
Nie lubiła mnie i pewnie chętnie by się mnie pozbyła. Po co jej
kręcąca się po domu uczennica, gdy już dotrzemy do Chipenden?
Co, jeśli uda przed Tomem, że mnie szuka, a w istocie nie kiwnie
nawet palcem?

Wciąż krzyczałam, ale nikt nie odpowiadał. Nie wyglądało na
to, by śnieżycy miała ustąpić. Marzłam coraz bardziej, a jasne

niebo już przygasało. Czyżby robiło się ciemno? I wtedy wyobraźnia zaczęła płatać mi figle. Wydało mi się, że słyszę kogoś nadjeżdżającego z tyłu, kiedy jednak odwróciłam głowę, niczego nie zobaczyłam. Byłam przemarznięta do kości i senna, walczyłam z opadaniem powiek.

Jeszcze w Chipenden czułam, że między mną i Tomem powoli zadzierzga się więź. Bardzo lubiłam naukę u niego. Kiedy jednak tutaj wyruszyliśmy w drogę, wszystko się popsuło. Ostatnio czułam się bardzo samotna. Ale nigdy aż tak, jak w tej chwili. Zgubiłam się, zostałam sama. I bałam się.

Sytuacja i tak wyglądała paskudnie, ale wkrótce się pogorszyła: mój koń się potknął, wpadł w zaspę, a ja przeleciałam mu przez łeb. Wylądowałam w miękkim, głębokim śniegu – bez żadnych obrażeń, nawet nie zdyszana. Po prostu tam leżałam, zbyt zmęczona, by się ponieść. Miło było tak poleżeć; nie czułam już nawet zimna. Coś w głowie kazało mi wstać, ale nie miałam dość energii. Znacznie łatwiej było leżeć tam, gdzie upadłam. Powoli zapadałam w sen.

Teraz wiem, że zaśnięcie było najgorszą rzeczą, jaką mogłam uczynić. Mróz wysysał z mego ciała ciepło i życie i wywoływał senność. Możliwe, że już bym się nie ocknęła i umarła.

A jednak się obudziłam. Siedziałam oparta o przyzmę śniegu, przede mną płonęło ognisko, zalewając mnie jasnym, migotliwym ciepłem. Nad ogniem bulgotał kociołek: poczułam apetyczny zapach gulaszu. W pobliżu parskały konie.

Założyłam, że Tom i Alice mnie znaleźli; na myśl o czarownicy poczułam wyrzuty sumienia. I wtedy zauważyłam coś jeszcze prócz ogniska. Dopiero po chwili zrozumiałam, co to: wilczy łeb w kałuży krwi wsiąkającej w śnieg i lód. Obok ułożono paski czerwonego, surowego mięsa.

Nagle ktoś przykucnął, podparł mi dłonią tył głowy i przysunął do ust kubek.

– Pij i wydobrzej – rzekł głos.

Nie należał jednak do Toma – brzmiał dziwnie zgrzytliwie. Uniosłam głowę, krzyknęłam ze strachu i spróbowałam odpełznąć – mój towarzysz był Kobalosem.

Stwór miał na sobie długi czarny płaszcz, u boku nosił szablę. Zwierzęcą twarz golił w sposób, jaki już raz zdarzyło mi się oglą-

dać. Zrozumiałam, że to haizdan.

Jeszcze w Hrabstwie schwytał mnie jeden z owych magów, powiesił u sufitu za stopy i zaczął powoli odsączać krew. Czułam, jak opuszcza mnie życie, i byłam bliska śmierci, gdy Tom mnie uratował. Przeżycia owego dnia wciąż powracają w koszmarach. Trudno było odróżnić ową bestię od tej, która teraz pochylała się nade mną.

– Nie mam wobec ciebie złych zamiarów – oznajmił stwór. – Posłuchaj, zostawię tu kubek, nie musisz się bać.

Postawił go na ziemi, a potem wycofał się na drugą stronę ogniska i usiadł, krzyżując nogi.

Nawet nie drgnęłam, wkrótce jednak uświadomiłam sobie, że mag może mnie złapać, kiedy tylko zechce. Trzymanie się na odległość niczego nie zmieni. Popęzłam zatem naprzód, podniosłam kubek i zaczęłam popijać.

Cały czas przez płomienie wpatrywałam się w haizdana. Choć ręce porastało mu czarne futro, ogolona twarz o wydłużonej żuchwie i ostrych rysach przypominała wilka. W jego oczach dostrzegłam osobiwą mieszaninę rozbawienia i arogancji.

Raz jeszcze popatrzyłam na ostrą szablę, poplamioną zaschniętą krwią. Czyżby bestia zabiła nią wilka? Nagle w myślach powróciło straszliwe wspomnienie o tym, co spotkało księcia Kajlara. Znowu poczułam wylewającą się na mnie ciepłą krew, ujrzałam kikut szyi, znowu przywierałam do tułowia księcia. Zadrżałam na myśl, że stwór mnie także mógłby odciąć szablą głowę.

– Mam poważne powody, by się ciebie lękać – oznajmiłam drżącym głosem. – Nie chcę skończyć jako jedna z waszych niewolnic. Wpadłam już w ręce członka twojego ludu. Wyssał ze mnie tyle krwi, że byłam bliska śmierci.

– Szczerze mówiąc, sam chętnie napiłbym się odrobinę twojej krwi, dziecko. Czuję, jak kusząco pachnie. Ale jestem haizdanem i mimo pokusy potrafię nad sobą zapanować. Co do niewolnic, mam kilka – minimum wymagane naszym prawem. Nie chcę ich więcej. Prawo się zmieni, a ja pomogę do tego doprowadzić. Powtarzam, nie musisz się obawiać – wychrypiał stwór. – Pragnę jedynie pomówić z twym mistrzem, stracharzem zwanym Wardem, to wszystko. Mam mu do powiedzenia coś, co wam pomoże. Od dłuższego czasu idę za wami. Wiem, że jesteś jego uczennicą,

ale jak się nazywasz?

– Jenny – odparłam, pociągając kolejny łyk z kubka.

– Ja mam na imię Wijec – oznajmił. – Cóż, mała Jenny, jesteś głodna? W rondelku bulgocze mięso, jest soczyste i miękkie.

Imię Wijec zabrzmiało jakby znajomo. Gdzie ja je już słyszałam?

– To wilcze mięso? – spytałam, zerkając na łeb.

– Owszem, miękka, przepyszna wadera. Nie ma nic złego w jedzeniu wilków. W sprzyjających okolicznościach one też chętnie przekazują człowieka i Kobalosa. Czasami to my jesteśmy mięsem dla wilków, teraz nadeszła jego kolej. Może jednak spróbujesz?

Podszedł do bulgoczącego kociołka i zaczął przelewać gulasz do miski. Potem okrążył ognisko i postawił obiad na zaśnieżonej ziemi. Gdy wrócił na poprzednie miejsce, zrobiłam krok naprzód, podniosłam miskę i skosztowałam gulaszu. Wilcze mięso okazało się świetne.

Zaczęłam zgarniać je łyżką wprost do ust, ale zamarłam nerwowo, gdy Wijec podniósł się z ziemi – choć jedynie podszedł do wilczej głowy, podniósł jeden z surowych pasków i zaczął przeżuwać. Bardziej bestia niż człowiek, najwyraźniej lubił surowe mięsiwo. Ale póki jadł, był zajęty, więc ja także nie przerywałam posiłku.

I gdy tak patrzyłam, przypomniałam sobie, iż Grimalkin wspominała o Wijcu. Zetknęła się kiedyś z haizdanem o takim imieniu. Pomagał jej. Czyżby to był ten sam?

Kiedy napełniłam żołądek, od ciepła ognia zachciało mi się spać. Walczyłam, by nie zamykać oczu, nie podobał mi się pomysł bezwolnego snu w obecności haizdana. Głowa wciąż opadała mi na pierś, a ja podnosiłam ją gorączkowo, wkrótce jednak senność zwyciężyła.

Potem pamiętam, że wstawałam. Ktoś dmuchał mi delikatnie prosto w twarz – oddech miał ciepły, korzenny i miły. Nagle ugięły się pode mną kolana. Upadłabym, gdyby nie czyjaś ręka, podtrzymująca mnie w pasie.

Walczyłam, próbując otworzyć oczy, ale miałam wrażenie, jakby rzęsy spletały mi się ze sobą. Gdy w końcu je rozplątałam, ku swej zgrozie pojęłam, że patrzę prosto w oczy maga.

– Nie poczujesz bólu – wychrypiał. – Wypiję tylko łyżeczek twojej krwi, a potem zaśniesz. Rano nie będziesz nic pamiętać. Wówczas odstawię cię do twych towarzyszy.

Czułam się słaba i bezradna, nie mogłam nawet zaprotestować. Delikatnie odchylił mi głowę i ujrzałam jego zęby. Zbliżyły się do mojego gardła. Wówczas przypomniałam sobie coś, co Tom mówił mi o haizdanach.

Czerpali tylko odrobinę krwi, pozwalając ofiarom przeżyć. Mag haizdan był niczym rolnik – ludzi mieszkających w pobliżu traktował jak bydło i opiekował się nimi. Stanowili cenny dobytek: chciał pobierać od nich krew teraz i w przyszłości. Zdarza się jednak, że desperacka żądza krwi pokonuje zahamowania haizdana.

Czasem Kobalos wysysa ofiarę, póki nie stanie jej serce. Pamiętając o tym, poczułam gwałtowny lęk.

ROZDZIAŁ

24



NIGDZIE NIE JEST BEZPIECZNIE

JENNY CALDER

Nagle coś odrzuciło mnie do tyłu – nie tyle zetknę cię z czymś namacalnym, co ruch powietrza: potężny powiew wiatru. Zobaczyłam, że ktoś stoi pomiędzy mną i magiem.

– Trzymaj swe brudne łapska z dala od niej! – warknął gniewny kobiecy głos.

Wiedziałam, do kogo należy. To była Alice.

Uderzyła maga lewą dłonią, rozdzierając mu policzek paznokciami. Odskoczył z jękiem. Z pięciu głębokich zadrapań ściekała krew. Alice podeszła do mnie i ochronnym gestem objęła ramieniem.

– Oddychaj głęboko, Jenny. Nie masz się czego obawiać. Jeśli zaatakuje, stań za mną – wyszeptała.

I wtedy z ciemności wyłonił się Tom. Ruszył wprost na maga, unosząc w prawej dłoni Gwiazdną Klingę.

– Zabij go, Tomie! – rozkazała Alice.

Nagle zauważyłam, że mag nie dobył szabli. Czy to oznaczało, że nie chce walczyć? Że nie jest naszym wrogiem? Wspominał też, że ma coś ważnego do przekazania Tomowi.

– Nie! – zawołałam. – Mówił, że chce ci coś powiedzieć, coś, co nam się przyda. Nazywa się Wijec! To o nim opowiadała Grimalkin!

Tom zatrzymał się i lekko opuścił broń.

– Byłeś sojusznikiem Grimalkin – rzekł, robiąc kolejny krok w kierunku haizdana. – To czyni cię naszym przyjacielem. Jeśli

tak, czemu próbowałaś wyssać krew Jenny?

– Bo taka jest moja natura – wychrypiał Wijec. – Chciałem wypić tylko odrobinę. Nic by jej się nie stało. Zamierzałem bezpiecznie odprowadzić ją do was. Gdyby nie ja, już by nie żyła; znalazłem ją nieprzytomną w śniegu.

– Zgadza się – potwierdziłam. – Spadłam z konia i nie miałam siły wstać. Zasnęłam.

– Porozmawiajmy z nim – wtrąciła Alice. – Przekonajmy się, co ma nam do powiedzenia...

Usiedliśmy naprzeciwko siebie przy ognisku. Ja sama zajęłam miejsce pomiędzy Tomem i Alice.

– Możecie się poczęstować zawartością kociołka – rzucił Wijec. – To dobre mięso, świeżo zabite i przyrządzone.

– Wilcze – dodałam. – Bardzo smaczne, ale tuż po jedzeniu znów zachciało mi się spać. Może coś do niego dodał.

– Zasnęłaś, bo byłaś zmęczona, mała Jenny. Mięso jest dobre, jedzcie albo nie, decyzja należy do was – odparł Wijec.

Zauważyłam, że zadrapania na policzku zaschły już w pięć cienkich strupów. Ciekawe, czy rany kobaloskich magów goją się szybciej niż u ludzi.

Tom przez chwilę wpatrywał się w niego poprzez płomienie.

– Czemu tu przybyłeś? Co chcesz mi powiedzieć? – spytał w końcu.

– Rozmawiałeś z Abuskaiem, nieżyjącym magiem uwięzionym w wieży. Opowiedział ci, że wśród naszego ludu istnieją grupy przeciwne obecnemu reżimowi, czyż nie? Skapieni to tajna grupa Kobalosów działająca w Valkarky i przeciwna handlowi purrai. Ich liczba rośnie. Moja magia haizdana pozwala mi rozmawiać z martwym magiem i kontaktować się z podobnymi grupami. Prosiłeś, by porozumiał się z przeciwnikami Triumwiratu, nieprawdaż?

Tom przytaknął.

Wijec oblizał wargi długim językiem.

– Ja jestem twoim kontaktem. Ponieważ Triumwirat chce pozabijać wszystkich haizdanów, jego członkowie stali się naszymi

wrogami. To czyni z nas sprzymierzeńców. – Skinieniem głowy wskazał kolejno każde z nas. Dyszał jak pies, choć po prawdzie bardziej przypominał wilka. Gdy skierował na mnie wzrok, wzdrygnęłam się lekko.

– Lenklewth nie żyje. Czy to cokolwiek zmieni? – chciał wiedzieć Tom. – Czy Triumwirat zmieni się, gdy go zastąpią? Abuskai tak nie uważał.

– Zgadza się z nieżyjącym magiem, mój mały człowieku – odrzekł Wijec. – Każdego z członków wybiera się z grupy wysokich magów. Większość z nich marzy o tym samym: o podbojach i ekspansji. O ile wiem, tylko Abuskai myślał inaczej. Porozumiewam się z nim od dłuższego czasu: jak mówiłem, to on łączy mnie z innymi grupami dysydentów.

– Czy staniecie do walki z własnym ludem? – zainteresował się Tom.

– Już to uczyniłem. Wśród tych, których zabiłem, byli Shaikowie. Oni nigdy nie zapominają. Nawet teraz polują na mnie. Ciebie też skazali na śmierć, z powodu Shaiksy, którego pokonałeś. Grimalkin również jest celem. I chcą zabić tę małą czarownicę – pokazał palcem Alice. – Ale my, haizdani, nie działamy w ten sposób. Potrafimy zapomnieć o przeszłości. Wiem, że w swojej ojczyźnie zabiliście jednego z naszych, ale nie szukam zemsty. Co się stało, to się nie odstanie.

Tom wzruszył ramionami.

– Właśnie miał zabić Jenny, chciał też zamordować mnie. Zrobiłem to, co musiałem.

– Miałeś prawo go usunąć, kierowałaś się regułami obowiązującymi w twoim kraju. – Mag przyglądał się Tomowi, jego oczy lśniły inteligencją. – On natomiast nie miał prawa bezsensownie zabijać purrai. Zanim go odnalazłeś, zamordował trzy. Dobry haizdan dba o swoje ludzkie stado. Jeśli ktoś z niego umiera, to zwykle przypadkiem. Ten, którego zabiłeś, był jeszcze młody; zaczął dopiero trzeci rok nowicjatu. Można mu wybaczyć.

– W takim razie dlaczego przybył do Hrabstwa sam, skoro nie ukończył szkolenia? – Alice odezwała się po raz pierwszy.

– Uciekał z ojczystego kraju – wyjaśnił Wijec. – Agenci Triumwiratu polują na nas, haizdanów, i eksterminują. Nie podoba im się nasza niezależność. Działamy z dala od Valkarky, nie mogą

nad nami zapanować. A to, nad czym nie panują, zabijają.

– Wspominałeś, że chcesz coś powiedzieć Tomowi – przypomniała Alice. – Jesteś naszym kontaktem i sojusznikiem, ale masz coś jeszcze, prawda?

Wijec oblizał wargi.

– Armie kobaloskie przeprowiły się już przez Shannę; w tej chwili ludzie wycofują się w pośpiechu. Powolny marsz w głąb waszych terytoriów potrwa wiele miesięcy, przez całą zimę. Ale Triumwirat uderzy przed frontem bitewnym, szybko i bez ostrzeżenia, wykorzystując miejsce pomiędzy światami. Nigdzie nie jest bezpiecznie, a ty stanowisz pierwszy cel! – Pokazał palcem Toma. – Zabiłeś Shaikse i poprowadziłeś ludzką armię na ich ziemie. Zabiłeś też członka Triumwiratu. Widzą w tobie zagrożenie, które muszą wyeliminować. Najadą twoją ojczyznę, byle tylko zabić ciebie i wymordować twój lud.

Przez chwilę wszyscy milczeli, Alice jedynie sięgnęła przeze mnie i uścisnęła dłoń Toma.

Gdy ten w końcu się odezwał, jego słowa zmroziły mnie do szpiku kości.

– Może nie powinienem wracać do Hrabstwa? Wówczas ruszą za mną i nikt inny nie ucierpi.

– Nie zdołasz się ukryć przed Triumwiratem. Znajdą cię, dokądkolwiek się udasz. Ale Hrabstwa w ten sposób nie ocalisz. To także ojczyzna Grimalkin, którą przecież pragną zniszczyć. I twoja. – Wijec skinął na Alice. – Słyszeli o mocy czarownic z Pendle, więc je zaatakują. Chcą podbić cały świat i zawładnąć nim, ale pierwszy cel stanowi Hrabstwo.

– Wiesz, kiedy i jak uderzą? Użyją wojska czy magów? – wtrącił Tom.

– Spróbuję się dowiedzieć – odparł Wijec. – Jeśli mi się uda, ostrzegę Grimalkin, ona z kolei skontaktuje się z tobą poprzez tę małą wiedźmę.

Tom opowiadał mi, że czarownice porozumiewają się za pomocą luster. W taki właśnie sposób Grimalkin miała zawiadomić Alice, na kiedy Kobalosi planują swój atak. Wcale mi się to nie podobało – nie tylko sprzymierzyliśmy się z czarownicami, ale teraz najwyraźniej mieliśmy również współpracować z bestią. Wiedziałam, że nauka u stracharza oznacza niebezpieczeństwo,

ale czegoś takiego nie przewidziałam!

– Spytam ponownie, mali ludzie, poczęstujecie się gulaszem? Inaczej się zmarnuje.

– Tak – odrzekł Tom. – Chętnie skosztuję gulaszu.

Mag odwrócił się i pogrzebał w torbie. Wówczas po raz pierwszy ujrzałam jego ogon: porośnięty włosiem i uniesiony niemal do ramion, wystawał z rozcięcia z tyłu czarnego płaszcza. Wijec podał Tomowi i Alice dwie miski.

Powróciłam do mrocznych rozmyślań. Wcześniej zakładałam, że wracamy do względnie bezpiecznego Hrabstwa. Niemal wmówiłam sobie, że obawy Grimalkin są nieuzasadnione, że Kobalosi nie pokonają ludzkich armii. Miałam nadzieję, że będziemy bezpieczni i że będę mogła kontynuować naukę.

Jednak w chwili, gdy nad rzeką Tom Ward pokonał i zabił Shaikse, stał się celem innych członków ich bractwa. Następnie poprowadził atak na drugi brzeg Shanny. Magowie kobalosczy wiedzieli o tym, zwłaszcza Triumwirat.

W końcu dotarła do mnie straszna prawda. Tom nigdy nie będzie bezpieczny. Wojna przybędzie do nas – i to znacznie szybciej, niż ktokolwiek oczekiwał.

ROZDZIAŁ

27



TRUP W WORKU

THOMAS WARD

Wróciliśmy do Hrabstwa. Nie tylko Jenny ucieszyła się z powrotu. Ów stary dom, otoczony ogrodem bronionym przez bogina, miał w sobie coś dodającego otuchy. Zapomniałem też, jak świetne śniadania przyrządzał nasz bogin. Pierwszego ranka boczek wysmażył idealnie!

Jak na początek października było jeszcze całkiem ciepło, a słońce wciąż przygrzewało. Lodowe tchnienie Golgotha nie dotarło tak daleko na południe.

Jenny z radością podjęła przerwana naukę, nie mieliśmy jednak zbyt wiele czasu na kopanie dołów w ogrodzie czy rzuty srebrnym łańcuchem na słupek. Nawet zajęcia teoretyczne odbywaliśmy z rzadka. Musieliśmy przecież załatwić wszystkie zlecenia z czasu naszej nieobecności. Rzadko zdarzał się dzień, kiedy dzwon na rozstajach wśród wierzb milczał. Jenny bardzo szybko zyskiwała bogate doświadczenie w pracy stracharza.

A przez cały ten czas zagrożenie narastało. Zbliżało się ku nam niczym czarne chmury zimowego sztormu.

Bardzo chciałem odwiedzić farmę, na której kiedyś mieszkałem, i zobaczyć się z braćmi, żoną Jacka, Ellie, i ich dziećmi, ale byłem zbyt zajęty. Przede wszystkim miałem obowiązek chronić ludzi przed Mrokiem. Rodzina musiała poczekać. Wysłałem jednak list do Judda, zamieszkałego we młynie na północ od Caster. Podziękowałem mu za to, że miał oko na dom w Chipenden i pod moją nieobecność zajął się częścią spraw. Przekazałem mu także

najnowsze informacje na temat Kobalosów.

Całe dni wypełniała mi praca, nie miałem czasu na rozmyślenia o przyszłości. Nocami jednak z trudem zasypiałem, wciąż kręciłem się i wierciłem w łóżku, próbując odgadnąć, kiedy i jak uderzy nieprzyjaciel.

W całej tej sytuacji jedynym promykiem światła pozostawała Alice. Jak dobrze było znów mieszkać z nią w domu w Chipenden! Sama jej obecność rozjaśniała każdy dzień. Zdołałem zapomnieć o wcześniejszych wątpliwościach. Przeszłość była, minęła, nie ma sensu się nad nią rozwodzić. Byliśmy szczęśliwi razem i przyszłość zapowiadała się wspaniale.

Grimalkin wciąż się nie odzywała. Liczyłem, że nawiąże kontakt z Alice, ale bez wątpienia groziło jej śmiertelne niebezpieczeństwo – próbowała przecież powstrzymać wroga. Może nawet już nie żyła, zabita przez prącą na południe potężną kobaloską armię?

Pewnego ranka na rozstaje z pilną wiadomością przybył chłopak z wioski Leśne Plumpton. Podobni posłańcy zazwyczaj nie znosili uderzać w dzwon i spotykać się ze stracharzem w mroku pod wierzbami. Czasami słowa więzły im w gardle, czasem wyrzucali z siebie wiadomość tak szybko, że niczego z niej nie rozumiałem i musiałem prosić, żeby powtórzyli.

Kiedy zjawiliśmy się z Jenny na rozstajach, piegowaty chłopiec nawet się nie przywitał ani nie przedstawił. Po prostu podał mi kopertę.

– To od mojej mamy – oznajmił.

Zaadresowano ją do Thomasa J. Warda, stracharza z Chipenden.

Rozdarłem kopertę i odczytałem tkwiący w środku list.

*Szanowny panie Ward,
zatrzymano mnie pod zarzutem zamordowania męża. Jest z niego martwy trup i nie żałuję, bo był porywczym brutalem i uprzykrzał mi całe życie. Ale ja go nie zabiłam – zginął w sposób cuchnący mroczną magią. Dlatego oskarżają mnie również o czary. Proszę przybyć jak najszybciej do Leśnego Plumpton, bo zamierzają mnie spalić na stosie. Przekona się pan, że nie jestem wiedźmą, a pańska opinia stracharza wyszkolonego przez Johna*

Gregory'ego pomoże mnie uwolnić. Pański mistrz cieszył się tu wielkim szacunkiem.

*Z poważaniem,
Annabelle Grayson*

– Zaczekaj tu, chłopcze – poleciłem. – Musimy wrócić do domu zabrać kilka rzeczy, ale nim minie godzina, ruszymy pomóc twojej mamie.

Często towarzyszyłem mistrzowi, gdy zajmował się podobnymi sprawami. Dla takich osób wymyślono nawet osobną, czwartą kategorię czarownic: „fałszywie pomówione”. Miałem nadzieję, że nauczyłem się dosyć, by móc je rozpoznać. Musiałem też pamiętać, że i Jenny powinna móc sobie poradzić w podobnych sytuacjach.

Kiedy wróciliśmy do domu, wręczyłem jej list i zaczęła czytać.

Usłyszałem dobiegający z wysoka donośny klangor – nad naszymi głowami przeleciał klucz dzikich gęsi. Zmierzały na zachód w stronę morskich bagien; migrowały tu z północy i zostawały w Hrabstwie aż do wiosny. W tym roku zjawily się miesiące za wcześnie: kolejny znak, że szybko nadciągała zima.

Kiedy nadejdzie, mroczne mroźne miesiące przyniosą ze sobą nowe niebezpieczeństwo – zagrożenie ze strony Golgotha. Jeśli Kobalosi zwyciężą, ta zima może nigdy już się nie skończyć. Na świecie zapanują głód i śmierć.

– Potrafisz stwierdzić, czy to czarownica, czy nie? – spytała Jenny, oddając mi liścik.

– Kiedy przebywam w pobliżu istot z Mroku, czuję zimny dreszcz. Ty chyba też?

Przytaknęła z powątpiewaniem, jakby bała się przyznać, że tak nie jest. Nie wadziło mi to, wiedziałem, że dysponuje innymi darami.

– Cóż, to jeden sposób sprawdzenia, czy mamy do czynienia z czarownicą – ciągnąłem. – Ale nie jest stuprocentowo pewny. Zdarzało mi się spotkać czarownicę i nie czuć ostrzegawczego zimna. Przepytały ją zatem i spróbujemy odkryć prawdę.

Zawsze staram się zachować otwarty umysł. Najpewniej w istocie fałszywie ją pomówiono – choć możliwe też, że naprawdę była wiedźmą i napisała list, usiłując mnie oszukać i ocalić skórę.

– Czy kiedy jesteś blisko Alice, czujesz ów chłód? – spytała Jenny.

Jej pytanie mnie zaskoczyło.

– Nie – przyznałem. – Może dlatego, że znałem ją, nim została wiedźmą. Możliwe też, że wiąże się to z faktem, iż jest wiedźmą ziemną.

– Wiedźmą ziemną? Wcześniej o tym nie wspominałeś. Miałeś mnie uczyć o takich rzeczach!

– Nie mogę cię uczyć o ziemnych wiedźmach, bo są dla mnie czymś nowym. Mój własny mistrz nie wspominał mi o nich. Z tego, co wiem, do czasu, kiedy Alice nią została, po prostu nie istniały. Wiem tylko, iż wykorzystuje moce ziemi i współpracuje z Panem. Różni się to od korzystania z pobratymca bądź używania magii kości albo krwi.

– Ja też nie mam przy niej żadnych złych przeczuc – dodała Jenny. – Może jest dość silna, by się osłonić?

Widziałem wyraźnie, że próbuje podważyć pozycję Alice, więc nawet nie zaszczyciłem jej słów odpowiedzią.

Zabrałem laskę, torbę i zapasy na drogę. Na kuchennym stole znalazłem liścik. Był bardzo krótki.

Uważaj na siebie, Tomie.

Skontaktowałam się z Grimalkin przez lustro: jak dotąd nic jej nie jest, ale połowa armii nie żyje bądź odniosła rany. Czeka ich wielka bitwa, nie mogą jej przegrać. Grimalkin potrzebuje magicznego wsparcia. Chce, żebym pomówiła z czarownicami, więc ruszam do Pendle. Wrócę za parę dni.

Będę tęsknić,

Alice

Złożyłem liścik i schowałem do kieszeni. Oto kolejny powód do obaw. Pendle to niebezpieczne miejsce, trzy główne klany czarownic często ścierały się ze sobą. Wiedźmy mogą też przyjąć prośbę Grimalkin o pomoc albo obecność Alice niezbyt życzliwie. Obie miały tam przyjaciół, ale też i wrogów. Pociężyłem się myślą, że Alice włada potężną magią i potrafi o siebie zadbać.

Poprowadziłem Jenny z powrotem na rozstaje, gdzie czekał na nas chłopak.

– Jak masz na imię? – spytałem go.

– Josh – odparł.

– Cóż, Joshu, mam nadzieję, że umiesz szybko chodzić. Musimy jak najszybciej wrócić tam, skąd przybyłeś. Przykro mi z powodu twojego taty, ale jeśli pomaszerujemy prędko, pomożemy mamie. Zrozumiałeś?

Przytaknął i ruszyliśmy w drogę do Leśnego Plumpton. To niewielka wioska na północ od Priestown, zwykle sioło; odwiedzałem ją parę razy z mistrzem. Narzuciłem szybkie tempo: musieliśmy dotrzeć na miejsce, zanim spalą matkę Josha na stosie.

Do celu dotarliśmy późnym popołudniem. Josh przeprowadził nas przez cmentarz do domu konstabla z parafii, urzędnika, który aresztował mu matkę.

Patronką tutejszego kościoła była święta Anna. Kiedyś wezwano tu Johna Gregory'ego, by podjął pewną decyzję. Pokazałem ręką głaz stojący za rzędami grobów.

– Widzisz go? – spytałem Jenny.

– Stoi na grobie! – wykrzyknęła zaskoczona.

– Spoczywa tu czarownica – wyjaśniłem. – Pogrzebano ją głową w dół, by jeśli spróbuje wydostać się na powierzchnię, zagrzebała się jeszcze głębiej. Głaz ma odciąć jej drogę na wypadek, gdyby zdołała się obrócić. W Chipenden używamy do tego metalowych prętów, ale kamień jest tańszy. Przybyłem tu kiedyś z Johnem Gregorym, aby zbadać ów grób: miejscowi chcieli wiedzieć, czy została bezpiecznie uwięziona. Mój mistrz zapewnił, że owszem i że to bardzo słaba martwa czarownica. Już im nie zagrażała.

– A ile martwych czarownic zachowuje siły i wciąż jest niebezpiecznych? – zainteresowała się Jenny.

– Może jedna na dwadzieścia... Większość tych z Pendle znajdziesz w Wiedźmim Jarze. Pełzają tam w mroku, jedzą ślimaki, robaki, od czasu do czasu myszy czy szczury. Zwykle można tam spotkać zaledwie parę naprawdę silnych czarownic, przez nie jednak jar to bardzo niebezpieczne miejsce. Umieją biegać szybciej niż ludzie, a kiedy kogoś złapią, wysysają krew, a potem rozszarpują ciało na strzępy.

Jenny zadrżała.

– Właśnie dlatego stracharze z Chipenden zawsze sprowadzali najpotężniejsze wiedźmy do ogrodu i zabezpieczali groby prętami.

Wkrótce stukałem już do drzwi domu konstabla.

Spodziewałem się ujrzeć nadętego, pompatycznego durnia – wedle mojego doświadczenia praca ta przyciągała świętoszków i brutali – lecz człowiek, który mnie powitał, uśmiechał się przyjaźnie i był wyraźnie wykuty z innego kruszcu.

– Pan Ward? Jestem konstabl Baxton. Pani Grayson przebywa w celi, ale zanim z nią pan pomówi, chciałbym pokazać panu ciało jej męża.

– Zgoda – rzekłem, kiedy jednak odwrócił się, żeby poprowadzić nas wokół domu, zmarszczył brwi.

– Tylko pan, panie Ward. Przykro mi, ale nie sądzę, by chłopiec bądź dziewczyna powinni to oglądać...

– Zgadzam się co do młodego Josha, konstablu, natomiast Jenny to moja uczennica i musi to zobaczyć. Wybraliśmy sobie niełatwy fach. Czasem wiąże się z oglądaniem strasznych rzeczy. Przywyknięcie do nich jest częścią jej terminu.

Przytaknął z ponurą miną.

– Decyzja należy do pana, muszę jednak ostrzec, że to najgorsza rzecz, jaką zdarzyło mi się oglądać.

Josh został przed domem, my z Jenny podążyliśmy za konstablem do dużej szopy na tyłach. Baxton zapalił lampę, otworzył drzwi i wprowadził nas w mrok. Gdy tylko przekroczyliśmy próg, nozdrza uderzył mi smród śmierci. Usłyszałem brzęczenie much.

Na podłodze leżał duży, jutowy worek, związany kawałkiem sznurka. Pełzały po nim wielkie muchy mięsne. Krew przesiąknęła przez materiał, tworząc suchą, czerwoną kałużę na ziemi.

– Oto i trup – oznajmił konstabl. – Proszę spokojnie się przyrzec. Ja nie muszę znów na to patrzeć. Kiedy zbadacie zawartość, nadejdzie kolej grabarza – ma się tu zjawić za godzinę.

Wręczył mi lampę, a ja podałem ją Jenny. Ruszyliśmy oboje naprzód. Rozwiązałem sznurek. Spłoszone muchy zawisły nad workiem, tworząc brzęczącą chmurę. Ohydny smród budził mdłości, żołądek podszedł mi do gardła.

– Unieś lampę wysoko, Jenny – poleciłem, zagładając do środka.

Chwilę później musiałem odwrócić się, by zwymiotować. Worek po wręby wypełniały strzępy ciała i kości – niektóre nie większe od paznokcia.

ROZDZIAŁ

28



OBJETNICA

THOMAS WARD

Jenny także zwymiotowała, więc odebrałem jej lampę i kazałem wyjść na dwór. Gdy już zapanowałem nad żołądkiem, raz jeszcze przyjrzałem się szczątkom zabitego, po czym zawiązałem sznurek. Następnie wyszedłem pomówić z konstabłem.

– Miał pan rację, trudno wyobrazić sobie coś gorszego, ale oboje musieliśmy to sprawdzić. Pokaże mi pan teraz, gdzie on zginął? – poprosiłem.

Skinął głową.

– Tam, nad stawem.

Ruszyliśmy za nim przez ogród.

– To mroczna magia go zabiła, prawda? – spytał konstabl. – Zeszłej nocy przypadał nów, słyszałem, że wówczas magia ma największą moc. Co innego mogło w ten sposób zabić człowieka? Nic naturalnego nie posiekałoby go na takie kawałeczki. A te odłamki kości – jak ktokolwiek mógłby zrobić coś podobnego? Nie było go zaledwie kilka godzin.

Nie odpowiedziałem, zobaczyłem bowiem, że zbliżamy się do niewielkiego stawu. Otaczała go czarna, martwa trawa. Tak samo wyglądały trzciny na pobliskim brzegu. Zdawało się, że wszystko zostało spalone; po powierzchni wody pływały do góry brzuchami martwe ryby.

– To jest to miejsce? – spytałem.

Konstabl wskazał ręką punkt tuż nad wodą. Martwą trawę pokrywał tu śluz – i odłamki kości, nie większe od ścinków pa-

znokci.

Jenny spojrzała na nie wielkimi oczami. Sprawiała wrażenie przerażonej.

– Co tu robił pan Grayson?

– Straszliwie pokłócił się z żoną. Żarli się jak pies z kotem, całymi rankami, popołudniami i wieczorami. Czasami przychodził tu, by ochłonać po wszystkim. Chyba wiedźma w końcu miała go dosyć – pewnie od lat zbierała moce, by to zrobić. Zawsze zdawała mi się raczej miła, ale gniew pchnął ją do złego i rozerwała go na kawałki!

Pokręciłem przecząco głową.

– Anabelle Grayson prawie na pewno nie jest czarownicą – oznajmiłem. – Ona tego nie zrobiła. Pomówię z nią później, by się upewnić, wierzę jednak, że coś innego zabiło jej męża: niezwykle potężna istota z Mroku. Na razie nie musicie się martwić. Wszyscy tutaj są bezpieczni. Ów stwór nie wróci – skłamałem.

– Co to było, ognisty demon? – zdumiał się konstabl.

Pokiwałem głową.

– Coś podobnego, należy do bardzo rzadkich istot. Pan Grayson miał pecha. Po prostu znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze – dodałem, znów kłamiąc.

Jenny dostrzegła moje spojrzenie, widziałem zdumienie na jej twarzy. Już miała coś powiedzieć, ale szybko zmarszczyłem brwi, a ona hardo zacisnęła wargi. Uznałem, iż nie ma sensu niepotrzebnie martwić konstabla prawdą: że to coś znacznie gorszego od demona i że może wrócić w każdej chwili.

Nikt z nas nie był bezpieczny. Groza zawisała nad całym Hrabstwem.

Wraz z Jenny pomówiliśmy z panią Grayson. Nie poczułem ostrzegawczego chłodu, wydała mi się kobietą życzliwą, choć nieco zgorzkniałą. Poinformowałem konstabla, że żadna z niej wiedźma, więc natychmiast ją zwolnił. Przynajmniej jedna dobra rzecz wyniknęła z tej sprawy – Josh padł w ramiona mamie i razem wrócili do domu.

Nie zdążylibyśmy dotrzeć do Chipenden przed zmrokiem, więc na skraju niewielkiego lasu rozbiliśmy z Jenny obóz i rozpaliliśmy ognisko.

– Co byś wolała? – spytałem, choć z góry wiedziałem, co odpowie. – Kruchy ser czy soczystego królika?

Skrzywiła się.

– Nie cierpię sera! Zawsze zagłosuję na królika!

Złapaliśmy więc parę sztuk i wkrótce piekły się nad ogniskiem. Zapadła już ciemność, w powietrzu czułem ziąb.

– Myślisz, że jedzenie sera przed walką z Mrokiem pomaga? – zaciekawiała się Jenny.

– Mój mistrz tak uważał, ale nie sprawia tego sam ser. Po prostu lepiej stawić czoło Mrokowi z pustym, a nie z pełnym żołądkiem. Ale wciąż potrzebujemy odrobiny pożywienia, by nie stracić sił. Stąd właśnie ser. John Gregory przejął ten nawyk od swego własnego mistrza. Uwielbiał nasz kruchy ser z Hrabstwa.

– Myślisz, że są gotowe? – Jenny skinieniem wskazała króliki. – Konam z głodu!

Po chwili zajadaliśmy już kolację, a przepyszny sok ściekał nam po brodach.

– Zatrzymasz mnie do końca terminu, prawda? – zapytała, na moment przerywając posiłek i patrząc na mnie.

– Oczywiście, że tak. Dopóki będziesz zachowywać się przyzwoicie i jeśli okiełznasz swoją bezczelność!

– Po prostu teraz, gdy Alice mieszka z nami, może zabraknąć dla mnie miejsca.

– Dom jest duży, miejsca wystarczy dla wszystkich – oznajmiłem. – Mamy kilka zapasowych sypialni, to nie problem.

– Ale nie chodzi tylko o to – ciągnęła. – Alice mnie nie lubi.

– Wmawiasz sobie, Jenny.

Wiedziałem, że nie mówię prawdy, ale w jakiś sposób musiałem sprawić, by zmieniły o sobie zdanie.

– W końcu uratowała cię przed Wijcem – przypomniałem.

Przytaknęła.

– Dzięki temu myślę o niej cieplej, ale przecież w takiej sytuacji ocalałaby każdego... Czy obiecasz mi jedno, mistrzu?

– Właśnie pierwszy raz nazwałaś mnie mistrzem! – Roześmiałem się. – Drwisz sobie ze mnie?

– Nie, mówię śmiertelnie poważnie. Nazwałam cię mistrzem, bo chcę, żebyś zapamiętał tę chwilę, chcę, żebyś zapamiętał obietnicę, którą mi złożysz.

Jej ton zirytował mnie, podobnie jak fakt, że znów zaczynała się rządzić. Ale jednocześnie dostrzegłem w jej oczach szczerą prośbę. Wyraźnie bardzo jej na czymś zależało, więc opanowałem rozdrażnienie.

– W takim razie powiedz, co mam ci obiecać.

– Jeśli Alice poprosi, żebyś się mnie pozbył, chcę, żebyś odmówił. Obiecujesz?

– Łatwo mi to przyrzec – rzekłem. – Po pierwsze, Alice nigdy tego nie zażąda. Po drugie, gdyby nawet, odmówiłbym. Jesteś moją uczennicą, mam wobec ciebie zobowiązania i muszę dobrze cię wyszkolić, abyś mogła pracować jako stracharz. Nikt i nic tego nie zmieni, więc przestań zawracać sobie tym głowę. Przyrzekam!

Dalej jedliśmy w milczeniu. W końcu Jenny uśmiechnęła się do mnie nieśmiało. Sprawiała wrażenie znacznie radośniejszej, więc ucieszyłem się, że zdołałem ją uspokoić.

– Nie wiedziałam, że w ogóle istnieją ogniste demony – przyznała nagle.

– Och, i to sporo różnych odmian. Widziałem je w Grecji, kiedy wybraliśmy się tam z mistrzem. Ale po prawdzie to nie ognisty demon zabił pana Graysona. Demony te nie występują w Hrabstwie, klimat jest dla nich za mokry.

– Dlaczego więc okłamałeś konstabla?

– Dla jego dobra, by dodać otuchy jemu i wszystkim mieszkańcom Leśnego Plumpton. Prawda jest znacznie straszniejsza. Jestem jednak stracharzem, a ty moją uczennicą, musimy stawić jej czoło, nie zważając na strach.

– Co więc posiekało go na kawałki i wypaliło trawę nad stawem?

– Trawa nie została spalona, lecz wystawiona na działanie potężnego mrozu. Cały staw zapewne zamrzł w mgnieniu oka, to właśnie zabiło ryby. Pan Grayson zginął z ręki jednego ze Starzych Bogów. Rozpadł się na kawałeczki, strzaskany przez Golgotha.

ROZDZIAŁ

29



BÓG RZEŹNIK

THOMAS WARD

Skąd pewność, że to Golgoth? – zdumiała się Jenny.

– Po tym, co zobaczyłem w worku, jestem niemal pewien. Bo widzisz, pod koniec pierwszego roku terminu u Johna Gregory’ego stanąłem oko w oko z Golgothem w starożytnym kurhanie na moczarach Anglezarke.

– Czy to tam twój mistrz miał zimowy dom, o którym mi opowiadałeś? – wtrąciła Jenny.

Przytaknąłem.

– Owszem, tam też spędziłem pierwszą zimę mojego terminu. Golgotha wezwał wówczas na ziemię jeden z byłych uczniów Johna Gregory’ego, niejaki Morgan, który przeszedł na stronę Mroku. Morgan chciał zostać potężnym magiem, przywołał więc Golgotha, by poznać od niego tajemnice mrocznej magii. Kiedyś opowiem ci całą historię – albo dam do przeczytania notatnik – ale na razie wystarczy rzec, że Morganowi się nie udało i Golgoth poraził go falą przejmującego mrozu. W jednej sekundzie nieszczęśnik zamarznął, a potem rozpadł się na tysiące kawałków.

Wielu nazywa Golgotha Władcą Zimy, ma on też jednak inne miano, nie aż tak dobrze znane, przekazywane w Hrabstwie z pokolenia na pokolenie. Nazywają go Bogiem Rzeźnikiem ze względu na wygląd jego ofiar: przypominają szczątki zmiecione z podłogi w jatce. Golgoth chciał zostać na ziemi i spustoszyć Hrabstwo, nie udało mu się jednak i musiał wrócić w Mrok. Trochę to trwało, zanim zdołałem uciec spod kurhanu; do tego czasu

szczałki Morgana zaczęły już się topić. Wyglądały identycznie jak zawartość tamtego worka. Więc owszem, jestem niemal pewien, że to dzieło Golgotha.

– Ale dlaczego zrobił to panu Graysonowi? – dziwiła się Jenny.
– Czemu akurat jemu?

Wzruszyłem ramionami.

– Zapewne przypadkowa ofiara. Golgoth sprzymierzył się teraz z bogiem Kobalosów Talkusem i, jak ostrzegał Wijec, nasi wrogowie zaczynają zapuszczać się w głąb Hrabstwa. Wiedzieli, że jako główny stracharz przybędę zbadać sprawę. Zatem to wiadomość dla mnie: ostrzeżenie przed tym, co nastąpi. Golgoth ma powody mnie nienawidzić i Hrabstwa także. To miejsce, w którym Mrok wiele razy poniósł klęskę. Mór, potężna demoniczna istota, został zniszczony w Priestown. Morwena, najsilniejsza z wodnych wiedźm, zginęła na północ od Caster. A Siscoi, bóg wampirów, został zabity tuż za granicą Hrabstwa. Istoty Mroku nie raz przegrały, bez wątpienia chcą się za to zemścić.

– Czy Golgoth mógłby uderzyć w nas tu i teraz?

Nie było sensu ukrywać ponurej prawdy. Jenny jako moja uczennica zasługiwała, by poznać wszystkie fakty – przynajmniej te, o których sam wiedziałem.

– Owszem, teoretycznie mógłby. Skoro raz wtargnął do Hrabstwa, może to pewnie powtórzyć. Rzecz w tym, iż nie wiem, jak zdołał przedostać się do naszego świata. Morgan przywołał go zaklęciem z *grimoire'u* – księgi czarów. Raz wezwany, mógł swobodnie pozostać na ziemi, siać zamęt, sprowadzić nową epokę lodowcową. Ludzie ginęliby z głodu albo z konieczności znów chroniliby się w jaskiniach. Ale Golgoth zmaterializował się wewnątrz pentagramu, z którego nie mógł uciec, i musiał powrócić w Mrok.

Istniał tylko jeden egzemplarz owego *grimoire'u* i został zniszczony. To oznacza, że Golgotha nie wezwano z terenu Hrabstwa, w przeciwnym razie wciąż by tu był. Może kobaloscycy magowie umożliwili mu krótką wizytę? A może przyłożył do tego rękę Talkus? To tylko spekulacje, głośnie rozmyślanie. Być może Alice, Grimalkin bądź Wijec zdołają pomóc... – Westchnąłem i spróbowałem uśmiechnąć się do dziewczyny. – Tak czy inaczej – zakończyłem – na razie niczego nie zdziałamy, więc spróbujmy się

przespać.

– Spodziewasz się, że zdołam zasnąć po wszystkim, co dziś usłyszałam?! – wykrzyknęła Jenny.

ROZDZIAŁ

30



NOCNY ATAK

JENNY CALDER

W następnym miesiącu Golgoth uderzył jeszcze dwukrotnie. Pierwszy atak miał miejsce w niecały tydzień później. Wyglądał niemal identycznie jak ten, w którym zginął pan Grayson. Pewien farmer został zabity, gdy o zmroku zaganiał do domu bydło. Ponownie ujrzelśmy szczątki – identyczny worek z upiornymi strzępami ciała i kości. Golgoth okazał się godny swego miana Boga Rzeźnika.

Drugi atak, do którego doszło w czasie pełni, wyglądał inaczej: miał miejsce na oczach świadków, u balwierza. Właściciel zakładu, George Smith, zostawiwszy klienta, niejakiego Browna, samego na krześle, poszedł właśnie po gorącą wodę. Wracając, usłyszał brzęk szkła i straszliwy krzyk, który urwał się nagle.

Dochodziło południe, ale ku zdumieniu i zgrozie George'a Smitha połowę pomieszczenia skrywała nieprzenikniona ciemność. Wielkie ścienne lustro naprzeciw klienta stłukło się, zasypując podłogę odłamkami szkła. Brown siedział sztywno w fotelu, ale głowę miał całkowicie białą, jakby pokrytą szronem. Nagle rozpadła się na kawałki, niczym drzazgi lodu, i rozsypała kaskadą na posadzkę. Balwierz patrzył ze zgrozą, jak z szyi mężczyzny tryska fontanna krwi. A potem ciemność rozplynęła się i pomieszczenie znów zalały promienie słońca.

Tym razem szczątki wypełniły tylko drobną część worka. Tom nie kazał mi oglądać fragmentów czaszki i mózgu, oszczędził mi też widoku bezgłowego trupa. Asystowałam mu jednak przy

przesłuchaniu balwierza.

– Proszę się bardzo dobrze zastanowić – rzekł do niego. – Pamiętaj pan cokolwiek, co skojarzyłby pan z ową dziwną ciemnością?

Mężczyzna nie odpowiedział natychmiast. Ręce trzęsły mu się, gdy przerażające wspomnienia wypełniły głowę.

– Faktycznie, coś tam było, ale teraz przypuszczam, że oczy mogły mnie zwieść. Albo może po prostu to sobie wyobraziłem.

– Proszę mówić dalej – naciskał Tom. – Niech pan opowie, co pan zobaczył.

– Na moment ujrzałem parę wielkich czerwonych oczu, spoglądających gniewnie z mroku.

Następny atak miał miejsce trzydziestego pierwszego października – w Święto Zmarłych. Ale tym razem Golgoth nie brał w nim udziału.

Alice znów udała się do Pendle, ponoć by kontynuować negocjacje i namówić klany czarownic, by wsparły walkę z Kobalosami. Tak przynajmniej sądził Tom, choć osobiście miałam pewne wątpliwości. Święto Zmarłych to czas najważniejszego sabatu czarownic, a Alice była przecież jedną z nich, nawet Tom musiał się z tym pogodzić. Bez wątpienia tańczyła gdzieś wokół ogniska z siostrami wiedźmami, wzywając moce Mroku.

Po namyśle muszę przyznać, że tak naprawdę nie wiem, skąd wzięłam ów pomysł – wciąż jednak widziałam w Alice największe zagrożenie dla mojego terminu. Wiedźma z pewnością wolałaby mieć Toma tylko dla siebie. Pełne gorczy myśli nadal kłębiły mi się w głowie, gdy w końcu zdołałam zasnąć.

Obudziło mnie walenie do drzwi – Tom wykrzykiwał moje imię.

– Jenny! Ubieraj się i schodź na dół!

Usłyszałam tupot jego stóp na drewnianych schodach. Sprawiał wrażenie zdenerwowanego, więc ubrałam się szybko i pobiegłam za nim. Tom czekał przy tylnych drzwiach, dzierżąc w dłoni laskę. Na ramieniu zawiesił pochwę z Gwiazdną Klingą.

– Wiosce grozi niebezpieczeństwo! Musimy ostrzec mieszkań-

ców. Zabieraj kij i lampę i chodź za mną!

Po paru minutach pędziliśmy już z boczem w stronę Chipenden. Zastanawiałam się, skąd Tom wie o zagrożeniu; może Alice użyła lustra, by je postrzec?

– O co chodzi, Tomie? – spytałam. – Czy ktoś cię uprzedził?

Przez chwilę sądziłam, że nie odpowie.

– To jeden z moich darów, Jenny. Potrafię wyczuć bliskość Kobalósów w Hrabstwie. Zagrożają wiosce. Jeśli się mylę, mieszkańcy stracą tylko kilka godzin snu. Jeśli mam rację, ocalimy im życie.

Tom skierował się wprost do domu kowala i zaczął walić pięścią w drzwi. Ów rosły mąż był jednocześnie nieoficjalnym przywódcą wieśniaków.

– Próbujecie wyważyć drzwi? – huknął, patrząc gniewnie na Toma, nagle zamarł. – A, to pan, mości Wardzie.

– Zbrojni nieprzyjaciele nadchodzą doliną od wschodu – rzucił nagłaco Tom. – Wyrzną całą wioskę! Musimy pobudzić wszystkich i zabrać stąd!

Ze wszystkich ludzi z Chipenden właśnie kowala można było nazwać przyjacielem Johna Gregory’ego; pracował dla niego nad przygotowaniem jam dla czarownic i wykuwał klingi ukryte w laskach. Widział, jak Tom z dwunastoletniego ucznia wyrasta na stracharza, a teraz potraktował jego słowa poważnie, nie zwątpił nawet na chwilę.

– Ja pójdę jedną stroną ulicy, wy drugą! – zagrzemiał. – Każcie im się zebrać na skraju placu.

Tom przytaknął i zaczęliśmy stukać do drzwi. Gdy otwarły się pierwsze, mężczyzna, który w nich stanął, na nasz widok uniósł pięści; słyszałam płacz dzieci na piętrze i kobietę próbującą je uspokoić.

– Niebezpieczeństwo! – rzucił Tom. – Ewakuujemy wioskę. Zaprowadź rodzinę na plac, ruszamy za dziesięć minut.

– Niebezpieczeństwo? Jakie? Co to za bzdury?! Znam cię, jesteś chłopakiem, który pracował u starego pana Johna Gregory’ego.

Tom wskazał ręką brukowaną ulicę i mocarnego kowala. Trzymana wysoko lampa oświetlała mu głowę i ramiona.

– To rozkaz kowala, wszyscy muszą się zebrać, ale już! – nale-

gał. – Jeśli zostaniecie, wymordują was w łózkach!

Nie czekając na odpowiedź, ruszyliśmy dalej. Mężczyzna gapił się na nas bez słowa.

Niektórzy wieśniacy posłuchali natychmiast, jeśli jednak ktoś protestował, jedynie pokazywaliśmy ręką plac i ruszaliśmy do następnego domu. Nie było czasu na spory. Wkrótce wieści się rozeszły, bo plac zapełnił się ludźmi, krzyczącymi i płaczącymi ze strachu.

Dopiero po kwadransie zgromadzili się wszyscy: wracając, słyszeliśmy, jak się kłóca. Gdy podeszliśmy bliżej, obrócili się ku nam. Kowal uniósł rękę, nakazując milczenie.

– Niektórzy z was znają tego młodzieńca – powiedział. – Jeśli nie, jest to Tom Ward, który ponad cztery lata terminował u pana Gregory’ego i pomagał mu chronić tę wioskę. Teraz sam został miejscowym stracharzem i dalej prowadzi dzieło mistrza. Uprzedza przed zagrożeniem ze wschodu: wrogimi żołnierzami, którzy chcą pozabijać nas wszystkich. Odejdziemy więc bezwzględnie – ruszymy na zachód, w dolinę. Starajcie się dotrzymać kroku. Będziemy maszerować wolno, by nikt nie został w tyle.

Zakładałam, że pójdziemy z nimi, ale Tom zdecydował inaczej.

– Musimy zapewnić wam nieco czasu na ucieczkę – poinformował kowala. – Zamierzam ich tu zatrzymać.

– Zostanę z tobą – odparł tamten. – Z pewnością przekonam jeszcze kilku chłopaków do walki.

– Nie, lepiej będzie, jeśli ich poprowadzisz. Odejdźcie możliwie najdalej. Jeśli wróg się przedostanie, może i tak będziecie musieli walczyć. Proszę, zaufaj mi. Nie mamy do czynienia ze zwykłymi żołnierzami, tylko z Mrokiem, a to już mój fach. Ale proszę cię, zabierz ze sobą moją uczennicę.

Widziałam wyraźnie, że kowalowi to się nie podoba, skinął jednak głową.

– Nie! Chcę zostać z tobą! – zaprotestowałam.

– Jenny, rób, co ci każę. Chcę, żebyś była bezpieczna.

– Powinnam dzielić z tobą zagrożenie! To rola ucznia!

– Nie tym razem. Teraz jest inaczej. Tylko byś mi przeszkadzała.

Zabolała mnie ta uwaga, zanim jednak zdążyłam powiedzieć

coś jeszcze, Tom skinął na kowala, który natychmiast złapał mnie za rękę. Sam Tom odmaszerował na wschód, a ja dałam się pociągnąć w przeciwnym kierunku.

Jednak dziesięć minut później kowal musiał mnie puścić i zając się mężczyzną, który skręcił nogę w kostce i nie mógł iść. Dźwignął go niczym dziecko i zarzucił sobie na ramię.

Postanowiłam wykorzystać szansę – wymknęłam się w ciemność i pobiegłam na wschód. Musiałam pomóc Tomowi. Nie mogłam pozwolić, by walczył samotnie.

Znalazłam go po dziesięciu minutach: wciąż mnie wyprzedzał, okrążał właśnie niewielki zagajnik. Przed sobą trzymał oburącz Gwiazdną Klingę. Nagle spomiędzy drzew wyłoniły się trzy postacie i ruszyły prosto ku niemu. Sądząc z kroku i rozmiarów, byli to Kobalosi. Właśnie miałam ostrzec go krzykiem, lecz Tom sam zauważył intruzów i skręcił na ich spotkanie.

Patrzyłam, jak rozpoczyna taniec śmierci, wirując i podskakując; Gwiazdna Klinga błyskała w promieniach księżyca. Tom szybko powalił pierwszego przeciwnika, demonstrując dawną siłę i umiejętność. Wyraźnie doszedł już do siebie.

Po paru sekundach drugi Kobalos wydał z siebie straszny, piskliwy krzyk i runął na kolana. Tom najwyraźniej panował nad sytuacją – w tym momencie jednak moich uszu dobiegły gardłowe rozkazy: z lasu wypadły dziesiątki Kobalosów, pędząc ku niemu biegiem.

Powaliwszy potężnym cięciem trzeciego żołnierza, Tom obrócił się na pięcie i puścił biegiem naprzód. Zamarłam w miejscu, sparaliżowana grozą. Z lasu wyłoniło się co najmniej czterdziestu żołnierzy. Nie mógł walczyć z tak wieloma! Czy dobrze ocenił rozmiary zagrożenia? A jeśli tak, dlaczego przyszedł sam? Zamierzał poświęcić życie, by zapewnić wieśniakom czas na ucieczkę?

Wiedziałam, że nie zdołam mu pomóc, ale nie zamierzałam zostawić go na śmierć. Pobiegłam za nim. Wojownicy jeszcze niczego nie zauważyli, w końcu jednak ktoś się zorientuje i rzucą się też na mnie. Może się rozdziela, ale i tak będzie ich zbyt wielu, abyśmy sobie z nimi poradzili.

Teraz Tom kierował się prosto w stronę kamienia, który miejscowi nazywali „przyglupem” – pradawnego menhiru na szczycie

niewielkiego wzgórza. W okolicy można znaleźć wiele podobnych głazów – Tom opowiadał mi, że stały tu na długo przed tym, jak w Chipenden wzniesiono pierwsze domy, może nawet przed pierwszymi farmami; zbudowane w czasach, gdy ludzie zajmowali się jedynie polowaniem i zbieractwem.

Teraz wspiął się na wzgórze i stanął po prawej stronie kamienia. Potem odwrócił się twarzą do nieprzyjaciół, unosząc miecz w prawej dłoni. Czyżby zamierzał się tam bronić? Kobalosi będą musieli wspiąć się, by go dosięgnąć, zatem dysponował pewną przewagą.

Nadal biegłam ku niemu, ale teraz zbliżałam się do nieprzyjaciół; w każdej chwili któryś z nich mógł zerknąć w bok i zauważyć mnie.

I wtedy Tom krzyknął. Z początku sądziłam, że zwraca się do nadbiegających Kobalosów. Potem jednak powtórzył to samo – jedno słowo, które porwał wiatr, nim zdołałam zrozumieć, co znaczy. Kiedy jednak się zbliżyłam, usłyszałam wyraźnie:

– Kratch!

Nagle zrozumiałam, co próbuje zrobić. Stał obok kamienia wzniesionego na linii mocy. Takie linie wykorzystują boginy, by w mgnieniu oka przenosić się z miejsca na miejsce. Tom wzywał swojego z ogrodu.

I wtedy wezwany pojawił się po jego prawicy. Był to koci bogin, który przyrządzał śniadania oraz strzegł domu i ogrodu. Przez większość czasu pozostawał niewidzialny, ale parę razy dostrzegłam go: przypominał wielkiego, rudego kocura. Teraz jednak uległ ogromnej przemianie.

Stał się ogromny – nawet na czterech łapach sięgał Tomowi do ramienia. Jaśniał mocą. Dwa olbrzymie kły sterczały w dół z górnej szczęki, rude futro miał zjeżone, prawe oko płonęło ognistą czerwienią. Bez wahania skoczył w stronę ofiar. Część Kobalosów próbowała zawrócić i uciec, ale bogin okazał się za szybki.

Pierwszych dwóch czy trzech wyrzucił w powietrze machnięciem gigantycznych łap, kolejnego pochwycił w szczęki i przegryzł na pół. A potem jakby rozplynał się i zamienił w wielką, wirującą trąbę ognia i energii, która wpadała na wojowników. Powietrze wypełniły krwawy pył i odłamki kości. Wszystkiemu wtórowały wrzaski i zawodzenia ofiar.

Zniszczenie głównego oddziału zajęło boginowi kilka sekund, a potem wir ognia zaczął ścigać poszczególnych żołnierzy, umykających między drzewa. Żaden nie przeżył.

Patrzyłam, jak obrócił się ku nam, i nagle żołądek ścisnął mi się z przerażenia: pomarańczowy wir zmierzał wprost w moją stronę. Wziął mnie za wroga! Zaraz zamieni mnie w pył i wchłonie moją krew do ostatniej kropli. Stałam tam jak sparaliżowana, nie mogąc się ruszyć.

Usłyszałam, jak Tom powtarza imię bogina, nic jednak nie mogło go powstrzymać. Kłęb ognia i energii już niemal mnie dopadł, czułam na twarzy gorąco. Zamknęłam oczy, czekając na śmierć.

Nagle omiótł mnie powiew ciepłego powietrza, oddech skażony krwią. Potem zapadła cisza. Usłyszałam świst wiatru wśród drzew.

Uniosłam powieki. Bogin zniknął. Tom szedł ku mnie. Nie wyglądał na zadowolonego.

– Czy ty nigdy nie nauczysz się być mi posłuszna? – spytał gniewnie, gdy razem ruszyliśmy w ślad za wieśniakami. – Kiedy mówiłem, że będziesz mi przeszkadzać, nie żartowałem. Bogin jest niebezpieczny – ciebie też mógł zabić, ogarnięty żądzą krwi. Miałaś szczęście, że mnie posłuchał, że w ostatniej chwili cię rozpoznał.

Dalej maszerowaliśmy w milczeniu, które wkrótce stało się krępujące. W końcu, żeby je przerwać, pierwsza zadałam pytanie.

– Wyjaśnij mi, skąd wiedziałeś o ataku na wioskę?

– To jeden z moich darów. Pamiętasz, jak w sierpniu tropiłem varteka – tego, który zmierzał do Topley? To ten sam mechanizm. Ocknąłem się w środku nocy i wiedziałem, że coś jest nie tak i skąd nadciąga zagrożenie. Podejrzewam, że ich magowie wykorzystali miejsce pomiędzy światami, by sprowadzić żołnierzy wprost do Hrabstwa. Odnalazłem zagajnik, w którym zaczęli się zbierać, nie byłem tylko pewien celu. Nasz dom w Chipenden czy sama wioska? Z początku nie miałem pewności, w

końcu jednak uznałem, że musi im chodzić o wioskę. Bo widzisz, Lukrasta pokazał mi kiedyś straszną wizję przyszłości. Zjawiłem się w niej za późno, by pomóc, wszyscy we wsi zostali wyrżnięci. Czuwałem przy kowalu, gdy umierał. Od początku zatem planowałem wezwać bogina. Pozostawało jedynie zwabić ich na linię mocy, gdzie mógł do mnie dotrzeć.

– Sądziłam, że Wijec i Grimalkin wcześniej nas uprzedzą – mruknęłam.

– Nie są w stanie odkryć wszystkiego – odparł Tom. – Zresztą od dawna nie odzywali się do mnie. Może być z nimi bardzo źle.

ROZDZIAŁ

31



LUSTRA

JENNY CALDER

Następnego wieczoru Alice wróciła z Pendle. Oboje z Tomem ucieszyli się na swój widok: obejmowali się, rozmawiając cicho, żebym nie mogła ich podsłuchać. Potem ruszyli do kuchni, a Tom wezwał mnie gestem.

– Alice posłuż się lustrem, by nawiązać łączność z Grimalkin. Czarownice ciągle tak robią. Teraz masz szansę obejrzeć to na własne oczy.

Oczywiście stracharz nie powinien angażować się w praktyki magiczne, ale musieliśmy przecież się dowiedzieć, co słyhać na północy; należało to też do mojego szkolenia. Podeszłam zatem bliżej stołu, po czym razem usiedliśmy naprzeciw paleniska. Na dworze zrobiło się zimno – zeszłej nocy przyszedł silny mróz.

Alice przyniosła już lustro z pomieszczenia, w którym się myliśmy. Było spore – miało około stopy powierzchni. Przyłożyła lewą dłoń do tafli i zaczęła mamrotać pod nosem – bez wątpienia jakieś zaklęcie. Nic się nie wydarzyło, więc cofnęła rękę, chuchnęła na nią i powtórzyła wszystkie czynności.

Tym razem niemal natychmiast lustro zaczęło jaśnieć. Alice znów cofnęła dłoń i nagle z tafli spojrziała na nas Grimalkin. Twarz miała zmęczoną i wychudzoną, na czole smugę krwi. Obraz co chwila się rozpływał, podskakiwał i tracił ostrość.

Alice pochyliła się i chuchnęła łagodnie na lustro, tak że się zamgliło. Potem zaczęła pisać palcem:

Golgoth zabija ludzi w Hrabstwie.
W jaki sposób tu sięga?

Lustro powoli wyjaśniało i słowa zniknęły. Nagle zobaczyłam, że Grimalkin przysuwa usta do szkła i obraz znów zaparował. Zaczęła szybko pisać:

Atakuje z Krągłego Bochna na moczarach Anglezarke i że umożliwiają mu to kobalosecy magowie.
Nwosilimisj w to kopsloscy wsdowis.

Nie zrozumiałam ani słowa. Tom uśmiechnął się na widok mojej zdumionej miny.

– Grimalkin pisze normalnie – wyjaśnił – ale lustro pokazuje jej słowa odwrócone. Mam niemałą wprawę, więc z łatwością potrafię je odczytać. Napisała, że Golgoth atakuje z Krągłego Bochna na moczarach Anglezarke i że umożliwiają mu to kobalosecy magowie. Spytaj Grimalkin, jak to robią – dodał, zwracając się do Alice.

Znów dwie czarownice wymieniły wiadomości. Otworzyłam usta, żeby spytać, co do siebie piszą, ale Tom uniósł dłoń na znak, że nie powinnam przerywać. Rozmowa trwała bardzo długo, on zaś nie spojrzał na mnie, póki nie skończyły, a twarz Grimalkin nie zniknęła. Wówczas z ponurą miną wyjaśnił, czego się dowiedzieli.

– Używając luster, czarownice zwykle czytają z ruchów warg: świetnie to umieją, toteż idzie im znacznie szybciej. Ale Alice i

Grimalkin dzieli spora odległość, a obraz jest niewyraźny, więc musiały zadowolić się pisaniem. Mimo wszystko sporo już wiemy. Magowie kobaloscycy sięgają do wnętrza kurhanu, korzystając z miejsca pomiędzy światami. Otwierają portal i przywołują Golgotha z jego królestwa w Mroku. Dzieje się to podczas nowiu i pełni, w najbardziej sprzyjających warunkach. Chwilowo Golgoth może pozostać na ziemi bardzo krótko, ale w dzień przesilenia zimowego zamierzają użyć najpotężniejszych znanych im czarów i na stałe sprowadzić go do Hrabstwa.

– Krągły Bochen to nazwa kurhanu na moczarach, gdzie niegdyś oddawano cześć Golgothowi – wyjaśnił Tom. – Tam właśnie w pradawnych czasach, w dniu przesilenia zimowego składano mu w ofierze ludzi. Władca Zimy złopał ich krew, robił się senny i zasypiał mocno. Wyznawcy mieli nadzieję, że dzięki temu prześpi zimowe miesiące i nie sprowadzi na Hrabstwo nowej epoki lodowcowej. To bardzo niebezpieczne miejsce, źródło jego mocy. Jeśli Kobalosom uda się sprowadzić Golgotha na stałe do Hrabstwa, zdobędą je, zanim jeszcze ich armia przeprowi się przez morze. Ziemia zamarźnie, zbiory obumrą, zapanuje głód. Widzieliśmy już, jak udało im się ściągnąć do Hrabstwa oddział wojowników. Gdy mróz spustoszy nasz kraj, niewielu im się sprzeciwi. – Tom odwrócił się z powrotem do Alice. – Gdybyśmy odwiedzili kurhan, czy zdołałabyś zamknąć portal i nie wpuścić Golgotha do Hrabstwa?

Przytaknęła, choć nie wyglądała zbyt radośnie.

– Jest to możliwe, ale bardzo niebezpieczne. Musielibyśmy być na miejscu w chwili, gdy magowie go otworzą. Musi zostać otwarty, zanim zdołam zamknąć go na zawsze. Trzeba będzie zabić magów, a potem posłużyć się własną mocą. Brzmi to prosto, Tomie, ale jest bardzo ryzykowne. Grunt to zgranie w czasie. Jeśli szybko nie pozbędziemy się Kobalosów i nie zamkniemy portalu, Golgoth może zaatakować, a wtedy szanse mamy mizerne.

– A Pan nie mógłby pomóc? – spytał Tom.

– Nie mogę go o to prosić. Starzy Bogowie opowiadają się po jednej ze stron, ale unikają udziału w bezpośrednich starciach. Wolą, by w ich imieniu walczyli śmiertelnicy. Nawet bogów można zniszczyć.

Westchnął, a potem przyjrzał jej się uważnie.

– Jesteś gotowa spróbować?

Uścisnęła mu dłoń.

– Nie mamy wyboru – stwierdziła. – I trzeba to zrobić przed przesileniem. Im bliżej owego dnia, tym silniejszy staje się Golgoth. Musimy spróbować przy najbliższej okazji.

– W takim razie ruszamy w przyszły czwartek – oznajmił Tom. – To dwa dni do nowiu: bez trudu zdążymy dotrzeć do Anglezarke. Sądząc po tym, co się działo wcześniej, zapewne właśnie wtedy znów przywołają Golgotha. Może nawet Grimalkin zdąży się zjawić?

– Jest w drodze do nas? – zdziwiłam się.

– Wybacz – rzucił. – Tak wiele miałem do wyjaśnienia, że zapomniałem o tym wspomnieć. Armia kobaloska wdarła się daleko na terytorium południowych królestw. Stoczono już dwie bitwy, ludzie przegrali obie. Druga zakończyła się prawdziwym pogromem, a teraz w lasach germańskich szykuje się trzecia. Gdy tylko się zakończy, niezależnie od wyniku Grimalkin wróci pomóc bronić Hrabstwa. Uważa, że to jest najważniejsze.

W czwartek wczesnym rankiem ruszyliśmy w drogę. Nasze oddechy parowały w mroźnym powietrzu. Jak zwykle Tom i Alice szli obok siebie, ja dreptałam za nimi, dźwigając torbę mego mistrza. A choć na krótko wzięli się za ręce, w czasie tej wędrówki sprawiali wrażenie przygaszonych; żadne nie chichotało w ciemności, więc nie przeszkadzali mi już spać.

Z początku sądziłam, że może się pokłócili, ale stopniowo zrozumiałam, iż chodzi o coś znacznie gorszego.

– Nie przeżyłabym, gdybym cię straciła – szepnęła do Toma Alice pewnej nocy, gdy leżeli blisko dogasającego ogniska. A potem się rozplakała.

W tym momencie poczułam lodowaty dreszcz grozy i zadrżałam od czubka głowy aż po pięty. Nagle pojęłam, że oboje z Tomem nie spodziewają się powrócić żywi z wyprawy na moczary Anglezarke. I rozumiałam coś jeszcze: jeśli umrę, mogę liczyć, że odejdę w Światło. Tom także tam trafi, ale nie Alice. Teraz, gdy stała się prawdziwą wiedźmą, mogła odejść wyłącznie w

Mrok.

Pozostaną osobno na całą wieczność.

I nagle zrobiło mi się ich ogromnie żal. To straszne wiedzieć, że czeka ich wieczna rozłąka. Choć nie lubiłam Alice, nikomu nie życzyłabym czegoś takiego.

ROZDZIAŁ

32



ZIMOWY DOM

JENNY CALDER

Widzieliśmy już przed sobą pasmo wzgórz i granice moczarów, ale posuwaliśmy się powoli: szliśmy teraz po mszystych, podmokłych terenach. Kiedy w końcu zaczęliśmy wspinaczkę, zrobiło się zimniej, ale przynajmniej znów mieliśmy pod nogami twardey grunt.

Wiał stały wiatr z północy i wkrótce poczuliśmy na twarzach pierwsze płatki śniegu. W pewnym momencie minęliśmy opuszczoną farmę nieopodal wielkiego jeziora, otoczonego pierścieniem karłowatych wierzb. Tom i Alice przystanęli, patrząc na nią z posepnymi minami. Odgadłam, że w tym miejscu wydarzyło się coś złego – czułam, że Alice nie ma stąd szczęśliwych wspomnień.

Przekonałam się, że ogrodzenie jest zniszczone, okna powybijane, a frontowe drzwi wiszą wyłamane z zawiasów. Na miejscu zrujnowanej stodoły stała tylko jedna ściana.

– Oto, co zostało z Farmy Przy Moczarach – oznajmił Tom. – Gdy poprzednio odwiedziłem to miejsce, Alice mieszkała tu pod opieką farmera i jego żony. Najwyraźniej wynieśli się stąd.

– I bardzo dobrze – rzuciła z goryczą Alice, strzepując śnieg z włosów. – Hurstowie opiekowali się mną jakiś czas. Byli złośliwi i źle mnie traktowali. Spędziłam tu kilka najgorszych dni w życiu.

A potem bez dalszych wyjaśnień ruszyła dalej. Tom maszerował tuż za nią. Wiele razem przeszli – może pewnego dnia mi

opowie o tym, a może nie. Nagle przyszło mi do głowy, że choć Alice to wiedźma, po tak długim czasie spędzonym z Tomem i jego mistrzem zapewne wie więcej o byciu stracharzem niż ja.

Maszerowaliśmy prawym brzegiem strumienia aż do wąskiego parowu. Wkrótce po obu stronach wyrosły strome, kamienne osypiska, a potem kamienie ustąpiły miejsca skalnym ścianom. Tu i tam ze szczelin wyrastały kępy trawy bądź chaszczy.

I wreszcie ujrzałam przed sobą dom. Nie spodobał mi się ani trochę. Wzniesiono go z ciemnego kamienia, a wyrastał wprost z urwiska po naszej prawej stronie. Okna były małe, a szyby mętne, co oznaczało, że w środku będzie ciemno, zresztą do wąskiego parowu i tak wnikało niewiele światła. Nawet śnieg miał z tym problemy. Pokrywał ziemię tylko cieniutką warstwą.

Całe to miejsce budziło we mnie niepokój – ogarnęła mnie silna klaustrofobia. Zdecydowanie wolałam dom w Chipenden wraz z jego wielkim ogrodem – nawet jeśli w dwóch jego częściach leżały uwięzione boginy i czarownice. Tamten dom stał nad wioską, widać z niego było wzgórze i kawał otwartego nieba, tu mieliśmy zamieszkać niczym robaki w ciemnej szczelinie w ziemi.

Kiedy podeszliśmy bliżej, odkryłam, że dom tak naprawdę nie styka się z urwiskiem; dzieliła je wąska przestrzeń, akurat dosyć szeroka, by umożliwić dostęp do tylnych drzwi. Tom wyciągnął z kieszeni klucz i otworzył je powoli. Podążyłam za nim do środka.

Co do światła, miałam rację. Tom poprosił o torbę i wydobył z niej świecę. Teraz przekonałam się, że ściany pokrywa pleśń, a sufity i szyby zasnuwają gęste pajęczyny. W powietrzu unosił się zaduch rozkładu i gnijącego jedzenia.

– Moglibyśmy rozpalić w kominkach i ogrzać cały dom, ale nie widzę w tym sensu – oznajmił. – Nie zostaniemy tu długo. Łóżka z pewnością są wilgotne, więc napalimy tylko w kuchni i prześpiemy się na podłodze.

Tak też uczyniliśmy. To była bardzo niewygodna noc – mimo ognia nawet na chwilę nie zdołałam się rozgrzać.

Na śniadanie zjedliśmy opiekany nad kominkiem chleb, ale

bez masła. Byłam taka głodna, że chętnie wzięłam nawet parę kawałków kruchego sera.

Po posiłku Tom spojrzał na mnie i już wiedziałam, że zaraz powie coś złego.

– W Chipenden boginy i czarownice trzymamy w jamach w ogrodzie. Tu nie ma na to miejsca: John Gregory musiał więzić je w piwnicy. Nadal tam są. Obowiązek każe mi zejść i wszystko sprawdzić, a ty, Jenny, pójdiesz ze mną. To część twojego szkolenia.

Skinęłam głową na znak zgody, ale zdecydowanie nie ucieszyło mnie to.

W dziesięć minut później, gdy Alice poszła zapolować na króliki, my stanęliśmy na szczycie schodów wiodących do piwnicy. W dłoniach trzymaliśmy laski – choć miałam nadzieję, że nie będą nam potrzebne. W środku panowały nieprzeniknione ciemności. Tom zapalił szybko świecę i podał mi ją.

– Kiedy dziś wieczorem udamy się pod kopiec, będziemy potrzebowali mnóstwa świec – oznajmił – na razie spróbujmy poradzić sobie z jedną. Unieś ją wysoko i trzymaj się blisko mnie.

Zaczęliśmy powoli schodzić po śliskich kamiennych stopniach. Po chwili skręciliśmy i ujrzelśmy żelazną kratę, sięgającą od sufitu do podłogi i od ściany do ściany. Pośrodku tkwiła żelazna furtka; kiedy Tom ją otworzył, przyszła mi do głowy przerażająca myśl.

– Czy to ma powstrzymać istoty zamknięte w piwnicy? – spytałam.

Tom przytaknął. Przekroczyliśmy furtkę, a on zamknął ją za nami.

– Owszem, to ostatnia linia obrony. Nawet jama nie zatrzyma czarownicy na zawsze.

Za furtką stopnie stały się zaskakująco szerokie. Wydało mi się to dziwne, ale szybko zrozumiałam powody. Do budowy jamy na czarownice i boginy trzeba kamieniarza i kowala. Muszą ściągnąć na dół sprzęt i kamienne wieka. Wszystko jest ciężkie i wielkie, dlatego stopnie są tak szerokie.

Ucieszyłam się, że sama do tego doszłam, potem jednak zjawiła się kolejna zagadka. Schodząc, mijaliśmy kilka podestów; na każdym widniało wejście do pomieszczenia, jakby celi. Czy kie-

dyś trzymano tam więźniów?

I znów dobrze odgadłam – John Gregory zapewne zamykał tam czarownice do czasu przygotowania jam. Były to cele tymczasowe.

Nadal schodziliśmy. Trudno mi było uwierzyć, jak głęboka jest ta piwnica. Wkrótce zaczęłam słyszeć niepokojące dźwięki: słabe szepty i skrobanie z dołu. Nagle Tom zatrzymał się przed drzwiami. To zza nich dochodziły odgłosy.

– Nie bój się tych dźwięków, Jenny. Słyszałem to samo, gdy przyprowadził mnie tu mistrz. Po prostu część czarownic wciąż się wierci. Zrobiły się niespokojne – z pewnością usłyszały nasze kroki. Wiedzą, że mają gości.

Weszłam do środka i natychmiast pojęłam, że powinniśmy byli zabrać drugą świecę.

Ciemność wokół była głęboka – mogło się w niej kryć wszystko, i to gotowe do ataku.

– Ale wielka! – wykrzyknęłam, patrząc na zwisającą z sufitu pajęczynę. Było zimno, wstrząsnęły mną dreszcze.

– Tak, znacznie większa niż dom na górze – odparł Tom. – Chodź, zobacz tutaj. – Podszedł bliżej do jednej z jam. – Są tu dwie żywe czarownice i siedem martwych. To jedna z żywych – na imię ma Bessy.

Spojrzałam na ciemną, kwadratową dziurę, zamkniętą trzynastoma żelaznymi prętami. Na narożnym kamieniu widniało imię i nazwisko czarownicy: Bessy Hill.

Słyszałam, jak coś drapie i węszy w owej dziurze, ale Tom wyraźnie się nie przejmował. Ukląkł i szarpnął mocno każdy z prętów, potem zadowolony wstał.

– Teraz sprawdzimy drugą żywą – oznajmił. – Zabierz świecę.

Skierował się w stronę najdalszego kąta piwnicy, ja dreptałam tuż za nim, wysoko unosząc światło.

Nagle Tom zamarł w miejscu, chwycił oburącz laskę i uniósł ją obronnym gestem. Spojrzałam poza niego i dostrzegłam dwoje dużych oczu, patrzących na nas z mroku.

Coś przypominającego wielkiego owada z głową kobiety podbiegło ku nam na czworakach, zgrzytając pazurami o boginowy kamień. Ciało tej istoty porastały łuski, cztery cienkie kończyny kończyły się szponami, a nie palcami. Długie, tłuste włosy wlo-

kły się po podłodze. Stwór miał rozdęte policzki, z kącika ust kapłała krew, jakby istota przed chwilą się posiliła.

Dobrze wiedziałam, co to. Czytałam o nich w bestiariuszu Johna Gregory'ego. Lamie to czarownice występujące w dwóch postaciach: „udomowiona” nie różni się od zwykłej kobiety, jeśli nie liczyć rzędu zielonożółtych łusek wzdłuż kręgosłupa. Jednak lamie umiały odmieniać postać – ich druga forma, mordercza „dzika”, stała teraz między nami. Ją właśnie John Gregory naszkicował w swojej księdze.

Zaciekawiło mnie, czy mama Toma wyglądała podobnie. Zadrżałam, po czym szybko odrzuciłam tę myśl. Poślubiła tatę Toma i wychowała siedmiu synów, musiała zatem być „udomowiona”. To jej krew krążąca w żyłach Toma pomogła mu dojść do siebie po straszliwej ranie...

Serce waliło mi tak mocno, iż bałam się, że zaraz wyskoczy z piersi. Ale ku memu zdumieniu Tom opuścił laskę i przemówił do ohydnej poczwary:

– Dobrze cię widzieć, Meg. Jak dawno wróciłaś?

– Prawie miesiąc temu – wychrypiała lamia. – No proszę, sporo urosłeś, Tomie. Gdzie twój mistrz? Czy stare kości tak mu zesztywniały, że nie chce już tu schodzić?

Tom pokręcił głową.

– Tak mi przykro, Meg – głos miał łagodny, co mnie zaskoczyło – mam dla ciebie złe wieści. John Gregory nie żyje.

Ku memu zdumieniu z oczu lamii popłynęły łzy; kapały na podłogę piwnicy. Dlaczego płakała? Czyżby знаła Johna Gregory'ego?

– Zginął dzielnie, w walce z wrogiem. Teraz jednak pojawili się nowi nieprzyjaciele. Pochodzą z daleka, zza morza. Dlatego właśnie tu przybyliśmy. To moja uczennica, Jenny.

Lamia nawet na mnie nie spojrzała.

– Czy to właśnie twoi wrogowie? – spytała i cofnęła się szybko.

Ruszyliśmy za nią. W blasku świecy, tuż przed tunelem, który lamia musiała wykopać, żeby dostać się do piwnicy, ujrzałam paskudny widok.

Z sufitu zwisały trzy postacie, przywiązane za stopy; pod głowę każdej ustawiono wiadro. Dwa z nich wypełniała krew, w trzecim sięgała ledwie połowy: wciąż wyciekała ona z trupa.

Cała trójka była Kobalosami.

– Smakują lepiej niż owce! – wychrypiała lamia. – Chętnie zła-
pałabym ich więcej.

Zanim wyruszyliśmy w dalszą drogę, Tom wyjaśnił, co wydarzyło się w tym samotnym, starym domu. Opowiedział mi o tym, jak John Gregory pokochał Meg, lamie, jak spędzali tu razem zimy, a także jak w końcu się rozstali, gdy wróciła do swej ojczyzny, Grecji.

Podejrzewam, że część faktów pominął, ale dowiedziałam się najważniejszego.

Stracharz, John Gregory, kochał czarownicę; teraz historia się powtórzyła z Tomem i Alice. Z pewnością nie wyniknie z tego nic dobrego.

ROZDZIAŁ

33



KRAĞŁY BOCHEN

THOMAS WARD

Odprowadziłem Jenny do kuchni i zszedłem na dół pomówić w cztery oczy z Meg. Powiedziała mi, że jej siostra Marcia umarła w Grecji, ale wyraźnie nie miała ochoty wdawać się w szczegóły, więc nie naciskałem.

Samotna po śmierci siostry, Meg wróciła do Hrabstwa. Miała nadzieję po raz ostatni zobaczyć się z Johnem Gregorym; aby móc się z nim spotkać, rozpoczęła powolny proces przemiany w postać udomowioną. Jakiś czas żywiła się upolowanymi owcami, zapuszczając się daleko w poszukiwaniu ofiar, żeby nie zwracać na siebie niczyjej uwagi.

Potem zauważyła Kobalosów kręcących się wokół pagórka i zaczęła na nich polować.

Wyjaśniłem, że planujemy stawić czoło Staremu Bogu Golgotherowi, a ona zaofiarowała swoją pomoc. Zgodziłem się chętnie, wciąż bowiem nie wiedziałem, czy Grimalkin zdąży do nas dołączyć. Liczyłem, że zastanę ją już w zimowym domu. Kto wie, z jakimi przeciwnikami przyjdzie nam walczyć wewnątrz kopca? Może będziemy musieli poradzić sobie bez wiedzy zabójczyni.

A potrzebna nam była wszelka możliwa pomoc.

Wkrótce wróciła Alice z naręczem królików. Opowiedziałem jej o spotkaniu z Meg. Jenny szykowała tymczasem posiłek.

Z domu wyruszyliśmy godzinę przed zachodem słońca. Chciałem dołączyć do Alice, ale najpierw musiałem omówić kilka rzeczy z moją uczennicą.

– Kiedy zjedziemy z Alice w głąb Bochna, chcę, żebyś czuwała na zewnątrz.

– Czuwała? – Jenny skrzywiła się gniewnie. – A jeśli zobaczę coś groźnego, co niby mam zrobić? Jak dać wam znać o niebezpieczeństwie? Po prostu nie chcesz, żebym tam poszła! Nie wierzysz, że stamtąd wrócisz, myślisz, że tam umrzesz, czyż nie? Próbujesz tylko mnie chronić!

– Oczywiście, że próbuję cię chronić. Jesteś moją uczennicą. Nie chcę, by coś ci się stało. Jeśli przed świtem nie wyjedziemy spod kurhanu, wracaj do Chipenden.

– A co niby miałabym tam robić sama? – Oczy Jenny błyszczały gniewnie.

– Mogłabyś dalej szkolić się u Judda. Napiszę do niego list. Wiem, że go nie lubisz, ale to dobry stracharz i porządnie cię wyuczy.

– Odpowiedz mi szczerze na jedno pytanie. – Spojrzała mi prosto w oczy. – Czy kiedy szkoliliś się u Johna Gregory’ego, on zawsze cię chronił, czy też wymagał, abyś też się narażał?

Westchnąłem. Nie było sensu kłamać.

– Zazwyczaj wymagał, bym dzielił z nim niebezpieczeństwo – przyznałem. – To część szkolenia.

– W takim razie ja też się z tobą podzielę – oznajmiła wyzywającym tonem. – A teraz idź, pogadaj z Alice; wiem, że nie możesz się doczekać.

Nie odpowiedziałem. Nie mogłem przeczyć jej logice, ale nie podobało mi się, że uczennica zwracała się do mnie w ten sposób. Rozgniewany, przyspieszyłem kroku i dołączyłem do Alice. Dotarliśmy na koniec parowu w jego najgłębsze miejsce i jako pierwszy zacząłem wspinać się po śliskich kamiennych stopniach wiodących na moczary. Skierowaliśmy się w stronę Krągłego Bochna. Słońce już zaszło, wkrótce zapadnie ciemność. Powietrze było zimne – dziś przyjdzie ostry mróz.

Po jakimś czasie Jenny dogoniła nas. Pomyślałem, że może chce przeprosić, ale chodziło o coś zgoła innego.

– Ktoś za nami idzie – ostrzegła. – Zauważyłam go przez mo-

ment kątem oka.

Obejrzałem się w nadziei, że to Grimalkin, ale zamiast niej dostrzegłem wbiegającą po zboczu Meg.

– To lamia. Meg nam pomoże.

– Kolejna czarownica! – wykrzyknęła z irytacją Jenny.

Alice przygwoździła ją wzrokiem i syknęła wściekle. Położyłem jej dłoń na ramieniu, uśmiechając się uspokajająco.

Po kilku minutach Jenny znów została w tyle.

– Postaraj się nie złościć – poprosiłem przyjaciółkę. – To naturalne, że czuje się dziwnie, gdy współpracuję z czarownicami. Ostatecznie mój własny mistrz, John Gregory, też miał z tym problem.

– Rozumiem jej uczucia – odparła Alice. – Ale nie musi mówić głośno takich rzeczy. To dowód złych manier. Rozmów się z nią, Tomie, przy najbliższej okazji.

Przytaknąłem, obiecując, iż tak właśnie uczynię.

Jakąś milę od Bochna przystanęliśmy, by chwilę odpocząć. Postanowiliśmy podejść bliżej, dopiero gdy zrobi się zupełnie ciemno. Księżyc miał wejść dopiero za dwie godziny. Między jego wschodem a północą pod kurhanem pojawią się magowie i otworzą portal dla Golgotha. Musieliśmy wcześniej zająć pozycje, żeby móc ich zaskoczyć i zabić. Wówczas Alice spróbuje zamknąć przejście.

W jednej chwili było nas czworo: Alice i ja, Jenny i Meg; w następnej do grupy dołączyła piąta osoba, wyłoniwszy się z cienia niczym upiór. Była to Grimalkin.

Zerwałem się, by ją powitać. Pod wieloma względami przypominała dawną wiedźmę zabójczynię. Spódnicę miała rozciętą i przywiązaną do ud, by nie krępowała ruchów, całe ciało przecinały skórzane pasy, obwieszone pochwami i nożami: krótkimi do rzucania, długimi do walki wręcz.

Jednak dostrzegłem też coś nowego i nie chodziło o wychudłą twarz, ale wyraz oczu. Sprawiała wrażenie dogłębnie zmęczonej, jakby ujrzała coś, co na zawsze ją zmieniło.

– Co się stało? – spytała Alice.

Grimalkin otworzyła usta, ukazując niebezpiecznie zaostrome zęby. Zawahała się, jakby zbierała myśli, a potem wyrzuciła z siebie grad złych wieści.

– Koniec zbliża się nawet szybciej, niż się obawiałam – oznajmiła. – Jeżeli tu i teraz nie rozprawimy się z Golgothem, za kilka tygodni przegramy tę wojnę. Po dwóch klęskach, o których już wspominałam, doszło do jeszcze jednej bitwy. Wzięły w niej udział mocarne szczepy germańskie. To w nich pokładałam największą nadzieję. Liczyłam, że powstrzymają mroczną armię Kobalosów. Zawiązано sojusze, łącząc siły. Kobalosi wciąż mieli przewagę liczebną, ale plemiona walczyły we własnych rozległych puszczech i były pewne zwycięstwa. Jednak bitwa zakończyła się, zanim jeszcze na dobre się zaczęła. Magowie kobaloscy otworzyli portal wiodący w Mrok i przywołali Golgotha wprost na pole bitwy.

Bóg Rzeźnik posłał w głąb lasu, w którym zebrały się plemiona Germanów, potężną falę palącego zimna. Cokolwiek znalazło się na jej drodze – ciało, drewno, kość – natychmiast zamieniało się w odłamki lodu. Przeżyłam tylko dlatego, że stacjonowałam na uboczu z pozostałościami armii Polyzni. Zginęły tysiące, a kobalaska kawaleria galopowała naprzód, rozbijając nasze siły i otaczając niedobitków.

Na razie Talkus, nowy bóg Kobalosów, pozostaje w odwodzie. Kieruje jednak Golgothem, nasyłając go na nas. Bóg Rzeźnik stanowi w tej chwili podstawowe zagrożenie na polu bitwy i tutaj, w Hrabstwie. Ja sama miałam szczęście, że uciekłam. Przybyłam tu zgodnie z obietnicą – żeby złączyć z wami siły. Pozostała jeszcze jedna, ostatnia linia obrony, zanim Kobalosi dotrą do północnego morza, oddzielającego nasz kraj od kontynentu. Może wytrzyma, ale tylko jeśli Golgoth więcej się nie wtrąci. Musimy zamknąć ten portal.

– Po to właśnie tam idziemy – odparła Alice. – Kiedy zejdziemy w głąb kurhanu, ukryję nas zaklęciem maskującym. Powinno zadziałać też na kobaloskich magów, przynajmniej dopóki pozostaniemy w bezruchu. Gdy tylko otworzą Golgothowi przejście, uniosę prawą rękę. To będzie sygnał do ataku. Zabijcie ich wszystkich, nikt nie może uciec. Kiedy zginą, spróbuję zamknąć portal i zapieczętować go na zawsze.

Ostrożnie, pod osłoną ciemności, zbliżaliśmy się od wschodu do pagórka. Wkrótce na tle nieba ujrzałem charakterystyczne owalne wzniesienie. Nigdzie nie widzieliśmy kobaloskich wartowników, ale nadeszła najbardziej ryzykowna chwila.

Liczyłem, że zajmiemy pozycje, zanim wzejdzie księżyc. To dało nam niemal godzinę na dostanie się pod kurhan. Tajne wejście osłaniał płaski kamień. Kiedy tu byłem poprzednio, John Gregory przysypał go ziemią i kamieniami. Teraz całość zarosła trawą. Znałem mniej więcej położenie przejścia i wbijając w trawę klingę na końcu laski, wkrótce zdołałem je odnaleźć.

Widać było wyraźnie, iż Kobalosi nie posłużyli się przejściem, żeby dotrzeć w serce Krągłego Bochna. Tak jak uprzedzała Grimalkin, wskakiwali z miejsca pomiędzy światami. Kobalosc wojownicy zabici przez Meg musieli zostać przeniesieni wprost na wrzosowiska.

Wkrótce podniosłem zamykający wejście kamień, z pomocą Alice odciągnąłem go na bok i zajrzałem w ciemność. Podniósłszy wzrok, odkryłem, że lamia przygląda mi się uważnie.

– Mogłabyś pójść przodem, Meg? – poprosiłem. – Przejście może być zablokowane.

Kiedy byłem tu poprzednio, przybycie Golgotha sprawiło, że tunel się zapadł, a choć siostra Meg, Marcia, oczyściła go wtedy, mogło dojść do kolejnych osunięć.

Meg bez słowa pomknęła schodami w dół.

– Ja zejść pierwszy – oznajmiłem. – Jenny, trzymaj się blisko mnie. Alice pójdzie za tobą, a Grimalkin ostatnia – będzie nas strzec przed atakiem z tyłu. Nie zapalajcie lamp, póki nie znajdziemy się pod ziemią. Kobalosi mogą obserwować kurhan; nie wolno nam pozwolić, by ktokolwiek dostrzegł światło.

Zacząłem ostrożnie schodzić po kamiennych stopniach. Dopiero gdy moje ramiona zagłębiły się pod ziemię, zapaliłem lampę. Teraz widziałem pochyłe schody i czekający na nas ziemny tunel. Wkrótce światło zapłonęło jaśniej – to Jenny i Alice zapaliły swe latarnie.

Teraz stąpałem już po równym gruncie, sunąc w głąb korytarza, częściowo wzmocnionego drewnianymi stemplami. Niektóre

zdażyły już popękać; wkrótce w ogóle zniknęły. Nic już nie podtrzymywało ciężaru ziemi nad naszymi głowami; groziło nam poważne niebezpieczeństwo. Przed sobą słyszałem kopiącą Meg: najwyraźniej oczyszczała fragmenty korytarza.

W końcu dotarłem do obszernej, okrągłej komory pod kopcem. Niewiele się tu zmieniło. Ściany i sklepienie wyłożono kamieniami, posadzkę tworzyła misterna mozaika, przedstawiająca fantastyczne postaci: od gigantycznych węży po bajeczne stworzenia, półludzi, półbestie, które według mojego mistrza nigdy nie istniały.

Na samym środku mozaiki widniał pentagram, pięcioramienna gwiazda, otoczona trzema koncentrycznymi kręgami. To właśnie tutaj Morgan przywołał Golgotha. Bóg zjawił się obok niego, w sercu ochronnej gwiazdy, i zamroził go. Ciało Morgana rozpadło się na kawałeczki.

Szczałki te już dawno stopiły się i rozłożyły, a może pożarły je szczury albo owady, w ciężkim powietrzu jednak wciąż czułem lekką woń śmierci. Kości Morgana nadal tu były – kopczyk żółto-białych odłamków wypełniał wnętrze pentagramu.

Jeśli sprawy przybiorą zły obrót, my też tak skończymy.

ROZDZIAŁ

34



RUNEŁA JAK DRZEWO

THOMAS WARD

Rozsiedliśmy się najwygodniej, jak się dało, a Alice rzuciła zaklęcie maskujące. Zdawało się, że od tej chwili czas płynął bardzo wolno. Nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia. W komnacie pod kurhanem panowała cisza, zachowaliśmy jednak czujność, wytyżając słuch w poszukiwaniu jakichkolwiek oznak zbliżania się wrogów. Czekaliśmy w napięciu na przybycie kobaloskich magów.

Siedziałem pomiędzy Alice i Jenny, wsparty plecami o ścianę komory. Meg przykucnęła przy wejściu, tuż obok Grimalkin: strzegły tunelu, jedynej drogi ucieczki. Zostawiliśmy kamień odsunięty na wypadek, gdybyśmy musieli szybko się wycofać; wiedzieliśmy, że ktoś może wypatrzeć go z zewnątrz, więc Meg, wytyżając swe wyczulone zmysły, skupiła się na możliwych zagrożeniach z tej strony.

Księżyc zdążył już wzejść, dopełniając warunków przywołania Golgotha. Jeśli kobaloscy magowie zamierzali zaatakować cel w Hrabstwie jeszcze dziś, wkrótce będą musieli się pokazać.

Gdy tylko o tym pomyślałem, dostrzegłem w powietrzu migotanie i pośrodku pentagramu pojawiło się czterech Kobalosów. Nosili zbroje, u boków wisały im szable; ogolone oblicza świadczyły, iż mamy do czynienia z magami.

Na ich widok ogarnął mnie lęk. Wszyscy władali magiczną mocą, więc ogarnęły mnie wątpliwości, czy zaklęcie Alice okaże się dość silne, by nas osłonić. Wstrzymałem oddech, gotów na

najgorsze, ale niepotrzebnie się lękałem.

Nieświadomi naszej obecności, stanęli naprzeciw siebie i wyciągnęli ręce tak, że zetknęli się opuszkami, a następnie zaczęli nucić w loście. Uważnie obserwowałem Alice, czekając na sygnał. Gdy tylko się poruszymy, magowie nas zobaczą, ale działać mogliśmy zacząć dopiero w chwili, gdy portal się otworzy.

Alice uniosła dłoń. Zerwałem się na nogi, dobywając Gwiazdnej Klingi z pochwy na ramieniu. Zanim jednak zdążyłem zrobić choć krok w stronę magów, lamia zabiła pierwszego, wskakując mu na pierś i rozszarpując kłami gardło; jego krew trysnęła na kości Morgana.

Zamachnąłem się mieczem, celując w drugiego Kobalosa. Gwiazdna Klinga wbiła się głęboko w zbroję chroniącą mu szyję. Krzyknął i runął na wznak. Kątem oka dostrzegłem, jak Grimalkin zręcznie atakuje trzeciego jednym ze swych noży.

Jednak gdy miałem już skoczyć na czwartego maga, ten zniknął w ułamku sekundy. Zawsze istniało niebezpieczeństwo, że jeden z nich ucieknie.

Serce podeszło mi do gardła. Teraz Kobalos będzie mógł próbować zmierzyć się z magią Alice z ukrycia, a to utrudni jej zamknięcie niewidzialnej bramy, z której wkrótce wyłoni się Golgoth.

Odwróciłem się do przyjaciółki.

– Czy wciąż możesz zamknąć portal? – spytałem.

Alice zmarszczyła czoło i zamknęła oczy, głęboko skupiona.

Potem spojrzała na mnie okrągłymi oczami, kręcąc głową.

– Już za późno! – zawołała. – Golgoth nadchodzi!

Usłyszałem, jak Jenny krzyczy z przerażenia, a potem ziemia zatrzęsała się nam pod stopami. Wkrótce wstrząsy zaczęły narastać. Z góry sypały się pył i kamyki, mozaikowa posadzka trzasnęła w kilku miejscach. Zupełnie jakby wielki vartek wykopywał się z głębin przez skały. Żałowałem jednak, iż nie mamy do czynienia z vartkiem, to bowiem było coś znacznie gorszego.

– Krągły Bochen leży na linii mocy, prawda? – Głos Jenny łamał się ze strachu.

– Nawet na kilku – odparłem, domyślając się, do czego zmierzają.

– Mógłbyś zatem wezwać bogina!

Pokręciłem głową.

– Bogin nie miałby szans w starciu ze Starym Bogiem, Golgoth zniszczyłby go w mgnieniu oka.

W powietrzu rozszedł się przejmujący ziąb, z naszych ust wypłynęły obłoczki pary, przesłaniając twarze. Miałem wrażenie, że serce zamarza mi w piersi.

Powróciłem myślami do poprzedniego spotkania z Golgothem. Gdy się wtedy zbliżył, także poczułem zakłócenia pod ziemią, jakby coś wielkiego przedzierało się na powierzchnię, przynosząc ze sobą przejmujący mróz. Na szczęście, jak wyjaśniłem Jenny, Golgoth tkwił wówczas uwięziony wewnątrz pentagramu; mimo gróźb zdołałem się oprzeć i nie uwolniłem go. W końcu powrócił w Mrok.

Teraz jednak nie mieliśmy płonących świec, wyznaczających wierzchołki pentagramu, ani magicznego kręgu, w którym można by uwięzić Golgotha. Miejsce to nie było gotowe na przyjęcie Starego Boga. Zresztą mógł się pojawić w dowolnej części komnaty.

Władca Ziemi miał dość mocy, żeby rozpocząć następną epokę lodowcową; świetnie nadawał się na sojusznika Kobalosów i ich boga Talkusa. W sekundę mógł nas zamrozić na kamień. Nie było jak się przed nim bronić. Nawet Gwiazdna Klinga nie uchroni mnie przed taką potęgą. Mogliśmy liczyć wyłącznie na Alice, ale zabrakło jej czasu na zamknięcie przejścia przed Golgothem. Teraz nawet jej magia go nie powstrzyma.

Nagle wszystkie lampy zgasły i spowiła nas ciemność. A potem ziemia znieruchomiała i Golgoth przemówił:

– Pięcioro głupców kuli się przede mną. Pięcioro głupców, którzy zaraz zginą.

Pierwsza odezwała się Grimalkin, w jej głosie dźwięczał gniewny, wyzywający ton:

– To ty jesteś głupcem! Złych wybrałeś sojuszników. Twój czas niemal dobiega końca. Kiedy Talkus upadnie, a kobaloskie miasto legnie w ruinach, ty także przestaniesz istnieć. Przetrawasz tylko w dziecięcych koszmarach.

– Aroganckie to słowa, więdźmo. Za chwilę zginiesz. Zniszczę was wszystkich!

Nagle część komnaty pojaśniała – to Jenny zdołała zapalić swą

lampę. Przekonałem się, że po kamiennych płytach posadzki pełnie ku nam fala szronu. Mróz się wzmagał. Zacząłem dygotać, bardziej jednak ze strachu niż z chłodu.

– Miło, że tak wielu nieprzyjaciół zebrało się tu razem w jednym miejscu. Teraz pozabijam was kolejno. Ty zginiesz ostatni, Ward. Twoja uczennica – pierwsza.

W chwili gdy wymówił ostatnie słowo: „pierwsza”, szarobrązowe włosy Jenny pokryła nagle błyszcząca warstewka szronu. Dziewczyna krzyknęła i upuściła lampę, ale jej blask nadal oświetlał straszliwą scenę.

Wiedziałem, że każda próba ingerencji zakończy się moją własną śmiercią, lecz Golgoth i tak zamierzał mnie zabić. Musiałem coś zrobić. Wtedy jednak, reagując znacznie szybciej ode mnie, Meg wyprysnęła z cienia, pędząc wprost ku głosowi. Jej nogi poruszały się tak szybko, że ujrzałem tylko rozmazaną plamę, pokonała jednak zaledwie połowę odległości, gdy Bóg Rzeźnik odwrwał wzrok od Jenny i uderzył.

Meg natychmiast pokrył biały lód; zamarzała do szpiku kości. I nagle jej ciało z trzaskiem rozpadło się na kawałki. Ledwie zdążyłem pojąć, co się stało, gdy Alice stanęła pomiędzy Jenny i głosem z Mroku, osłaniając ją przed złowrogą wolą Golgotha.

Serce ścisnęło mi się ze strachu. Wiedziałem, że zaraz umrze. Odziana w zieleń i brązy, ze szmaragdową spinką podtrzymującą zaczesane do tyłu białe włosy, jaśniała urodą. Za sekundę tę piękną skórę pomarszczy mróz, kości staną się tak kruche, że potrzaskają niczym gałązki. Choć uzbrojona w potężną magię, Alice wciąż była śmiertelna i nie mogła stawić czoła gniewowi jednego ze Starych Bogów.

Gdy tak patrzyłem, dostrzegłem na jej twarzy grymas złości – mimo wszystko postanowiła walczyć! Uniosła wysoko ręce i zaczęła nucić. Wokół jej palców tańczyły iskry. A potem cisnęła kulą światła w mrok, wprost w naszego wroga i usłyszałem krzyk wściekłości i bólu.

Zdumiało mnie to. Czyżby Alice naprawdę zraniła Golgotha? Jest aż tak silna? Czy ma szansę zwyciężyć?

Wówczas jednak Golgoth zareagował. Alice upadła na kolana, całe jej ciało obsypał szron. Teraz z ciemności patrzyło na nią dwoje wielkich, czerwonych, złowrogich oczu – oczu Starego

Boga.

To był koniec Alice. Jakie miała szanse w starciu z tą pradawną potęgą? Cały się trząsałem z nadmiaru emocji. Ale co mogłem zrobić? Teraz nikt jej już nie uratuje.

Chwyciłem jednak mocniej Gwiazdną Klingę i wystąpiłem naprzód. Golgoth nie posługiwał się teraz magią, czerpał moc ze swego wewnętrznego źródła; morderczy mróz stanowił część jego jestestwa i Gwiazdna Klinga mnie przed nim nie chroniła. Czuję, jak zimno wgryza mi się w kości. Chciałem puścić się biegiem, ale mogłem jedynie, potykając się, iść naprzód. Wiedziałem, że to koniec. Zaraz wszyscy zginiemy.

Zięb jeszcze się wzmógł. Odetchnąłem głęboko i lodowate powietrze przypaliło mi nozdrza, parząc gardło. Alice klęczała na ziemi, ukrywając twarz w dłoniach.

– Nie! – krzyknął wściekły głos i nagle Grimalkin puściła się pędem ku owym złowrogim oczom, w biegu ciskając nożami. Poruszała się sprawnie i z gracją zręcznej zabójczyni, którą zawsze była. Jednak odwaga, która tyle razy pomagała jej zatriumfować wbrew wszystkiemu, teraz posłała ją na śmierć.

W mgnieniu oka od stóp do głów cała zbielała, zastygając w pół kroku. Serce ścisnęło mi się boleśnie, bo ujrzałem, jak runęła niczym drzewo; gdy tylko ręce, głowa i tułów uderzyły o ziemię, roztrzaskała się na kawałeczki. Nie było nawet śladu krwi, jedynie białe odłamki lodu. Ciało czarownicy, jej krew i kości zamarły tak mocno, że stały się kruche.

Kiedy Golgoth w końcu stąd odejdzie, owe kawałki roztopią się tak jak w przypadku Morgana. Musiałem pogodzić się ze świadomością, że Grimalkin nie żyje.

ROZDZIAŁ

35



ZAPŁAKANY CHŁOPIEC

THOMAS WARD

Z rozpaczą odwróciłem wzrok. Grimalkin była cza rownicą, ale też moją sojuzniczką i przyjaciółką. Wiele wspólnie przeżyliśmy, więc poczułem w sercu ukłucie tęsknoty i rozpaczy. I wtedy usłyszałem muzykę. Nagle przepełniła mnie nadzieja, była to bowiem wysoka, tęskna melodia, wygrywana na fletni: muzyka Pana.

I oto sam Pan zmaterializował się po naszej prawej stronie: skąpany w mocnym, zielonym blasku, siedział na ziemi, wsparty plecami o ścianę, odziany w strój upleciony z liści traw i kory. Skórę miał bardzo bladą, ale jeśli nie liczyć uszu, wydłużonych i szpiczastych, przypominał zwykłego, ludzkiego chłopca. I wtedy zauważyłem jego bose stopy o długich paznokciach, skrecających się w spirale.

Alice twierdziła, że Stary Bóg nie zaryzykuje starcia z jednym ze swych współbraci – a jednak Pan przybył ją ochronić.

Fletnia, którą unosił do ust, wyglądała jak zwykłe kawałki trzciny, lecz wypływająca z niej muzyka była doprawdy niezwykła – oczarowała zwierzęta, które zmaterializowały się wraz z nim: króliki, zające, myszy, gronostaje, fretki i wiewiórki tańczyły wokół niego. Ptaszki fruwały mu nad głową, trzepocząc skrzydłami. Na jednym ramieniu przysiadła biała synogarlica.

Pan uśmiechał się, minę miał błogą, szczęśliwą, pewną siebie. Przybył walczyć z Golgothem.

Ale który ze Starych Bogów okaże się silniejszy?

Niemal natychmiast ujrzałem lód, tworzący się na stopach Pana; otaczające go zwierzęta szybko pokrył szron. Czy wyobraziłem to sobie, czy też muzyka brzmiała jakby słabiej?

Alice czołgała się w stronę najbliższej ściany. Widziałem, jak synogarlica na ramieniu Pana pochyła się naprzód, pada i roztrzaskuje o mozaikową posadzkę, niczym szklana czara. Muzyka ucichła, Pan upuścił fletnię, wyciągnął rękę i z twarzą wykrzywioną bólem dotknął zamarznionych odłamków martwego ptaka. Inne ptaszki zaczęły kolejno spadać na ziemię, uderzając o nią z trzaskiem i rozpryskując się w drzazgi białego lodu.

Zamiast patrzeć w płonące gniewnie czerwone oczy, Pan odwrócił się ku nam, zdjęty rozpaczą i grozą. Po policzkach płynęły mu łzy – wyglądał teraz jak dziecko bojące się ciemności.

Z początku myślałem, że patrzy na mnie, potem jednak zrozumiałem, iż wbija wzrok w Alice. Dziewczyna tymczasem dźwignęła się z ziemi i obróciła ku niemu roztrzęsiona. Próbowwała coś powiedzieć, widziałem zgrozę na jej obliczu.

Powoli jednak wyraz twarzy Alice zaczął się zmieniać: strach zniknął, cała płonęła teraz z furii.

Nagle krzyknęła głośno do Pana:

– Zapłakany chłopcze, podnieś się z kolan i walcz! Wstawaj i walcz! Bądź mężczyzną, nie chłopcem! Odmień swój kształt!

W tej sekundzie zrozumiałem, co próbuje osiągnąć. Pan, bóg przyrody, miał dwa aspekty: łagodnego chłopca, który gra na flecie i czaruje leśne stworzenia; bywał jednak także wielki i przerażający – nikt nie mógł spojrzeć mu w twarz i przeżyć. To imieniu Pana zawdzięczamy słowo „panika”, uczucie, jakie przepełniało tych, którzy ujrzeni jego złowrogą postać.

Słowa Alice wywarły właściwe wrażenie. Chłopiec zniknął, a w jego miejscu zjawiała się istota wielka.

Pan ryknął głośno, gniewnie: to był grom, lawina pędząca górskim zboczem; olbrzymia fala zmywająca nabrzeżne miasta, magma z jądra ziemi, tryskająca ogniem, źdźbło zielonej trawy, rozsadzające kamień.

Był teraz olbrzymi, sięgał głową sklepienia komory pod kurhanem. Kształtem wciąż przypominał człowieka, ale i coś większego; otaczająca go zielona aura również zmieniała barwę – najpierw na pomarańczową, potem na czerwoną. Poczulem ciepło

na twarzy.

– Padnijcie! – krzyknęła Alice. – Osłońcie twarze!

Opuściłem Gwiazdną Klingę i rzuciłem się na skalną ziemię, zakrywając głowę rękami. Światło było jednak tak jaskrawe, że przez ciało widziałem własne kości, zupełnie jakby w grocie z nami znalazło się płonące ogniście słońce. Byłem pewien, że wszyscy spłonimy.

A potem ból stał się nie do zniesienia i zemdlałem.

Pamiętam bardzo dokładnie chwilę, gdy się ocknąłem.

Zobaczyłem Alice, siedzącą przy łóżku, i na moment zapomniałem o wszystkim, co wydarzyło się między nami. Znów byłem uczniem, niedawno zacząłem termin i patrzyłem na piękną dziewczynę, swoją najbliższą przyjaciółkę. Mieszkaliśmy razem w domu stracharza w Chipenden.

A potem wspomnienia powróciły gwałtowną falą i usiadłem prosto, ogarnięty przejmującą rozpaczą. Nagle pojąłem, że jesteśmy w zimowym domu.

– Spokojnie, Tomie – rzekła cicho Alice. – Nie odniosłeś trwałszych obrażeń, ale masz lekko poparzone ręce, plecy i ramiona. Najgorsze działo się w twojej głowie. Kiedy Pan znajdzie się blisko, niektórzy wpadają w obłąd. Po przeniesieniu nas tutaj położyłam cię do łóżka i dałam miksturę nasenną. Przespałeś prawie dwa dni.

– Czy Jenny nic nie jest? – spytałem.

– Nic, osłoniłam ją własnym ciałem i zniosła to znacznie lepiej niż ty. Właśnie poluje na króliki.

– Grimalkin! – zawołałem nagle, przypominając sobie, co ją spotkało i widok jej kości roztrzaskanych na posadzce. – Jak sobie bez niej poradzimy? Dlaczego rzuciła się tak na Golgotha? Co za bezsensowna strata! Samobójstwo!

Alice uśmiechnęła się ze smutkiem i pokręciła głową.

– Nie było w tym niczego głupiego. Grimalkin świetnie wiedziała, co robi, Tomie. Nie poległa bez potrzeby. Zrobiła to, żeby mnie ocalić przed gniewem Golgotha. Jeszcze sekunda, a zginęłabym, zamarznęta. Poświęciła siebie, aby zyskać trochę czasu

dla nas.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że nie żyje. To okrutna strata. Czy Pan zniszczył Golgotha?

Alice pokręciła głową.

– Nie, ale mocno go zranił i odesłał do jego własnej krainy w Mroku. Na razie portal pozostanie zamknięty, ale Golgoth w końcu wyzdrowieje i w pełni odzyska siły. A Pan zużył mnóstwo swoich, aby to osiągnąć. On także potrzebuje czasu. Bitwa między nimi jeszcze się nie zakończyła. Teraz największym niebezpieczeństwem pozostaje możliwość, że Talkus zechce wtrącić się bezpośrednio.

– Czyli nadal nie mamy jak się przed nim bronić?

– To nie do końca prawda, Tomie: nie osiągnął jeszcze pełni sił, choć jeśli zdarzy się to niedługo, będzie nam trudniej – odparła Alice.

– Biedna Meg – mruknąłem.

– Tak, biedna Meg. Ale wykazała się wielką odwagą, prawda? Zapewniła mi dość czasu, abym mogła rozpocząć rzucanie czaru. Sądzę, że nadeszła jej pora, Tomie. Meg wróciła do Hrabstwa, by odnaleźć Johna Gregory’ego, ale odkryła, że on już nie żyje. Może też nie chciała dalej żyć? Kto wie? Tak czy inaczej, Krągły Bochen stanie się jej grobowcem, a także grobowcem Grimalkin. Przepchnęłam kamień na miejsce i zasypałam ziemią.

– Najsmutniejsze jest to, że Meg i John Gregory nie zostaną razem po śmierci – mruknąłem. – Ona odeszła w Mrok, a on do Światła.

Alice przytaknęła, dostrzegłem smutek na jej twarzy. Oboje wiedzieliśmy, że i z nami sprawy mają się podobnie, woleliśmy jednak o tym nie wspominać. Po chwili Alice podeszła bliżej i objęła mnie ramionami. Była tak ciepła, a ja łaknąłem gorąca jej ciała, wewnątrz jednak wciąż czułem chłód wspomnienia o Bogu Rzeźniku.

Od dramatycznych wydarzeń w komorze pod Krągłym Bochenem minęły dwa tygodnie. Wróciliśmy już do Chipenden. Powoli zaczynam godzić się ze śmiercią Grimalkin, ale przyszłość wy-

gląda ponuro.

W chwili, gdy to piszę, w dalekich krainach zapewne toczy się rozstrzygająca bitwa z Kobalosami. Jeśli ludzka armia poniesie klęskę, nasi wrogowie będą mogli przeprowić się przez morze i najechać naszą wyspę.

W tej chwili moje życie jest równie pełne goryczy, jak i słodyczy. Pod jednym względem nigdy nie byłem szczęśliwszy. Jestem z Alice, to spełnienie moich marzeń. Ale tu właśnie wkrada się gorzki ból spodziewanej straty. Alice zamknęła przejście, nie dopuszczając do nas Golgotha, lecz kobaloscycy magowie wciąż korzystają z miejsca pomiędzy światami, by dotrzeć do Hrabstwa. W każdej chwili mogą zaatakować mnie i Alice. A Talkus może władać mocą, wobec której okazemy się bezsilni.

A to oznacza, że nasze szczęście może skończyć się bardzo szybko.

Nadal szkolę Jenny. Ciężko pracuje i dosłownie chłonie wiedzę. Będzie z niej dobry stracharz. Mam tylko nadzieję, że zdąży nim zostać.

Gdy piszę te słowa, niebo na północy ciemnieje, na ogród w Chipenden spadają pierwsze płatki śniegu tej zimy. Jeśli mroczna armia Kobalosów zjawi się tutaj, będziemy ze wszystkich sił bronić Hrabstwa i siebie samych. Nic więcej nie możemy zrobić.

Thomas J. Ward

GLOSARIUSZ ŚWIATA KOBALOSÓW



ORYGINALNIE NAPISANY PRZEZ NICHOLASA BROWNE'A
z adnotacjami Toma Warda i Grimalkin

Anchieta: ssak żyjący w norach, występujący w lasach północy na granicy śniegów. Kobalosi uważają go za przysmak i zjadają na surowo. Stworzenie nie ma zbyt wiele mięsa, oni jednak wprost przepadają za kośćmi jego łap.

Uzupełnienie: próbowałam jeść te stworzenia (niewiele większe od zwykłych myszy) i z całą stanowczością wolę króliki. Jest ich jednak całe mnóstwo, łatwo dają się złapać i najlepiej smakują w postaci gulaszu. Po przyprawieniu odpowiednimi ziołami otrzymujemy całkiem znośny posiłek. – Grimalkin

Askana: to siedziba kobaloskich bogów. Prawdopodobnie inne określenie Mroku.

Intrygujące. Nicholas Browne mógł mieć rację, ale czy to możliwe, by kobaloscy bogowie istnieli poza tym, co nazywamy Mrokiem? Cuchulain mieszkał w Wydrążonych Wzgórzach, do których można się dostać z Irlandii. One także nie stanowiły części Mroku.
– Tom Ward

Baelicki: zwykły, codzienny język Kobalosów, używany jedynie w sytuacjach nieoficjalnych, w rodzinie bądź by okazać przyjaźń. Prawdziwy język Kobalosów to losta, posługują się nim także ludzie mieszkający na granicy ich terytoriów. Jeśli nie-

znajomy zwróci się do innego Kobalosa po baelicku, sugeruje to sympatię, ale czasami stanowi wstęp do „handlu”.

Balkai: pierwszy i najpotężniejszy z trzech kobaloskich wysokich magów, którzy stworzyli Triumwirat po zabójstwie króla i obecnie władają Valkarky.

Jak dotąd nie mieliśmy do czynienia z Balkaim. To przerażająca perspektywa, zważywszy, że jest potężniejszy nawet od Lenklewth, który omal nas nie pokonał. Tylko Gwiazdna Klinga może mnie przed nim ochronić. - Tom Ward

Berserkerzy: kobaloscycy wojownicy, którzy poprzysięgli zginąć w walce.

Bindos: to kobaloskie prawo, wymagające, by każdy obywatel co czterdzieści lat sprzedawał na targu niewolników co najmniej jedną purrę. Niedopełnienie tego prawa czyni go wyrzutkiem, odtrąconym przez współbraci.

Bosk: to oddech kobaloskiego maga, potrafiący wywoływać utratę świadomości, paraliż bądź grozę u ludzkiej ofiary. Magowie zmieniają właściwości bosku, modyfikując chemiczny skład swojego oddechu. Czasami służą też do zmiany nastroju zwierząt.

Uzupełnienie: użyto go przeciwko mnie i natychmiast pozbawił mnie sił. Przeciwnik kompletnie mnie zaskoczył. Podczas walki należy zachować ostrożność i nie dopuszczać haizdana zbyt blisko. Być może szal zastaniający usta i nos okaże się skuteczną ochroną. Albo może woskowe zatyczki w nozdrzach? - Tom Ward

Bychon: kobaloska nazwa ducha, zwanego w Hrabstwie boginem.

Warto byłoby sprawdzić, czy owe boginy dzielą się na te same kategorie, jak u nas w Hrabstwie, czy też występują tam zupełnie nowe odmiany. - Tom Ward

Chaal: substancja, z pomocą której haizdan panuje nad reakcjami ludzkiej ofiary.

Cougis: bóg o psiej głowie, którego czerwoną gwiazdę widać na niebie.

Cumular, góry: wysokie pasmo górskie wyznaczające północno-zachodnią granicę Półwyspu Południowego.

Dendarskie, góry: wysokie pasmo górskie leżące jakieś siedemdziesiąt staj na północny zachód od Valkarky. U jego podnóża wzniesiono wielki kulad zwany Karpotha – sprowadza się tam i sprzedaje więcej niewolników niż we wszystkich innych fortecach łącznie.

Dexturai: kobaloscycy odmieńcy, zrodzeni z ludzkich kobiet. Stwory takie, choć z wyglądu przypominające ludzi, łatwo poddają się woli Kobalosów. Dysponują ogromną siłą i odpornością i często zostają potężnymi wojownikami.

Eblis: to najpotężniejszy z Shaiksy, kobaloskiego bractwa zabójców. Zabił ostatniego króla Valkarky za pomocą magicznej lancy, zwanej Kangadonem; uważa się, że ma ponad dwa tysiące lat i że nigdy nie został pokonany w boju. Bractwo określa go dwoma innymi mianami: Ten, Którego Nie Da Się Pokonać i Ten, Który Nigdy Nie Umrze.

Grimalkin twierdzi, że Eblis nie żyje. Pokonał go Wijec, a ona sama zabiła. Bractwo nieustannie zatem obdarzyło go owymi przydomkami: został pokonany i umarł. – Tom Ward

Erestaba, równina: Erestaba leży na północ od rzeki Shanna, na terytorium Kobalosów.

Fittzanda, uskok: zwany też Wielkim Uskokiem, to obszar słynący z trzęsień ziemi, wyznaczający południową granicę ziem kobaloskich.

Uzupełnienie: Uskok ten leży na północ od rzeki Shanna, ale Browne twierdzi, że jedno i drugie wyznacza granicę między ziemiami Kobalosów i ludzi. Najpewniej podczas długoletniego konfliktu granica ta wiele razy przesuwano. – Grimalkin

Galena, Morze: morze na północny wschód od Combesarke. Leży pomiędzy tym królestwem i Pennade.

Gannar, lodowiec: wielka rzeka lodu, której źródło stanowią Góry Cumular.

Ghanbala: liściaste drzewo z rodziny eukaliptusów, stanowiące ulubioną siedzibę kobaloskich magów haizdanów.

Ghanbalsam: żywica z drzewa ghanbala, zbierana przez maga haizdana i służąca za podstawę maści takich jak chaal.

Haggenmiot: wojownicza istota wyhodowana z ciała ludzkiej kobiety. Jej zadanie to udział w rytualnych walkach. Składa się z trzech jaźni połączonych wspólnym umysłem, mimo swej odrębności stanowiących jedno stworzenie.

Haizda: to terytorium maga haizdana, gdzie poluje na ludzi, którzy do niego należą, a także pielęgnuje ich. Wysysa z nich krew i od czasu do czasu kradnie dusze.

Haizdan: rzadka odmiana kobaloskiego maga, który zajmuje własne terytorium daleko od Valkarky, gromadząc mądrość z obszaru, który uznał za swój własny.

Handel: choć Kobalosi mają własną walutę, walkrony, często preferują bezpośrednią wymianę dóbr bądź usług, zwaną „handlem” lub „umową”. Dotrzymanie warunków podobnej umowy to kwestia honorowa, nawet gdyby oznaczało śmierć.

Homunkulus: małe stworzenie wyhodowane z purrai w zagrodach skleech. Często ma kilka ciał, którymi, podobnie jak u haggenmiota, kieruje wspólny umysł. Jednakże nie są one identyczne, każda spełnia wyspecjalizowane zadania i tylko jedno z nich włada językiem losta.

Uzupełnienie: W Valkarky poznałam homunkulusa służącego Wijcowi. Ten, który umiał mówić, przypominał z wyglądu drobnego mężczyznę i odpowiadał bezpośrednio przed magiem; inny przyjął postać szczura i został posłany na przeszpiegi. Z łatwością podporządkowałam go swojej woli. Istniała też trzecia postać, która umiała latać,

ale jej nie widziałam. Podobne stwory mogą posłużyć swoim panom do zdalnego zdobywania informacji na nasz temat. Trzy jaźnie homunkulusa łączy wspólny umysł (tak samo jak u haggenniota), dzięki temu wszystko, co widzi jedna z nich, natychmiast zostaje przekazane do Valkarky. – Grimalkin

Hybris: grzech pychy wobec bogów. Winni owego grzechu, który powtarzają mimo ostrzeżeń, zazwyczaj ściągają na siebie gniew bogów. Sama decyzja zostania magiem to przejaw hybris i niewiele przeżywa okres nowicjatu.

Hybuski: hybuski, powszechnie nazywany hybem, to szczególna odmiana wojownika stworzona i zatrudniana w walce przez Kobalosów. Stanowi hybrydę Kobalosa i konia, dysponuje też innymi atrybutami służącymi do walki. Górne części ciała ma kudłate i muskularne, łączy w sobie niezwykłą siłę i szybkość, potrafi rozszarpać przeciwnika na strzępy. Dłonie także ma specjalnie przystosowane do walki.

Kangadon: Lanca, Której Nie Można Złamać, znana także jako Królobójca, potężna broń wykuta przez kobaloskich wysokich magów; niektórzy wierzą, iż jest dziełem ich boga kowala, Olkiego.

Uzupełnienie: Grimalkin wspomniała, że lancę tę złamał w końcu Wijec, haizdan, z którym zawiązała tymczasowy sojusz. Udało mu się tego dokonać za pomocą jednego ze sztyletów z głowami skeltów, Rębacza Kości. – Tom Ward

Karpotha: kulad u podnóża Gór Denderskich, w którym mieści się największy targ niewolników. Większość trafia tu wczesną wiosną.

Kartuna: kulad ten leży za rzeką Shanną. Sądzę, że tę właśnie wieżę odwiedził kiedyś haizdan zwany Wijcem; uciekł stamtąd, zabiwszy ówczesnego Najwyższego Maga, Nunca. Uważam, że teraz osiadł tam drugi najpotężniejszy mag z obecnego Triumwiratu, porzuciwszy Valkarky. W wieży tej kryje się wiele jego magicznych przedmiotów. – Grimalkin

Grimalkin miała rację - Lenklewth faktycznie tam mieszkał. Kiedy próbowaliśmy zbadać kulad, zastawił na nas pułapkę; mieliśmy szczęście, że uszliśmy z życiem; nie udało nam się jednak przejść magicznych skarbów. A choć Lenklewth nie żyje, bez wątpienia inny mag zajmie jego miejsce. - Tom Ward

Kashilowa: odźwierny Valkarky, który zezwala na wstęp do miasta bądź odmawia go. To wielki stwór o tysiącu odnóży, stworzony magią specjalnie do tego celu.

Kastarand: słowo to oznacza po kobalosku świętą wojnę, którą rozpętają Kobalosi, by pozbyć się z ziemi ludzkich istot, uważanych za potomków uciekinierów z niewoli. Nie rozpocznie się, póki nie narodzi się Talkus, kobaloski bóg.

Kirrhos: „płowa śmierć”, która spotyka ofiary haggenniota.

Kobalaska anatomia: Kobalos ma dwa serca: większe mniej więcej w tym samym miejscu, co człowiek, i drugie, czterokrotnie mniejsze, u podstawy gardła. Jeśli nie da się obciąć głowy, należy przebić oba serca; inaczej umierający kobaloski wojownik nadal pozostanie niebezpieczny. - Grimalkin

Komnata Łupów: skarbiec, w którym Triumwirat przechowuje przedmioty skonfiskowane mocą magii, siłą oręża bądź wyrokiem sądu. To najbezpieczniejsze miejsce w Valkarky.

Uzupełnienie: Aby odzyskać skradzione mi przedmioty, przedarłam się z powodzeniem przez ochronę owego, jak to nazywa Browne, „najbezpieczniejszego miejsca w Valkarky”. Okazało się to całkiem proste, ale być może dlatego, że Kobalosi nie mieli pojęcia o moich umiejętnościach, zarówno magicznych, jak i bojowych. Nie wątpię, że kiedy znów zapuszczę się do miasta, zabezpieczenia okażą się znacznie trudniejsze do pokonania. Dodatkowo narodziny ich boga Talkusa co najmniej potroiliły moc wszystkich kobaloskich magów. - Grimalkin

Kontrruch: ruch w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara albo wędrówki słońca po niebie. Kobaloscycy magowie

stosują go czasem, by narzucić kosmosowi swoją wolę. Pełen kontrruch wiąże się z ogromnym ryzykiem.

Kulad: wieża obronna wzniesiona przez Kobalosów, strzegąca strategicznych miejsc na granicy ich terenów. Inne, leżące wewnątrz ich ziem, mieszczą w sobie targi niewolników.

Uzupełnienie: wiele kuladów zajęli także wysocy magowie. Mieszkają w nich i przechowują swoją magię i magiczne przedmioty. – Grimalkin

Lenklewth: drugi z trzech kobaloskich wysokich magów tworzących Triumwirat.

Uzupełnienie: Lenklewth nie żyje. Był potężnym magiem, władał mocą silniejszą nawet od czarów Grimalkin. Pokonałem go za pomocą Gwiazdnej Klingi, a vartek potknął całego. – Tom Ward

Losta: to język, którym posługują się wszyscy mieszkańcy Półwyspu Południowego, także Kobalosi, twierdzący, iż ludzie wykradli i zniekształcili ową mowę. Kobalaska wersja losty dysponuje słownikiem co najmniej o jedną trzecią większym niż ta ludzka, co może potwierdzać ich słowa. Z całą pewnością to anomalia lingwistyczna: dwa odmienne gatunki posługujące się wspólnym językiem.

Uzupełnienie: Mag, którego zabiłem nieopodal Chipenden, posługiwał się naszą mową nie lostą. Grimalkin twierdzi, że kobaloscy magowie mają wielki talent lingwistyczny i specjalnie uczą się języków odległych krain, szykując się do inwazji. – Tom Ward

Magowie: istnieje wiele rodzajów ludzkich magów: to samo dotyczy Kobalosów. Przybyszowi z zewnątrz jednak trudno jest ich opisać i podzielić. Nominalnie najwyższa ranga to wysoki mag; istnieje też odmiana magów zwana haizdanami, niepasująca do hierarchii, są to bowiem samotnicy, żyjący na własnych terytoriach, z dala od Valkarky. Trudno opisać i ocenić ich moce.

Mandragora: korzeń podobny z kształtu do człowieka, czasami używany przez kobaloskich magów, by skupić moc drzemiącą w umyśle.

Meliann: trzeci z trzech kobaloskich wysokich magów tworzących Triumwirat.

Uzupełnienie: Podczas mojej wizyty w Valkarky walczyłam z Melianem i zabiłam go w Komnacie Łupów, próbując odzyskać swój dobytek. Nie wiem, kto go zastąpił. – Grimalkin

Nowicjat: pierwszy etap studiów podejmowanych przez haizdana, trwający około trzydziestu lat. Kandydat studiuje pod okiem jednego z najstarszych i najpotężniejszych magów. Jeśli z powodzeniem ukończy nowicjat, musi odejść, by samotnie uczyć się dalej i rozwijać swoje umiejętności.

Uzupełnienie: Przypuszczam, że haizdan zabity niedaleko Chipenden przez Thomasa Warda dopiero co ukończył nowicjat – i całe szczęście! Ktoś taki jak Wijec, którego poznałam w Valkarky, byłby o wiele groźniejszym przeciwnikiem. – Grimalkin

Oszer: substancja służąca za awaryjny pokarm dla koni, zrobiona z owsa nasączonego specjalnymi chemikaliami, która pozwala jucznemu zwierzęciu przetrwać długą podróż: niestety, w rezultacie dochodzi do znaczącego skrócenia jego życia.

Olkie: to bóg kobaloskich kowali. Ma cztery ręce i zęby z mosiądzu. Kobalosi wierzą, że to on wykuł Kangadon, magiczną lancę, której ciosu nie da się odbić.

Oussa: elitarna gwardia, chroniąca Triumwirat i służąca mu. Jej członkowie strzegą też czasem grup niewolników prowadzonych z Valkarky do kuladów na sprzedaż.

Polyznia: To największe i najmajętniejsze z północnych państw graniczących z ziemiami Kobalosów. Armię ma niewielką, ale dobrze wyszkoloną, a łuczników i jazdę znakomitych. Rządzi nim dzielny książę Stanisław. – Grimalkin

Północne Królestwa: wspólna nazwa, którą obdarza się małe królestwa, takie jak Pwodente i Wayland, leżące na południe od Wielkiego Uskoku. Częściej określa wszystkie królestwa na północ od Shalloth i Serwentii.

Dziwne, że Nicholas Browne nie wspomina o Polyzni, największym i najpotężniejszym z nich wszystkich. – Grimalkin

Purra (l. mn. purrai): określenie oznaczające jedną z ludzkich niewolnic, hodowanych przez Kobalosów. Można je także stosować do kobiet z haizdy.

Salamandra: tulpa ognistego smoka.

Shaiksa: bractwo kobaloskich zawodowych zabójców. Jeśli jeden z nich zginie, honor nakazuje pozostałym ściganie jego pogromcy.

Grimalkin mówiła, że w chwili śmierci Shaiksa potrafi przestać ostatnią wiadomość swoim braciom, informując ich, jak zginął i kto za to odpowiada. Wówczas członkowie bractwa rozpoczynają łowy na zabójcę. – Tom Ward

Shakamure: sztuka magiczna haizdanów, czerpiąca moc z krwi ofiar i wypożyczonych dusz.

Shanna, rzeka: Shanna wyznacza dawną granicę między Północnymi Królestwami ludzi i ziemiami Kobalosów. Obecnie Kobalosi osiedlają się często na południe od owej linii. Obie strony już dawno odrzuciły traktat wytyczający granice.

Przed rytualnym wyzwaniem, rzuconym przez zabójcę Shaiksę, wszyscy kobaloscycy wojownicy wycofali się na swój brzeg rzeki. Do-
tąd nie znamy powodów, które nimi kierowały. Wiele kobaloskich zachowań wciąż pozostaje dla nas tajemnicą. – Grimalkin

Shatek (zwany także džinnem): wojownicza istota, złożona z trzech części, którymi kieruje wspólny umysł. Różni się od haggenniota tym, że stworzono ją do walki w wojnach. Kilka-

naście z nich zbuntowało się i nie podlega już władzy Kobalósów. Mieszkają z dala od Valkarky, siejąc śmierć i zniszczenie w okolicy swych nor.

Shudru: kobalaska nazwa surowej zimy, panującej w Północnych Królestwach.

Skaiium: czas, kiedy mag haizdan musi zmierzyć się z niebezpiecznym złagodzeniem swojej drapieżnej natury.

Skapien: mała sekretna grupka Kobalósów w Valkarky, sprzeciwiająca się handlowi purrai.

W Polyzni wraz z Jenny rozmawialiśmy z Abuskaiem, mającym powiązania z tą grupą. Później spotkaliśmy Wjica, pełniącego funkcję łącznika między skapienami i ludźmi. Mamy nadzieję zawiązać z nimi sojusz, wspólnie zmienić grupę rządzącą Valkarky, skończyć z niewolnictwem i przerwać wojnę. – Tom Ward

Skelt: stwór, który żyje nad wodą i zabija ofiary, wbijając im w ciało długi ryj w kształcie kościstej rurki i wysysając krew. Kobalosi wierzą, że tę właśnie postać przybierze w chwili narodzin ich bóg, Talkus.

Skleech, zagrody: zagrody w Valkarky, w których Kobalosi trzymają ludzkie niewolnice, służące im za pokarm i do hodowli nowych użytecznych hybryd.

Sklutch: odmiana stworzeń służących Kobalosom. Specjalizuje się w oczyszczaniu ścian i sufitów w Valkarky z szybko porastających je grzybów.

Skoja: materiał, powstający w ciałach whoskorów, z którego zbudowano Valkarky.

Skulka: jadowity wąż wodny, którego ukąszenie wywołuje natychmiastowy paraliż. Często wykorzystywany przez kobaloskich zabójców, unieruchamia ofiarę, którą z łatwością można wtedy zabić. Jad skulki jest niewykrywalny we krwi ofiary.

Slandata: według wysokiego maga Lenklewth'a „haniebna śmierć”. Karze się nią zbuntowane purrai. Ma sprawić, żeby płakały z bólu. Zabójca dokonuje wielu cięć zatrutym ostrzem. Nawet najpłytsza rana nieznośnie boli – przekonałem się o tym na własnej skórze. – Tom Ward

Slarinda: kobiety Kobalosów. Wymarły ponad trzy tysiące lat temu. Zostały wymordowane z powodu kultu kobaloskich mężczyzn, nienawidzących kobiet. Teraz Kobalosi rodzą się z purrai, ludzkich kobiet, więzionych w zagrodach skleech.

Staja: odległość, którą galopujący koń pokonuje w pięć minut.

Talkus: bóg Kobalosów, który jeszcze się nie narodził. Po przyjściu na świat przybierze postać skelta. Imię Tulkus oznacza Tego, Który Jeszcze Nie Nadszedł. Czasami określa się go też mianem Nienarodzonego.

Uzupełnienie: Talkus dotąd nie ukazał się nam. Nie znamy jego mocy, ale wiemy, że dzięki niemu kobaloscycy magowie stali się o wiele potężniejsi. Możliwe, że okaże się dla nas największym zagrożeniem. – Tom Ward

Tantalingi: to metoda pozwalająca kobaloskim magom spoglądać w przyszłość. Wysoki Mag Lenklewth twierdził, że przewyższa zarówno postrzeganie wiedzów, jak i sposoby używane przez ludzkiego maga Lukraste.

Kiedy nadarzy się sposobność, przyjrę się temu bliżej. Przyszłość nie jest stała, zmienia się z każdą podjętą decyzją i działaniem. Dlatego metody spoglądania w przyszłość nie są doskonałe. Podejrzewam, że Lenklewth po prostu się przechwalał. – Grimalkin

Targon: to imię, jakie Abuskai, niezjący kobaloski mag, nadał istotie strzegącej bramy ognia, wiodącej do królestwa Talkusa. Jenny natknęła się na nią na strychu wieży. Istota ta okazała się niezwykle potężna i groźna. Tylko sól i żelazo pozwoliły Jenny uciec. Nie mam pojęcia, jak można unicestwić coś takiego. – Tom Ward

Therskold: próg, który oznaczono słowem zakazu bądź bólu. To wyjątkowo niebezpieczny obszar haizdy, nawet ludzki mag

bardzo ryzykuje, przekraczając podobny portal.

Uzupełnienie: Kiedy zbadałam kryjówkę haizdana niedaleko Chipenden, nie znalazłam żadnych barier, bez wątpienia dlatego, że Tom Ward zabił już maga. Dotąd zatem nie zdołałam zbadać siły podobnych przeszkód. Nie potrafię orzec, czy bariery strzegące Komnaty Łupów stanowiły przykład therskoldu, czy też czegoś innego, ale przełamalam je bez trudu. – Grimalkin

Triumwirat: ciało rządzące Valkarky, złożone z trzech najmocniejszych magów w mieście. Utworzone po tym, jak ostatni król Valkarky zginął z ręki Eblisa, zabójcy Shaiksy. W gruncie rzeczy to dyktatura, utrzymująca się u władzy bezwzględnymi metodami. W mieście nigdy nie brak kandydatów gotowych zastąpić trzech członków Triumwiratu.

Tulpa: istota stworzona w umyśle maga, czasami przybierająca postać w świecie rzeczywistym.

Wiele podróżowałam i zgłębiałam ezoteryczne sztuki niezliczonych czarownic i magów, ale nigdy dotąd nie natknęłam się na nic podobnego. Czy kobaloscyc magowie naprawdę to potrafią? Jeśli tak, tylko wyobraźnia może ograniczać tworzone przez nich istoty. – Grimalkin

Uzupełnienie: skrzydlata istota, która przemówiła do magovia i jak się zdawało, wskrzesiła mnie z martwych, była tulpą zrodzoną z wyobraźni Alice. Dotąd nie spotkaliśmy kobaloskiej tulpy, ale musimy zachować czujność. – Tom Ward

Ulska: bardzo rzadka, śmiertelna kobalaska trucizna, która pali ofiarę od środka. Wydobywa się ją z gruczołów u podstawy szponów haggenniota. Wywołuje kirrhos, zwany „płową śmiercią”.

Unktus: pomniejszy kobaloski bóg, czczony jedynie przez najuboższych nędzarzy z miasta. Przedstawia się go w koronie z dwoma niewielkimi kręconymi rogami.

Valkarky: główne miasto i stolica Kobalosów; leży tuż za Kołem Polarnym. Jego nazwa oznacza Miasto Skamieniałego Drzewa.

Vartek: to najpotężniejsza z trzech istot wyhodowanych przez mnie z materiałów znalezionych w kryjówce haizdana. Fakt, że potrafi przekopywać się przez warstwy skał, oznacza, że może wyskoczyć z ziemi w samym sercu ludzkiej armii, budząc powszechną panikę. Ma trzy macki, zakończone kościanymi szpikulcami, niezwykle groźne zęby i umie pluć kwasem, który pali ciało i kości. Dzięki licznym nogom potrafi poruszać się bardzo szybko. Choć chronią go czarne łuski, uszy i podbrzusze są wrażliwe na ciosy. Trudno orzec, jakie rozmiary osiąga dorosły vartek – może okazać się najgroźniejszym z bojowych stworów, jakie wypuszczą na nas Kobalosi. – Grimalkin

Na polu bitwy dorosłe varteki to przerażający widok. Wznosiły się wysoko ponad tłumy Kobalosów, wynijając mackami, a para z oddechu zbierała się nad ich głowami niczym chmury. Na szczęście Kobalosi nie zdążyli ich użyć, a nasza artyleria wyłutka większość z bezpiecznej odległości. Gdyby wkopały się pod nasze wojska, nikt by nie przeżył. – Tom Ward

Walkron: mała moneta, często nazywana walk, używana na całym Półwyspie Południowym, zrobiona ze stopu złożonego w dziesiątej części ze srebra. Jeden walkron to dzienna zapłata zwykłego kobaloskiego żołnierza.

Whalakai: inaczej „wizja tego, co będzie”, to chwila percepcji nawiedzająca zarówno wysokich magów, jak i haizdanów. To objawienie, które ukazuje im w jednym przebłysku całkowity obraz sytuacji, ze wszystkimi złożonymi niuansami, które do niej doprowadziły. Kobalosi wierzą, iż wizje te zsyła Talkus, Bóg, Który Jeszcze Nie Nadszedł, i że mają doprowadzić do jego narodzin.

Whoskor: ogólna nazwa stworzeń służących Kobalosom do niekończącej się rozbudowy miasta Valkarky. Mają szesnaście odnóży, z których osiem służy do kształtowania skoi, miękkie-

go kamienia, który wydzielają z pysków.

Zanti: to pierwsze stwory, które Grimalkin wyhodowała z próbek z kryjówki haizdana w drzewie niedaleko Chipenden, a następnie badała. Z kształtu podobne do ludzi, bardzo chude, z długimi, łuskowatymi rękami i nogami. Głowy mają bezwłose, lecz pokryte czarną łuską, małe oczka szeroko rozstawione jak u ptaków, umożliwiające widzenie wszystkiego przed sobą, obok siebie i za sobą.

Zingi: to drugie stwory, które badała Grimalkin. Porastało je brązowe włosie. Każdy miał sześć umięśnionych nóg o trzech stawach. Na cylindryczne ciała składały się trzy segmenty, każdy mieścił w sobie osobne serce i mózg. Z pierwszego sterczał długi, cienki kiel, pod nim otwierała się szeroka paszcza. Nie miały oczu ani nosów, musiały zatem odnajdywać ofiarę za pomocą innych zmysłów. Potrafiły przyzywać ofiary do siebie. - Tom Ward

Spis treści

Strona tytułowa	2
Strona redakcyjna	3
Spis treści	4
Dedykacja	6
Mapa	7
Motto	8
Prolog	9
Rozdział 1. Jak marionetka	13
Rozdział 2. Lukrasta	18
Rozdział 3. Chłopak z farmy	26
Rozdział 4. Narada wojenna	34
Rozdział 5. Nawiedzone strychy	38
Rozdział 6. Niewielka zmiana trasy	46
Rozdział 7. Ojciec boga	51
Rozdział 8. Martwi więźniowie	60
Rozdział 9. Kowadło bólu	64
Rozdział 10. Pokonany i sterowany	68
Rozdział 11. Koszmar bez końca	77
Rozdział 12. Zmiennokształtny	84
Rozdział 13. Krew i ślina	92
Rozdział 14. Więzień Kobalosów	97
Rozdział 15. Haniebna śmierć	102
Rozdział 16. Możliwości są dwie	110
Rozdział 17. Ziemna wiedźma	116
Rozdział 18. Plany Grimalkin	124
Rozdział 19. Ostatnia zima	127
Rozdział 20. Miejsce pomiędzy światami	134

Rozdział 21. Kropla kwasu	140
Rozdział 22. Trucizna	144
Rozdział 23. Ziemia krzyknęła	149
Rozdział 24. Biały sznurek	157
Rozdział 25. Wilcze mięso	162
Rozdział 24. Nigdzie nie jest bezpiecznie	169
Rozdział 27. Trup w worku	174
Rozdział 28. Obietnica	181
Rozdział 29. Bóg Rzeźnik	185
Rozdział 30. Nocny atak	188
Rozdział 31. Lustra	196
Rozdział 32. Zimowy dom	201
Rozdział 33. Krągły Bochen	207
Rozdział 34. Runęła jak drzewo	213
Rozdział 35. Zapłakany chłopiec	218
Glosariusz świata Kobalosów	223